

IM46.959 3
BARBARA TOPORSKA

SIOSTRY

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1966

BARBARA TOPORSKA

SIOSTRY

SIOSTRY

INSTYTUT LITERACKI

WYDAWCA: INSTYTUT LITERACKI
ul. Nowy Świat 15, Warszawa
(tel. 22 62 12 12) 00-000

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM CXXVI

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (Yvelines)

BARBARA TOPORSKA

SIOSTRY

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1966

BARBARA TOPORSKA

SI.OSTRY



Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001010571413

II 746.959



INSTITUT LITTERAIRE

© Copyright by INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L., 1966

1966 D 640

POKÓJ JADALNY

Kiedy ojciec Anisi zbyt długo i głośno sprzeczał się z matką po kolacji, na drugi dzień mówiła Poli:

— Moją córeczkę boli dziś główka, bo całą noc spać nie mogła.

Po niewczasie przypominała sobie, że Pola nie znosi mazgajstw. Najgorzej, gdy Pola milczy. Anisia czeka, i stara się udawać, że nie czeka. Pcha wózek z lalką dookoła stołu. Jadalnia jest duża i ciemna, a krzesła, dwa razy takie jak Anisia, grożą tralkami dwudziestu czterech tylnych nóg. A jeszcze fotele, a cztery kanty stołu i dwa kredensu, i najniebezpieczniejsze — wywrotny stolik pod lustrem, z którego w zeszłym tygodniu spadła porcelanowa waza. Anisia mija go z daleka i krzywi się na to wspomnienie. Najpierw płakały z mamą i na próżno próbowały skleić błękitne skrupy, potem ze strachem czekały powrotu ojca.

— Wolę mieć psy, niż dzieci — odpowiada wreszcie przy mijance Pola, która krąży w drugą stronę wokół stołu. Anisia czuje ulgę, ale trwa to chwilkę, bo znowu musiała niepotrzebnie powiedzieć:

— Przecież twój Bobik to osiołek, a nie pies!

Pola robi szybkie okrążenie, przy czym kłapouch na kółkach kiwa tak szybko głową i ogonem, że wygląda prawie tak strasznie, jak kominiarz, kiedy chodzi po samym brzegu dachu.

— To jest pies — mówi Pola ostro, wymijając wózek w ten sposób, że Anisia musi się cofnąć. A za następnym spotkaniem krzyczy jej do ucha:

— Osioł Pana Boga nosił, a ty jesteś ciele. Ty i twoja córka! — I trąca wierzchem dłoni uśpioną Halkę-lalkę.

Anisia wie, że za wszelką cenę trzeba uniknąć trzecie-

go zetknięcia. Jest całkowicie zdana na starszą siostrę, wyższą o głowę i silniejszą. Obok w pokoju siedzi mamusia z „paniami z teatru”, ale to nic nie znaczy, a raczej znaczy tak wiele: że płakać nie można, że trzeba się bawić cichutko, że klamka u zamkniętych drzwi jest bardzo wysoko i Pola prędzej biega, więc u drzwi nie ma ratunku, że te panie są nieprzyjemne i każą deklamować sobie wierszyki, a przy tym śmieją się nie wiadomo z czego.

*„Mam królika”**

— mówiła niedawno z tak mocno zaciśniętymi oczkami, że pod powiekami kucnął prawdziwy biały króliczek z rysunku w książeczce —

*„Wszystko, co mu dać, to potyka.
Dziś potknął zapalki,
Obrazek z królowną,
Jutro może umrze,
ale nie na pewno”.*

— Prześmieszna jest ta mała — zaśmiewała się kolorowa blondynka, trzęsąc Anisią w bardzo niemiły sposób.

— Ona ma talent po tobie — powiedziała do matki taka samiuteńka druga blondynka, a mamusia wzruszyła ramionami, chociaż była bardzo zadowolona.

— Co to jest talent? — Anisia pytała potem w kuchni kucharkę, Polę i stróżkę, ale żadna nie umiała odpowiedzieć.

— Co to jest talent? — Mamusia roześmiała się:

— Zawracanie głowy, moja maleńka.

Anisia pokręciła główką kilka razy i nie uwierzyła. Ale tatuś przy stole powiedział to samo, tylko takim głosem, że Anisi chciało się płakać. A potem zwrócił się do matki:

— Proszę, byś memu dziecku nie przewracała w głowie.

Anisia wśliznęła się z wózkiem pod fotel. Zrezygnowała z czystego fartuszka, którego koronkowy obręb przydepnęła Pola. Pola pędziła teraz dookoła stołu, wywracając na skrętach zadyszanego osiołka i nuciła na nutę krakowiaka:

*) Wiersz Hłakowiczówny.

*Anisia jest cielę
Z przewróconą głową
Cielę na niedzielę
Głową cielęciovą.*

„Pola to od Topola” przemyka Anisi przez główkę, lecz Anisia wie, że tego ani powiedzieć, ani nawet pomyśleć nie wolno, za żadne skarby, że to jest jak podpalenie warkoczyka, czy jak wypaść przez okno, więc prędko szepcze: „Och, żeby Pola złamała nóżkę!”, i marzy o łóžeczku z siatką, w którym jednak leży nie Pola, a ona, Anisia, i mama będzie jej, Anisi, czytała bajki z malowanej książeczki... Na razie żadna nogi nie łamie, a Pola wskakuje na fotel i zaczyna z całych sił wywijać czarnymi lakierkami przed nosem Anisi i Halki-lalki. Musiały się cofnąć do samej ściany, i patrzeć na złote sprężyny, skaczące pod Polą.

Anisia znowu myśli o wysokiej klamce. „Panie z teatru” rozmawiają głośno i wyjdą na pewno przed samym przyjściem tatusia. Później wbiegnie mama: „Już jutro pojedziemy z pewnością, ale dziś, nie mówcie, najzłotsze moje, że nie byliśmy na spacerze!”. Pogniewa się za zbrudzony fartuszek, a nie będzie czasu na tłumaczenie, potem tak ładnie westchnie, podnosząc ręce do włosów: „Ach, nawet bony nie mają te biedactwa” — albo: „Ach, gdybym nie była tak głupia!”. Mama zawsze tak wzdycha, i zaraz staje przed lustrem, i Anisia lubi patrzeć, jak robi smutne miny: „Mario, Mario!”. „Jest mimiasta” powiedziała Marianna do Janowej z suteryn i Anisia myśli o tym z dumą.

„A nie mówcie, broń Boże, że były u mnie panie!” zagrozi palcem, gdy odezwie się dzwonek.

I zacznie się najgorsze.

Tatuś ma głos gruby, jak Herod w jasełkach.

„Byłyście na spacerze?” zawoła od progu.

„W Parku Ujazdowskim” zapiszczy Pola.

„No i co ciekawego widziała panienska?” spyta, podnosząc Anisję najpierw do kłujących wąsów, a potem tak wysoko, że mamusia i Pola przestają należeć do Anisi, są jak z innego mieszkania, jakby nieprawdziwe. „Nic” odpowiada Anisia, ponieważ nie potrafi wymyślać, a zwłaszcza w takiej chwili.

„Widziałam wielkiego psa, co prowadził staruszka na łańcuchu...” słyszy Polę.

„To ślepiec”.

„I jak gryzły się dwa jamniki, a jedna dziewczynka złamała kółko... A druga miała takiego olbrzymiego niedźwiadka, ooo, takiego, jak w sklepie na dole...”

„I jakiego ty byś chciała mieć...” Pola kiwa poważnie głową, i wszyscy się do niej śmieją, a odwracają od Anisi, która nic nie potrafi wymyślić. Ale to lepiej, bo czasami tatuś pyta jeszcze:

„A tyś nic nie widziała, nic a nic?” I Anisia musi powtórzyć swoje nic, choć mamusia wzrusza ramionami, a tatuś patrzy groźnie. Kiedyś powiedziała: „Widziałam dwa listki...” Mamusia roześmiała się, „ty głuptasie!”, ale tatuś nie był zadowolony.

„To dziecko jest dziwnie zastraszone i nierozwinięte. Musisz ją zabrać do doktora, i patrz jaka znowu bledziutka!”

Anisia boi się doktora, i wszystkiego, co mówi tatuś. Są to straszne historie, jakie powracają w nocy, czasami przez sen, a czasami zaraz po zgaszeniu światła, o ile Anisia nie zdąży zobaczyć wcześniej Klipka i Lipka, dwóch listków wędrujących po świecie, albo łachmankowej Daniele, co plecie, jak to spać piecuje, tańczyć szafi, a Anisia ktośuje, i okni się, i wydaniela i naciąga kołderkę na głowę, aby się wychichotać w sekrecie przed Polą. Och, żeby można było zawsze nie pamiętać tatusia!... Bo tatuś ledwo zobaczy przy stole, jak Anisi mięsko rośnie w buzi, to zaraz mówi:

„A wiesz, znałem taką jedną dziewczynkę, nazywała się Hania, i nic nie chciała jeść. I chudła, chudła, aż zrobiła się cieniutka, jak zapalka. No, i jeden pan omylił się, potarł nią o pudełko, bo chciał zapalić papierosa”.

„I co?”

„Spaliła się”.

„Na śmierć?”

„Na śmierć”.

To było okropne. O wiele gorsze, niż o dziewczynce nadętej.

„Ta dziewczynka nazywała się Krysia. Miała muchy w nosie, nadymała się, nadymała, aż wreszcie...”

„Pękła!” krzyczy z triumfem Pola.

„Nie” odpowiada tatuś i Anisia może znowu oddychać. „Zrobiła się okrągła, niby balon, taka zupełnie nadęta, aż tu służąca akurat otworzyła okno, aby gołębiom wysypać okruszek. Powiał wietrzyk i ta Krysia wyleciała. Pokręciła się chwilkę nad podwórzem, służąca nawet szczotkę

wysadziła za okno, ale dziewczynka nie mogła jej złapać, bo wiatr ją unosił coraz wyżej, i wyżej... Przeleciała za dom, nad ulicą, wyżej i wyżej... Leciła tak cały dzień, i dopiero nocą udało jej się ucześcić za róg księżycy”.

To się Anisi o wiele bardziej podoba. Na księżycu mieszka Pan Twardowski i kogut, więc nie musi być tak zupełnie smutno.

„Znałeś tę Krysię?”

„Mhmm...” mruczy tatuś, niczym pluszowy niedźwiedź, jakiego dostanie Pola.

— Dziś pewnie dostaniesz Misia — Anisia próbuje spod fotela.

— Dostanę! — Pola przestaje wywijać nóżkami.

— A jak go ochrzczisz?

— Nazywać się będzie Jacek. Jak syn stróża. I może się ożenić z twoją Halką-lalką.

Anisi nie podoba się imię, ani projekt małżeństwa, ale chciałyby wyleźć spod fotela.

— Ale będą mieszkać osobno?

— Jak zechcą. A jak mama pozwoli, pójdziemy po obiedzie do Zosi. Ona umie robić ślub.

— O, tak! A Halka włoży białą sukienkę. Jest wyprana. Mogę zaraz poprosić Marianny, niech nie zapomni wyprasować.

Teraz Pola sama otwiera przed Anisią drzwi najpierw do przedpokoju, potem do kuchni, i Anisi robi się przyjemnie na widok grubej służącej, rondli, patelni, prostych desek podłogi, ciepła i zapachu pieczonych racuszków. Marianna fartuchem wyciera niski stołeczek, i tłustymi palcami wtyka Anisi różowy placuszek wprost do buzi. „Lubię marianowane racuszki”, myśli Anisia, „a nie lubię jadłniowatych”. Głośno mówi:

— Marianna jest taka ładna jak prawdziwa wróżka.

Pola dostała Misia, mama perfumy, a Anisia organki.

— Będiesz grała na weselu — zdecydowała Pola, i Anisia się bardzo cieszy i bardzo boi. Idą właśnie na to wesele z Marianną, która ściska Anisę za rękę, a pod pachę drugiej wepchnęła sobie cały wózek z Halką-lalką, bo właśnie trzeba przejść przez szeroką i niebezpieczną jezdnię Alei Jerozolimskich. Pola idzie obok z Jackiem. Nie chciała dać go do wózka, nie niesie go na rękę, ale ciągnie za

burą łapę, i wielki Miś dynda ukosem nad samą ziemią. Marianna stara się łokciem prowadzić Polę.

— Proszę się nie gapić! — krzyknął brodaty człowiek z czapką na oczach. — Wlecze się jak gdyby holenderska królowa! — Spojrzał źle na Mariannę, i w tym momencie trącił niechcący Polę, i Jacek klapnął, jak długi, na sam środek szyn. Marianna nie dała go podnieść, zgarnęła Polę brzuchem i kołami niesionego wózeczka, przynaglając i popychając, gdyż policjant znowu machnął pałą, i zza rogu wytoczył się dzwoniący tramwaj. Już z chodnika widziały, jak przeciął wpół Jacka, a Anisi zdawało się nawet, że słyszała okropny pisk. Marianna rzuciła się z powrotem, ale to, co przyniosła, było gorsze od dziewczynki zmienionej w balonik, a nawet od tej, co spaliła się jak zapałka. Było takie, jak prawdziwa śmierć z gazet, czytana głośno przez Mariannę, kiedy mamusia wychodzi do kina.



W przedpokoju straszą palta, za którymi mogą czaić się zbóje, a z kuchni dobiega przeraźliwy charkot. To chrapie Marianna. Pola wiesza się na klamce, i wjeżdża w niedozwolony sposób do jadalni. Drzwi skrzypnęły za głośno, klamka odskoczyła, jak gdyby ją ktoś z drugiej strony pochwycił. Jednocześnie zegar zaczął dzwonić długą godzinę.

— Dziesięć i jeden — policzyła Pola na palcach i odycha z ulgą po ciszy za ostatnim uderzeniem, bo dziesięć i dwa oznacza północ.

W pokoju nie jest ciemno. Między firankami niezastłoniętego okna tkwi rogaty księżyc, i „weneckie” okno zamknięte jest niby okładka na książce spod choinki. W pokoju nie jest ciemno, ale na podłodze leżą czarne, bryłowate cienie, warujące psy nocy. Nieprawdziwe, ale groźne. Pola przeskakuje przez nie, aby ich nie trącić. Jacek leży w tekturowym pudełku na tym samym stoliku, z którego Anisia w zeszłym tygodniu strąciła wagę.

„Jak w trumnie” powiedziała mama, i te słowa wygnały Polę w nocy z dziecinnego pokoju. Ostrożnie zdjęła pudełko i kucnęła z nim na jasnej płamie pod oknem. Z trocin wychynęła głowa z jednym koralikowym okiem.

Kiedyś na wsi znalazły pod drzewem pisklę. Zrobiły mu gniazdko ze starego maminego kapelusza, nazwały Pikusiem, i powiesiły na oknie. Na noc trzeba go było przykryć czapką z gazety, aby ćwierkaniem nie zbudził wszys-

tkich o świcie. Ale wróbelek w nocy zdechł. Ułożyły go na wacie w pudełeczku po perfumach, i zakopały pod różą na klombie. Wróbelek miał oczki zamknięte białą skórką.

Pola miała iść na pogrzeb, gdy Trzecia Babcia zamknęła oczy, dużo było koło tego mówienia, w końcu Pola nie poszła. Trzecią Babcię Pola odwiedzała rzadko, bez mamy i bez Anisi, nawet bez Marianny, przyjeżdżała po nią od Trzeciej Babci Staśka. Ze Staśką jechały długo tramwajem, a czasami dorożką. Trzecia Babcia częstowała ją miętówkami domowej roboty, i paluszkami z anyżem. Po Trzeciej Babci Pola dostała kolczyki z brylantami, które mama chowa w bieliźniarce. Dla tych kolczyków, akuszerka z drugiego podwórza przekłuła Poli uszy, żeby mogła je nosić, jak dorosnie. Pola nie myśli tak często o Trzeciej Babci, jak powinna, jak jej kiedyś obiecała, że będzie, ale, gdy myśli, zawsze bardzo żałuje jej wesołych czarnych oczów, które pokryła biała skórka. Miś patrzy groźnie jednym okiem i dlatego Pola nie może nad nim płakać.

„Pola nigdy nie płacze” chwali ją mamusia, ale Pola wie, że mamusi nie zawsze można wierzyć. A słyszała pode drzwiami, jak Marianna mówiła do stróżki: „Ten dzieciuch nie ma serca. Płacze, chyba ze złości. O, ta maleńka, ta Anisia, aniołeczek słodki! Myślałam, że sama się pobeczę, jak pytała, czy go bolało. Niedźwiadka, pytała, czy bolało”.

„Głupia. I Anisia też głupia”, mruczy Pola, lecz to nie pociesza, ale ściska w gardle jeszcze większym żalem. Gdyby mogła umrzeć! Wszyscy by jej żalowali, i Marianna nie śmiałaby powiedzieć, że nie miała serca. Jaka szkoda, że umrzeć nie może, ponieważ jest zdrowa, nie tak, jak chorowita Anisia, nad którą wszyscy się dlatego ceckają. Nie-nawidzi jej za to, i za te wierszyki, którymi mama chwali się przed „paniami z teatru”, chociaż Pola umie dłuższe i o wiele prędzej wyrecytować. Ale jej nikt nie prosi o deklamowanie, mimo że Anisia mówi cichutko, i zaciska przy tym piąstki i oczki, jakby ją to bardzo bolało.

Pola płacze. Skulona w długiej koszulinie na posadzce, twarz w twarz z księżycem, płacze nie nad Jackiem, który patrzy-nie-widzi jednym okiem, ale ze złości, tak jak to powiedziała Marianna, ze złości na Anisję, na mamusię, i na to, że ona, Pola, nie ma serca, że bije północ, a jadalnia skrzypi cała jakimiś złymi rzeczami.

AKTOR

Już dawno stopniał pierwszy śnieg, a potem poszło na zmianę: śnieg i błoto, deszcz i śnieg, gdy wreszcie po którymś tam razie dziesięciostopniowa ślizgawica skuła asfalty, bruki i kocie łby, z jednakową złośliwością wykręcając włochate nogi koni i jedwabne śpieszących dziewcząt. Najbardziej śpieszyły te, którym było zimno w jesiennych palto-cikach. I te najboleśniej wykręcały kostki.

Wtedy to Anisia odkryła Pyzowskiego, babka zaczęła na noc prasować prześcieradła, i doszło do rozmowy o zimowych płaszczach. Właściwie nie była to żadna rozmowa. Tyle tylko, że te cztery: matka, babka, Pola i Anisia myślały o tym samym przy tym samym stole.

— Nalej mi jeszcze herbaty — babka podała Poli filiżankę. — Mówią, że zima będzie ciężka.

— A ja nie chcę tej zimy wychodzić na ulicę! — Matka mówiła „chcę” i „nie chcę”. — Dziewczynki wezmą moje karakuły.

Tego więc zimowego wieczoru urodził się system jednego palta. Futro było piękne, z watoliną, i eleganckie, ale jedno. W poniedziałki, środy i piątki nosiła je Pola, we wtorki, czwartki i soboty — Anisia. Nie potrzebowały chodzić ani na wykłady uniwersyteckie, ani do pracy. Był kryzys. W niedziele futro należało do południa do Poli, po południu do Anny. I na zmianę.

„Która ma dziś wychodne?” pytała matka przez wiele tygodni przy śniadaniu, i był to miły dowcip, którym się zaczynały miłe i niemiłe dni. Ale częściej miłe.

— Nalej mi jeszcze herbaty — babce ręce trzęsły się coraz bardziej. — Już od trzech lat nie mamy służącej.

Nikt nie zwracał uwagi na jej słowa i palce, co drgały niby skrzypkowi przy trelach. Futro miało puszysty skunksowy kołnierz, a przy śniadaniu życie wydawało się piękne. Wszystko było możliwe. Przynajmniej dla tych trzech: dorastających córek, i Marii, ich matki.

— Skoro i tak nie możemy chodzić razem, po co nam podwójne sukienki, kapelusze i rękawiczki? Lepiej kupić coś lepszego, a i tak będzie oszczędniej.

— Jak to dobrze, że nie urodziłam syjamskich bliźniąt! — roześmiała się matka, a później śmiała się tak samo krawcowa, mierząc Poli i Anisi jedną sukienkę.

System jednego płaszcza został ulepszony.

Co niedziela przychodził na obiad Pyzowski. Ten, którego w dzień ślizgawicy odkryła Anisia. Zresztą, nawet bardzo się śpiesząc, trudno byłoby go nie zauważyć. Letni deszczowiec trząsł się z zimna, a człowiek pod nim chwiał się na oblodowiałym chodniku, jak zatknięty w polu strach na wróble w czas wichury, czy kabaretowy danser w ekscentrycznym foxtrocie. „Temu życie się udało” wyceńiła Anisia, poprosiła o pomoc w niesieniu kartofli, i zaprosiła na niedzielny obiad.

Pyzowski przyszedł we fraku. Okazało się, że to jego jedyne ubranie. Był kiedyś aktorem. Każdy aktor posiada frak, i frak mu pozostał na „koniec”. Po szarych, brązowych i granatowych marynarkach, znoszonych do ostatniej nitki.

— Teraz przyszedł na mnie koniec — chrypiał nad wonnym schabem i przyzłożoną kapustą. — Widzi pani, jak świecą się szwy — pokazywał matce. — Póki chowałem go, czyściłem, wietrzyłem, zaszywałem w prześcieradło, miałem nadzieję. Jeszcze im Luksemburga pokażę, mówiłem sobie. Ech! — machnął ręką. — Głupi byłem. Pętaki, same pętaki, wróble przy końskim łajnie, wszędzie! Czy toto wie, co to jest teatr? Sztuka? Jak wygląda artysta?... Zęby pokazuje, nóżką fajtnie, zapiszczy nie w takt, i już — primadonna. Krowięta — nazywało się takie!... Albo byle tango zaśpiewa: tenor. — Pyzowski gestykulował i Maria zauważyła chyba przecież ślady jakowejś nadziei na jego starannie utrzymanych paznokciach. Więc co chwila swoje własne zaniedbane ręce składała na podółku. Ale Pyzowski nie zdawał się zainteresowany eksteriorem odnalezionej „bratniej duszy”. Zwrotu „my” używał protekcyjnie, przez grzeczność. — Nas nie dopuszczają,

droga pani, nie dopuszczą, o nie! „Stara szkoła” skrzywi nosem jeden z drugim modernista z Nalewek, co to śledzie niedowagać, a nie w teatr bawić się, powinien! Lecz to, mówię pani, przez zazdrość. Przez zawiść i zazdrość. — Ściszył głos do szeptu, aż zakrzuszył się tym szeptem, zakaszał, zatrzepotał rękami, i zatrzepotały czarne poły fraka, jak ogony wronie w walce z koszmarnym kocurem.

Nie mógł jeść tej pierwszej niedzieli. I wyglądało to, jak u młodzika na pierwszym balu, który lęka się kapelki sosu i kropelki likieru, a frak i strach tworzą jedną ciasną osobowość.

Futro, sukienka, bilet do kina — to były rzeczy ważne. Także niedzielne obiady. A także asparagusy w żardinierce, wróble bijące się u okna, i pokój frontowy, słoneczny, ciepły, puszysty. Ale pokój frontowy był jeden. W nim poustawiono najlepsze meble, na podłodze leżał dywan, na ścianach wisiały nienajgorsze akwarelki, a na półeczce przed lustrem robiły rokoko trzy porcelanowe figurynki. Wieczorem wszystko się zmieniało. Frontowy nie był już salonem, ani niedzielną jadalnią, ale sypialnią matki i babki. Anisia i Pola opuszczały go niechętnie.

— Serce mi się kraje. Zamarzniecicie tam na śmierć! — mówiła mama, a babka drobnymi łyżkami dopijała ostatnią szklankę herbaty i biegła prasować prześcieradła.

Ciężka to była zima. Mróz fantastycznie ukwiecał szyby, i to było ładne. Ale rozpełzał także lodowym szronem po wilgotnych ścianach, i łóżko sióstr trzeba było odsuwać na sam środek małego pokoju. W kącie stał piec. Gdyby jednak udało się węgiel zmienić w najczulsze serce, jeszcze by nie podołało wszystkim wilgoci nadpiwnicznych murów.

„Więcej niż skromne komorne, moja pani” odpowiadał niezmiennie gospodarz. „Za to latem, sam zazdroszczę chłodu. A komorne, powtarzam, więcej niż skromne. Pani Wdowa, nie powinna narzekać” niecierpliwiał się marszem na czoło, tonem, i pstryknięciem palców prawej ręki. „Sam frontowy wart całej ceny. Panienci młode. W lesie bym za te lata mieszkał! A może zaległy rachunek pani zapłaci?” przypominał sobie nagle, i role zmieniały się, to on teraz był skrzywdzony, on cierpliwie czekał, przed nim trzeba było się tłumaczyć, kokietować go, dobruchać.

— W gruncie rzeczy, niezły człowiek. Zalegamy chy-

ba piąty miesiąc. — Tak się skończyła mamy akcja na rzecz osuszenia piwnic.

Babka co wieczór prasowała prześcieradła Poli i Anisi.

— Będzie wam łatwiej rozgrzać się — mówiła, garbiąc plecy nad ciężkim żelazkiem, a one przyjmowały tę jej pracę jako należną, nawet nie troskę, a zwykłość. Tak prędko można się do wszystkiego przyzwyczaić!

— No, prędzej babciu! — poganiały. — Widzisz, że już jestem rozebrana! Nie chcesz chyba, żebyśmy przymarzły do podłogi! — A potem było długie cha-cha-cha, i otulanie, i kopanie, „posuń się, posuń!”, i wyskakiwanie z łóżka, by wyściskać babcię jeszcze raz na dobranoc. Babka zapalała lichtarz i ginęła w ciemnym korytarzu. W mieszkaniu była elektryczność. Babka jednak musiała przed snem zdmuchnąć świecę.

Na nocnym stoliku leżała w safian poprawna Biblia ojca Poli. Przed zaśnięciem Pola otwierała ją na chybił trafił, czasami próbowała czytać, częściej nic nie myśleć. Kiedyś babka wykrzyczała w złości, że nieboszczyk chyba jej nigdy w rękę nie trzymał. Pola nie uwierzyła. Tak była okutana w swoją miłość do nieznanego, i jedyne po nim, w safian poprawne, dziedzictwo.

Jakże wita się wiosnę po takiej zimie! Wyskoczyła znienacka na ulicę, poprzymocowała kolorowe wstążki do kapeluszy, ktoś mówił, że słyszał skowronka, ktoś kupił bukietik przylaszczyk, szewc do krwi zbił krostowatego syna za to, że poszedł na węgry, lub raczej za, odbierający darmowego pracownika, przymus szkolny. Babka grzała się w słońcu przy oknie, a matka codzień pytała, czy „panie” chodzą już w letnich płaszcach. Pilno jej było — każdy się trochę dziwował, a wszyscy zdawali się nie pamiętać, że całą zimę nie wychodziła z domu.

Owej to kwietniowej niedzieli, kiedy matka wyszła na swój pierwszy spacer, a Anisia do zmroku rozmawiała z Pyzowskim, Poli zginęła Biblia.

— Przyniosłam ją tu, do frontowego, kiedy sprzątałaś nasz pokój. Musi się znaleźć. Chyba Pyzowski ją ukradł!

— O nie! — zawołała Anisia, i skuliła się przy rozpaleniu pieca. Zdawała się nie widzieć i nie słyszeć, trzaskającej szufladami Poli, i zadreptanej z kąta w kąt babki. Mo-

że Pyzowski był pijany, może odurzyła go wiosna. Ale to ona, Anisia, zaczęła. Z nudów, aby o coś spytać, przez grzeczność przedłużyć skończoną rozmowę przy nie dokończonej herbacie. Nie, daru konwersacji Anisia nie posiadała.

„Czy był pan żonaty?”

Skądże mogła wiedzieć, że on się rozpłaczę. Może jednak był pijany.

„Czy umarła panu żona?”

„Czy sądzi pani, że moja żona mogłaby mieszkać ze mną w domu noclegowym? Niech pani powie, czy mieszkałaby pani z mężem w domu noclegowym?”

Nie, Anisia nie umiała odpowiedzieć.

Pyzowski zdawał się uspakajać. Lecz po chwili zaczął mówić, mówić bez końca, i nadaremnie Anisia nadśledziwała kroków matki, babki, albo Poli, niespodziewanego dzwonka u drzwi, czegokolwiek, co mogłoby położyć kres temu koszmarnemu popołudniu. Wyciągnął zmięty brulion, i odczytywał listy do swojej żony. Listy, których nigdy nie śmiał wysłać.

„Ona wyśmiałaby mnie, ma taki głupi przejmujący śmiech... Nigdy nie była ładna... I głosu nie miała, to był początek tragedii. Nie miała głosu a chciała śpiewać... Nie przyjmowałem engagement, jeśli jej nie kontraktowali... Lecz ona chciała mieć powodzenie. Nie wystarczała klaka, kupowałem kwiaty. Wszystko było dobrze, póki miałem pieniądze na te anonimowe hołdy. Ale zaczęło się dziać coraz gorzej. Kryzys i w ogóle... Obniżali nam stawki z roku na rok, musiałem akceptować najśmieszniejsze propozycje. „Ach!” westchnął „głupstwo wszystko! Może się pani domyślać, jakie było nasze pożycie, hę? To nie jest najważniejsze. Główne było to, że nie mogłem oderwać się od tego brulionu. Siadałem i pisałem, pani widzi... ot, takie bzdury, głupie jakieś słowa dobierałem, kabotyńskie, wszystko dla niej...” Zaczął znowu czytać. Rzeczywiście, było to po grafomańsku, idiotycznie. Stek napuszonych miłosnych słów, jakie wzruszyć by mogły jedną tylko kobietę, kobietę kochającą. Żadną inną. Panią Pyzowską nudziłyby na pewno.

I Anisia poczuła się znudzona.

Spojrzał na nią w chwili, gdy wargi jej drgały od hamowanego ziewnięcia. Może myślał, że to wzruszenie? Więc oderwał się od brulionu, i opowiadał dalej:

„Zacząłem pić. Aż zdarzyło się, że nie zostałem zaan-

gazowany. Rok, dwa..." Wzdrygnął się, a Anisia wstała, by zamknąć uchylony lufcik. „Potem śpiewaliśmy w kaba-recie, ale ona zerwała kontrakt, wyjechała z jakimś face-tem nad morze... Wróciła po miesiącu. Lecz ledwo się obej-rzałem, ledwo się zgodziłem na ogólną pogardę, znowu z kimś gdzieś wyjechała... Wracła tak kilka razy, coraz dłu-żej jej nie było, na coraz krócej przyjeżdżała... Ostatni raz, sześć lat temu. Może mnie szukała? Ale czyż można zna-leźć męża w domu noclegowym? W jakimś domu noc-legowym, w jakimś mieście?"

— Nie wiesz gdzie mieszka Pyzowski? — pyta Pola.

— W domu noclegowym.

— Nie sędzę, by było to odpowiednie miejsce do kon-templacji nad Biblią.

— Daj spokój! — rozłościła się Anisia. — Pyzowski to... to... dno nędzy!

— Głupia. Nędza jest bezdena.

Pola powiedziała to ot-tak-byle, ale gdy zobaczyła, że babka się żegna ukradkiem, zagryzła wargi.

Nikt nawet nie zauważył, kiedy Biblia wróciła na swo-je zwykłe miejsce. „Znalazła się” i doprawdy nie było się nad czym zastanawiać. Wiosna skakała w termometrze, i absorbowwała uwagę i ręce wszystkich. Babka pruła i szy-ła, matka przesadzała pelargonie, pewnego dnia wypchnię-to „dubelty” z okien, a co rano niecierpliwe oczy szukały w zielonej skrzynce nowych kielków nasturcji.

W niedzielę przyszedł Pyzowski z pękiem kaczęńców. Ceremonialnie wręczył bukiet matce, i długo chwalił się, jak to je sam zbierał na podmiejskim mokradle. Pola wnio-sła dymiącą wazę.

— Dzień dobry panu — ukloniła się z przesadną grzecznością. — Byłby mi pan oszczędził wie-le fatygi, zostawiając łaskawie adres antykwariatu, w którym miał pan zamiar sprzedać m-o-j-ą książkę.

Podniosła pokrywę wazy i para zakłębiła się nad sto-łem. Nikt nie podniósł oczu, nikt się nie ruszył, nikt nie odpowiedział na skrzypnięcie drzwi. Pola powoli rozlewa-ła żupę, omijając piąte nakrycie.

— Nie będę dziś piła herbaty — pierwsza odezwała się babka. — Czy myślicie, że on wróci?

Nikt jej nie odpowiedział, chociaż wszyscy myśleli o tym samym.

— Twój ojciec żyje — powiedziała nagle matka, patrząc surowo na Polę. — Żyje, i myślę, że nadszedł czas, byśmy się do pana Lityńskiego zwrócili o pomoc.

— Och, Maryniu! — zaprotestowała babka. — Naprawdę zwariowałaś! — I już obejmowała Polę, jakby ją uchronić chciała od ciosu.

— Nie chcę tłumaczyć się przed moimi dziećmi. Ale... — głos matki się załamał — zalegamy już dziesiąty miesiąc. Węgiel w tym roku...

— Gdzie jest mój ojciec? — zawołała Pola, uwalniając się z objęcia babki.

— Dokładnie nie wiem. Pan Lityński założył nową rodzinę. Sądzę jednak że mogłybyśmy wrócić do Warszawy. Kiedyś, Polu, musiałam z nim z całych sił walczyć o ciebie.

— Och, po co, Maryniu, po co!... — zawodziła babka. — Na pewno splajtował.

— Ma lepszą głowę do interesów, niż nieboszczyk Karol.

— Takie byliśmy szczęśliwe! Wszyscy plajtują. Po co, Maryniu!

— Miał także coś w Ameryce.

— Od Ameryki zaczął się kryzys — wtrąciła bezosobowo Anisia.

— Gdzie mój ojciec? I czy mogłabym się nareszcie dowiedzieć, na czym polega katastrofa? — Głos Poli był jasny i spokojny, ale w spojrzeniu, skierowanym na matkę była furia.

— Chcesz go poznać Polu?

— Naturalnie.

— Naturalnie! — powtórzyła Anisia. — Ja też chcę! Skoro mój tatuś mógł być tatusem Poli, to Poli tatuś może być moim tatusem, nie?!

— Ależ on jest Żydem! — zaprotestowała babka.

— Niechcesz mama nie będzie śmieszna! Nie Żyd. Pochodził z rodziny żydowskiej.

— No to co?! — zawołała Anisia, i zrobiło się cicho.

Pola zebrała na tacę filiżanki, cukierniczkę, czajnik. Zgarnęła obrus, wygładziła serwetę, podała matce karty do pasjansa. — Bardzo cię przepraszam, bardzo was wszystkim przepraszam za tego... aktora.

— Może wróci — westchnęła babka.

Anisia parsknęła nerwowym chichotem. Pola, chociaż rozumiała powód i rodzaj śmiechu siostry, robiąc pół obrotu przy zamykaniu drzwi, obrzuciła ją mrozącym spojrzeniem.

(Pyzowski nie wrócił.)

CYRK

Warszawska ciotka prowadziła od lat żywot stateczny i nudny. Tymczasem nastąpiła stabilizacja złotego. Kurs deflacyjny sprzyjał ciułaczom. Zaczęła więc ostrożnie ryzykować. Od czasu do czasu zjawiał się w jej mieszkaniu „kupiec”, i pani Wojnołowiczowa pod zastaw pożyczła pieniądze. Na krótki termin i wysoki procent. Dawało jej to emocje większe, niż ulubiony niegdyś wint.

Opiekę nad Anisią przyjęła chętnie. Oszczędna samotność była skutkiem niesprzyjających okoliczności zewnętrznych, regulowanych wprawdzie jej własną przezornością, ale bynajmniej nie upodobaniem. Nie chciała żyć ani ponad stan, ani poniżej finansowych możliwości. Wydawanie bratanicy za mąż było okazją „jak raz” i „w sam czas” dla odnowienia towarzyskich stosunków. Nie przyszło jej na myśl, że można Anisię kształcić. Anisi to przychodziło na myśl, nie obudzało jednak żadnych pragnień. Wypożyczalnia książek w zupełności zaspokajała jej głód wiedzy.

— Nie stać nas na posag dla ciebie, ale stać na porządną wyprawę. — Anisia pocałowała ciotkę w rękę.

Zaczęło się kupowanie wełen, jedwabi, batystów i płócien całymi sztuczkami, bieganie po sklepach, przymiarki w mieście i w jadalni, gdzie na długie tygodnie zainstalowała się przy oknie szwaczka.

Łatwiej być warszawianką na prowincji, niż w Warszawie. Anisia po powrocie do miasta swego dzieciństwa czuła się w nim obco. Lubiła sklepy, ulice, żurnale. Nie lubiła „bywania” i gości. Mimo nowych sukienek czuła się niezdarnie. Mimo powodzenia w tańcach czuła, że nikogo nie interesuje.

— Mamy czas, mamy czas... — uspakajała ją ciotka.

Obiecała zapisać Anisi salonik w stylu cesarstwa. Anisia pocałowała ciotkę w rękę. Meble były naprawdę bardzo ładne, duże, ocieźżałe ornamentacjami z brązu, choć fatalnie oszpecone nowymi obiciami z samodziałów poleskich za poradą którejś z przemądrzałych „panien modnych”.

Owe panny Cwałujące, jak nazywała je Anisia, psuły jej każdą zabawę. Anisia ich nie znosiła i nie mogła pojąć, dlaczego jest ich tak dużo, i są wszędzie. Na każdych imieninach, na potańcówkach, w cukierniach, na balach, na wentach — były żelaznym repertuarem, mimo że stale się gdzieś śpieszyły, i stale słyszało się, jak są zajęte. „Adzia się spóźnia, powinna już być” mówiła ta lub inna pani domu, i czy to miała być Adzia, czy Zosia, czy Beba, czy Maryszka, po tonie można było poznać, że chodzi o jedną z tych „do tańca i do różańca”, w rzeczywistości starzejącą się już pannę ziemiańską z byłych Kresów, hałaśliwą, pewną siebie i „dzielną”. Owa dzielność polegała na tym, że pracowały zawodowo, otaczając swoje trudne do zdobycia posady (jakie to trzeba było mieć protekcje!) nimbem pracy patriotycznej. Maszynistka z M.S.Z-tu, czy instruktorka ze szkoły rolniczej, o ile posiadała buty do konnej jazdy i spodnie, była zalatany filarem Polski. Wielkomo-carstwowość i len, Tuwim i antysemityzm, snobizm i kółka rolnicze, flirty z oficerami i ostracyzm wobec równie swobodnych, lecz nie równie urodzonych, pogarda dla „dostojewszczyzny”, kult dla „Rodziny Whiteoaków” — och, wydawały się one Anisi straszne, jak ich komody z gruszkami i barchanową bielizną, twarde, kanciaste, definitywne. Ciotka też nie lubiła ich kategorycznych sądów:

— Gorszi od *nouveaux riches* są *nouveaux pauvres* — konstatowała, spoglądając na kanapę, obciążoną niegdyś bordo atłasem. — Ale ty, Anisia, nie możesz ciągle siedzieć z zasznurowaną buzią! Pomyśl, żeś głupia.

Anisia nie uważała siebie za głupią. Bolała raczej, że nie potrafi udawać głupiej w sytuacjach, stwarzanych dla ciągłego udawania. Ciotka nie prenumerowała żadnej gazety. Czytywał Jan, stróż. Czasami przynosił wiadomości do kuchni, Jadwidze. Jadwigę interesowały morderstwa i kradzieże. Jana i Anisę polityka. Ciotkę niepokoiły jedno i drugie.

— Jak wybuchnie wojna, to ja umrę ze strachu — mówiła Anisia. — Albo wyskoczę przez okno. Nie chcę dusić się gazem!

— Nawet zapasów nie byłoby sensu robić — wzdycha ciotka — gazem to przejdzie, jak trutki na szczury. No,

chodź, Anisia, chodź! Panie Janie, my dzisiaj wychodzimy, proszę mieć oko na schody frontowe! A Jadwisia niech nie zapomni zamknąć drzwi kuchennych na łańcuch, dzisiejsi złodzieje to nie, jak kiedyś, tylko w nocy... — Ciotkę trapiły podejrzenia, że Jadwiga robi sobie „wychodne”, kiedy one wychodzą z wizytami. Mogłaby ją sprawdzić, gdyby nie guzdralstwo Anisi. Jak tu zawrócić pod pretekstem, że się czegoś zapomniało, kiedy zawsze śpieszyły spóźnione!

Elegancki zaprosił Anisję do teatru.

— Nie znoszę teatru! — wyrwało się jej, nim zdążyła ugryźć się w język. — Jeśli pan tak łaskaw, to może by cyrk?

— Ach, Anisia, Anisia — udawała zagniewaną ciotka — siedemnaście ma lat, a taki dzieciak!

Anisia miała lat dziewiętnaście.

W cyrku było wszystko tak samo. Pluszowa łoża, trociny, zapach stajen.

— Dlaczego nie lubi pani teatru? — pyta Elegancki, wodząc jednocześnie zniechęconym wzrokiem po upchanej galerii. Anisia podchwyciła kącikiem oczu ruch jego głowy, więc odpowiada krótko:

— Tradycje rodzinne. — Potem myśli, że rzeczywiście nie przypomina sobie ani jednego „teatru” z tatusiem, ani jednego „wyjścia do teatru” mamy z tatusiem. Czyżby teatr był naprawdę ich tragedią? — Najpiękniejszą rzeczą był cyrk — mówi po chwili. — Najpiękniejsze rzeczy zdarzają się w dzieciństwie, pan to wie, prawda? ale potem okazuje się, że za te piękne rzeczy ktoś przepłacił.

— Dzieciństwo spędziłem na wsi. W cyrku jestem po raz pierwszy.

— O, to będzie się pan świetnie bawił! — wysila się na wesołość Anisia.

— Wątpię — odśmiewa się kwaśno Elegancki, i znowu sięga oczami czarnego tłumu pod kopułą. — Dzieciństwo spędziłem na wsi, nad Dnieprem, potem przysła wojna, rewolucja, szkoły kończyłem już w Polsce. Gimnazjum w Lublinie, uniwersytet we Lwowie. Do Lwowa zjeżdża czasami cyrk, ale nikt nie chodzi tego oglądać.

— Jakto nikt?

— Nikt z towarzystwa. Od żadnej poważnej osoby nie słyszałem nigdy pochwały cyrku. Pani jest ekscentrycznym

wyjątkiem. Pięknym wyjątkiem — wręcza Anisi pudełko pralinek.

— Czy zna pan dużo poważnych osób? — drwi Anisia.

— Sądzę, że tak. Jestem sekretarzem wojewody.

— Pytam o poważne osoby, a nie o poważne stanowiska. Tu, w Warszawie, poznałam tylko jedną poważną osobę. Stróż w domu ciotki. Stanowisko raczej nie poważne.

Elegancki śmieje się bez smaku: — Moja kuzynka, panna z bardzo dobrej rodziny, też wpadła tu w Warszawie w lewicujące towarzystwo. Straszna stolica.

— Ja nie jestem „też lewicująca”. Gdybym była, szukałabym posady, a nie męża. Wprawdzie o posady dzisiaj trudno, ale o męża też nie łatwo.

— Pani szuka męża?

— Ciocia dla mnie szuka. Ach, jaki pan niespostrzegawczy! — Anisia zanosi się śmiechem, i ma straszną ochotę powiedzieć, że przecież nie nudziłaby się z Eleganckim tu w tej łoży, gdyby ciocia nie szukała dla niej męża, ale poszłaby sobie sama na balkon, czy nawet z Jadwigą na galerię, i bawiłaby się świetnie, albo nawet popłakałaby się dla wspomnień; tak czy inaczej — byłoby lepiej.

— Ja, proszę pana, wychowałam się na cyrku. O, ta łoża naprzeciwnie, po środku. Jedyną piątkę z wypracowania polskiego dostałam w drugiej klasie za temat: „Czym chciałabyś być, i dlaczego?” Dziewczynki pisały „lekarką”, „inżynierem”, „nauczycielką”... i bardzo przykładowie uzasadniały swój wybór. „Chciałabym nieść pomoc cierpiącym...”, wyobraża pan sobie, prawda? Poprawiać trzydziści wypracowań na jedno kopyto, to musiało znudzić. Więc ja dostałam piątkę. Napisałam, że chciałabym zostać cyrkówką.

— I jak pani to umotywowowała?

— Że chciałabym coś robić, czego inni nie potrafią, i że chciałabym być codziennie odważna, nie bać się lwów, czy że spadnę z trapezu, i jeszcze napisałam, że chciałabym wędrować z cyrkiem po świecie, z miasta do miasta, z kraju do kraju, i... — Anisia się śmieje — że chciałabym się nazywać Lili Marita.

— I dziś by pani też tego chciała?

— Czy ja wiem? — zamyśla się Anisia.

Trąbki, trąby, dzwonki, bębny, smyczki i piszczałki atakowały z takim impetem, że przerwały wszelkie rozmowy; ściszone w łożach, hałaśliwe, z pogwizdaniem na galerii. W reflektory na arenie wkłusowała ósemka siwych

lipizzanerów, za nią ósemka karych, trzaskał bicz, konie tańczyły, dzwoniły uprzężami, ostro ściągnięte wędzidłem wyginały w arabskie łuki szyje, lśniły, potrząsały pióropuszymi. Anisia odpowiada sobie, że nie chce już niczego dla żadnej rzeczy w samej sobie. Chce wyjść za mąż ze względu na ciotkę, chciałaby być bogata ze względu na matkę, chciałaby być „wartościowa” ze względu na pamięć ojca, chciałaby, żeby dziś cyrk się udał, ze względu na Eleganckiego, że więc wszystkie jej pragnienia są podyktowane, a ona podporządkowuje swoją wolę na prawo i na lewo, z sensem i bez sensu. „Jakże to się tak stało” zastanawia się, wpatrzona w ruchomy meander końskich nóg na pluszowej bandzie. Kiedy po szczytowym, zdawało się, efekcie: monstrualny kielich „dęba”, poruszający wysoko nad głową trenera podkowami przednich kopyt, wbiegła w rzęsiste brawa jeszcze ósemka gniadych, i jeszcze ósemka kasztanów, Elegancki aprobuje:

— Szlachetne zwierzęta.

„Albo jestem już taka stara, albo nie jestem dorosła” rozsądza Anisia. Pochyliła się ku Eleganckiemu, i szepcze: — Antropomorfizm, proszę pana. Szlachetne dlatego, że jazdę konną uważa się za dystyngowany sport. Są najłatwiejsze w tresurze. Czy sądzi pan, że posłuszeństwo jest dowodem inteligencji?

— Mmmm... — Elegancki przeciąga dłoń po lekko już przerzedzonej czuprynie. — Posłuszeństwo koni, i młodych panienek, sądzę, tak.

Dowcip chybła. Anisia zajęta jest rezonowaniem:

— Konie w cyrku to ustępstwo dla łóż. Naśladownictwo Hiszpańskiej Szkoły Jeździeckiej przy wiedeńskim dworze. Proszę to sobie kojarzyć z obrazami Dégasa, *belle époque* i w ogóle.

Elegancki widocznie nie umiał. Zgasł, zmarkotniał, zbrzydł, kiedy na arenie rozpoczęły się harce ryżego augusta i jedwabnego clowna. Ryży wyciąga z kieszeni nocnik. Anisia jest zażenowana i zła.

— Niech pan patrzy! Ten kawał z dzieckiem widziałam piętnaście lat temu.

Clown podaje zawiniętą lalkę pani z sąsiedniej łoży. Po chwili z pieluszek ciurka woda. Galeria ryczy, pani jest wściekła, bo ma zmoczone palto. Clown peroruje gardłowym „zagranicznym” akcentem. Ryży odpowiada mu w podobny sposób.

— Żydy z Nalewek — warczy Elegancki.

— To, zdaje się, Rumuni — Anisia sprawdza w programie. Śmieje się teraz i oklaskuje najgłupszy nawet dowcip na złość Eleganckiemu. Potem klaszcze z litości dla podstarzałej woltyżerki. Potem klaszcze pieskom w melonikach. Potem oklaskuje ze szczerym zachwytem żonglerów i akrobatów na latających trapezach. W przerwie wstaje:

— Możemy już wracać do domu.

— Przecież pani się doskonale bawi.

— Pan się nudzi. Chodźmy!

— Ależ gdzie! Młodnieję, patrząc na panią. Chodźmy na papierosa. Cóż za cudowna rzecz, antrakt. — Bierze Anisję pod rękę, przyciska do siebie jej ramię, miesi palcami rękaw paltocika, pozwala sobie, lekceważy na równi z cyrkiem, ironiczny i protekcyjny.

— Pan się na niczym nie zna. Cyrk jest jedyną autentyczną sztuką ludową. Panu się zdaje, że, ach, te hafciki, kilimki, wycinanki... Czy Chrystusik Frasośliwy. Nie. Wszystko naśladownictwo. Nawet tańce i pieśni, na co taka moda zaświtała. Wszystko to jest naśladownictwo sztuki dworskiej, czy kościelnej, czy sztuki *tout court*. Tyle, że bardziej konserwatywne, mniej ulegające prądom zmian, a także ograniczone niedostatkami materiału, prymitywizmem narzędzi, i brakiem wykształcenia „artystów”. Wycinanka za kolorowego papieru — to imitacja koronki. Strój ludowy — to imitacja strojów pańskich, tyle że len i konopie musiały zastąpić tkaniny droższe, i tak dalej. Z jednym cyrkiem inaczej. Wbrew nazwie, nie ma nic wspólnego z cyrkiem rzymskim, wywodzi się z bud jarmarcznych. Jedwabny clown, z twarzą pociągniętą bielidłem, z czapeczką migającą pająkami, to wnuk i zarazem dziad arleki- na z fars weneckich, czy hiszpańskiego graciosa. Przez długie wieki musiał być mimem, ze strachu przed mo- żnymi tego świata. Używał sobie przedrzeźniając panów, bi- skupów, czy rajców, gestami, mimiką. Ludek rozpoznawał, i śmiał się. Trudniej dowieść niecenzuralności min, niż słów, prawda? Zresztą cyrk był wędrowny, co także dobrze służyło skórze mimów. Clown przemówił, kiedy poszerzyły się wolności polityczne. A jeśli dziś dowcipy clownów są płaskie, i ograniczone, a są, to może dowód, że z wolnością słowa nie jest najlepiej?

— Ach, co za herezje, panno Anisiu! Szopki poli- tyczne...

— Niech pan nie przerywa! Szopki polityczne są po-

zwalaniem sobie w swoim towarzystwie. To tak, jak dowcipkowanie z obecnych i nieobecnych przy jadalnym stole, czy w salonie. Inaczej podobny dowcip brzmi w kuchni. Trywialniej, to prawda, ale i niebezpieczniej. Zawsze bałam się wchodzić niespodziewanie do kuchni, a pan nie?... Więc clown dowcipkował właśnie dla nich: Kuchennych, stajennych, folwarcznych i poddanych. Dla hołoty z galerii, którą pan lustrował tak niechętnie. Nie, nie!... Nie apostołuję, tylko referuję. Nazwa angielska „clown” przyjęła się dzięki Dickensowi. Na ile autentyczny jest życiorys dickensowskiego Grinaldiego, nikt zapewne się nie dowie, ale Grinaldi istniał, był clownem... Marchew? Dobrze. Ale tam nie można palić. Zawsze lubiłam karmić kucyki, chociaż bardzo się bałam... Więc niech pan słucha! Ryż August też jest angielskiego rodu. O wiele uboższa genealogia, można powiedzieć: *homo novus*. W roku 1864-ym, datę zapamiętać łatwo, w rok po wybuchu powstania styczniowego, Tom Belling woltyżer angielski, używający pseudonimu August, opuszczając arenę berlińskiego cyrku na galopującym wierzchowcu, tak niefortunnie fiknął kozła, że wylądował na piachu. Daleko za końskim ogonem. Publiczność zareagowała hucznymi oklaskami. August następnego wieczoru już rozmyślnie powtórzył niezgrabne salto. Brawa były jeszcze obfitsze. Potem włożył kostium miejskiego franta, według stylu epoki, ryżą perukę, i August stał się augustem, nazwą pospolitą. Akrobata, woltyżer i pośmiewisko.

— Panno Anisiu. Czy pani pisze pracę doktorską o cyrku? Cóż za wiedza! — próbował poskromić ją ironią.

— Ja dużo rzeczy wiem. O ichtiozaurach także. Ale niech pan uważa! Clown plus menażeria były załączkiem cyrku. Jeśli zdarzyło się cielę o dwóch głowach, pokazywano cielę. Potem przyszła tresura. Niedźwiedź chyba pierwszy, bo miejscowy, europejski. Lwy i tygrysy, ma się rozumieć, dużo później. Najniebezpieczniejsze są jednak do dziś dnia niedźwiedzie, wbrew pozorom, legendom i pluszowym misiom... Niech się pan nie rozgląda, ale słucha! Tędy! O, damy naszą marchewkę tym osiołkom. Lubi pan zapach stajen, jakżeby nie, prawda? Ja niebardzo, ale mniej-sza! Najcudowniejsze dla mnie w cyrku jest to, że żadna tresura poza, w pewnym stopniu, koni, nie posługuje się batem, przemocą. Ani lew, ani mysz, ani kot, ani słoń nie robi żadnej sztuki ze strachu. Robi dla przyjemności poskramiacza. Także dla nagrody. Więc tresowane bestie

karmi się z reguły tylko po występach, lub po próbach. Gdyby „grzeczne dzieci” bywały kiedykolwiek głodne a dostawały obiad tylko po wymyciu rączek, myłyby te ręce tak chętnie, jak lwy skaczą przez obręcz. Pan lubił myć ręce? Ja nie, bo nie lubiłam jeść. Więc niech pan słucha! *Dompteur*, to jest wychowawca lepszy, niż jakakolwiek mama, czy tatuś, czy guwernantka, to musi być wspaniały wychowawca! Psycholog. A także musi kochać swoje zwierzęta. Bez tego ani rusz. Każdy z nich to po trosze święty Franciszek. Tylko, że w klatce z bestiami cudów nie ma. Wcale nie jest tak jak się powszechnie mniema, ot, ciocia moja na przykład, że dla reklamy cyrki rozpuszczają pogłoski o tym, czy owym poskramiaczu, rozszarpanym przez bestie. Takich wypadków jest więcej, niż się wie, doprawdy nie wiem, dlaczego do cyrku przylgnęła anonimowość... Proszę, niech się pan nie ogląda za tą blondynką: nogi. Pan sobie wyobraża, ile lat trzeba, żeby nauczyć lwa skakania przez płonącą obręcz? To nie to, co posada sekretarza wojewody — zaśmiała się — A potem wystarczy, że się *dompteur* pośliznie, i przewróci, a bestie go rozszarpia. Nie dlatego, żeby miały zły charakter. Przede wszystkim inaczej widzą, a co leży, to, od wieków wiecznych, nadaje się do pożarcia. Pan to rozumie: instynkt i konwenans. Lew jest leniwy. Na wolności, jeśli nie uda mu się jednym skokiem dosięgnąć antylopy, czy innej zebry, daje spokój. Ta jego cecha jest dla poskramiaczy korzystna. Gorzej jest, jeśli się w zespole trafi lwica z charakterem wodza. Może się taka urodzić nawet w zoo, i nigdy nie wiadomo, kiedy jej natura się objawi. Bo pan wie: Na wolności wygląda to, jak na podwórku: Kogut i kury. Lew, i stadko żon. Podobieństwo jednak pozorne. W rzeczywistości stadem rządzi jedna jedyna lwica, pierwsza łowczyni. Najmniej leniwa, najbardziej krwiożercza. Kiedy taka objawi się w cyrkowej trupie, przepadło. Zdemoralizuje cały zespół, jedyny sposób to w porę jej się pozbyć, oddać do zoo. No, już dzwonią, chodźmy!... Kiedyś jakaś damulka przemyciła do łoża pekińczyka w mufce. Piesek zaszczekał, omalomal nie doszło do krwawej tragedii. Albo perfumy! Koty mają raczej słaby węch, ale zbyt silne perfumy mogą także zamącić ich spokój. Poskramiacze boją się właśnie takich niespodzianek. Są przecież bezbronni. Trzaskanie batem, czy nawet oddawane strzały z zewnątrz klatki, to żadna obrona, ale tricki dla ekscytowania gawiedzi.

Eleganckiemu rola słuchacza wyraźnie nie dogadzała.

Już nie miesił palcami ramienia Anisi, protekcyjną poufałość starał się zastąpić czymś w rodzaju aroganckiej nieuwagi. Anisia powtarzała co chwila „niech pan słucha!” i nie ustępowała. Przypominała sobie, improwizowała, nie przestawała informować. Zanim zasiedli w łoży, i zagrała orkiestra dowiedzieć się musiał, że najlepszymi żonglerami są Japończycy, Francuzi są niedościgli na fruwających trapkach, że Rumuni celują w akrobacjach komicznych na umocowanych drążkach, Niemcy to poskramiacze dzikich zwierząt i najlepsi w grach ikaryjskich.

— Czy pan wie, co to gry ikaryjskie? No, naturalnie. Nic pan nie wie! To rodzaj żonglerki nogami, gdzie człowiek zastępuje piłkę.

Dwie filigranowe Japonki tańczą na drucie. Anisia żuje pralinę, i wysila pamięć, jak na maturze. Trzepoczą kimonami, rozpięte parasolki chwieją się, jak kwiaty. Już ma! Wniesiono rower, żółty cyklista przejedzie po stalowej nitce. Anisia pochyla się ku Eleganckiemu:

— Pani Sagui, ta w której podobno kochał się Napoleon, przeszła przez sznur rozciągnięty między wieżami Notre Dame.

Cyklista przejechał. Przodem, tyłem, do góry nogami.

— Blondin. To nazwisko było głośne. Przeszedł po drucie nad wodospadami Niagary.

Anisia jest w świetnym humorze. Udało jej się Eleganckiego osadzić, udzielinic. Pilnuje, aby nie mógł się odezwać. Za najmniejszym jego poruszeniem śpieszy z informacją.

— W roku 1385 Gênois...

— Nie ma cudów, proszę państwa! — woła brązowy fakir. — Proszę uważać!

Nagimi stopami staje na desce, jeżące się szpikulcami gwoździ, mieczem szpikuje brzuch, rapier przewleka przez chude policzki, szpilką od kapelusza przedziurawił lewą dłoń, prawa piecze się w ogniu świec. Na galerii słyszać kobiecie jęki.

— Nie ma cudów! — szczerzy długie zęby po skończonym numerze. — A teraz, bardzo proszę, kto łaskaw z państwa przyjdź tutaj na mały eksperyment. Nie będzie bolało, słowo daję! No, odwagi panowie! Bardzo proszę. Polacy, dzielny człowiek!

Elegancki chce się rozruszać. Anisia z całej siły stara

go się zatrzymać. Chwyta go za rękaw, potem ściska palce. Na szczęście ubiega go inny Chętny. Anisia szybko puszcza dłoń Eleganckiego, bo nagle, niespodziewanie, poczuła ciepły prąd, który przebiegł jej po ramieniu, zapalił rumieńce na policzkach.

— Proszę wyciągnąć język. Jak u doktora: aaa, aaa, doskonale! — Fakir mlaszcze pochwały, okręcając Chętym z wielką kłódką na języku. — Nic nie boli, prawda? — pyta czule i ciągnie delikwenta za kłódkę dookoła areny. — A państwo mogą sprawdzić, że naprawdę zamknięta.

— Chciałby pan tak? — pyta Anisia, i wbrew sobie znowu się rumieni.

Po raz pierwszy tego wieczoru Elegancki był zadowolony.

Elegancki wyjechał, wrócił. Wyjeżdżał i wracał, „wpadał” — mówiło się — do Warszawy, czasami służbowo, czasami na koniec tygodnia. Od Cwałujących Anisia słyszała, że był częstym gościem „Adrii”. Bywał także częstym gościem w domach, gdzie przyjmowało się, dowcipkowało i tańczyło, z okazji i bez okazji. Mieszkanie ciotki przy Koszykowej powoli stawało się takim domem, pomimo trzech ważnych braków: pana domu, alkoholu i patefonu. Patefon zastępowało od biedy radio, alkohol — kulinarne zdolności Jadwigi, ale prawdziwą atrakcją była ciotka. Chytra i naiwna, bezpretensjonalna a zakochana w dobrych materiałach i eleganckich pantofelkach, jeszcze ładna a już bez nawyków kokieterii, ciekawska, wesoła, lubiła się po prostu bawić, co określano jako „złote serce”. Anisia po dawnemu uśmiechała się, tańczyła, odpowiadała na pytania.

Elegancki kilkakrotnie próbował zaprosić ją do kina, na jakąś wystawę, na koncert. Zbyła go wymówkami. Poddawała się strategii ciotki: Jedno „wyjście” i basta! Niech się kawaler „zadeklaruje”. Elegancki się nie kwapił. Często dowiadywały się, że był w Warszawie, a omieszkał je odwiedzić. Czasami je odwiedzał, nie wydawał się jednak więcej zainteresowany Anisią, niż wiśniowymi konfiturami. Na przyjęciach u wspólnych znajomych natomiast wyraźnie emablował Anisię, tańczącą, uśmiechniętą, mało mówną.

Któregoś ranka Anisia otrzymała kopertę ze Lwowa z wycinkiem z miejscowej gazety:

SĄDOWE ECHA POBYTU CYRKU W TARNOPOLU

Sąd Okręgowy we Lwowie rozpatrywał w trybie odwoławczym następującą sprawę, załatwioną swego czasu w pierwszej instancji przez Sąd Grodzki w Tarnopolu:

W lipcu ub. roku zjechał do Tarnopola cyrk wędrowny pod dyрекcją Pietkuna. Do dyrektora cyrku zgłosił się niezwłocznie administrator miejscowego pisemka „Echo Tarnopolskie”, Stanisław Czarnobaj, domagając się płatnych ogłoszeń. Spotkał się jednak z odmową, umotywowaną złym stanem materialnym imprezy cyrkowej. Obiecano mu tylko gratisowe bilety wstępu. Czarnobaj ponowił próbę szantażu, przesyłając Pietkunowi przez zecera Mindlina odbitkę przygotowanego do druku artykułu, pt. „Dość naciągania ludzi!”, w którym przedstawiano cyrk, jako bandę wydrwigroszów i łazików. Groził opublikowaniem artykułu, jeśli nie otrzyma ogłoszenia. Nie uskórawszy niczego, Czarnobaj rzeczywiście ogłosił ów artykuł w „Echu Tarnopolskim”, skutkiem czego cyrk musiał zwinąć manatki i wyjechać, rezygnując z dawania przedstawień.

Do gazetowego wycinka dołączony był liścik.

Na cześć Pani zaprosiłem miejscową dziennikarkę na kolację i wymusiłem na niej przyrzeczenie, że napisze artykuł w obronie cyrku. Wątpię wprawdzie, czy okaże się Boyem. Ale jest młoda i przystojna.

Wbrew ciotce Anisia odpowiedziała na to posłanie bardzo serdecznym listem. Później, w sekrecie przed ciotką umówiła się z nim na schadzke. W tajemnicy przed ciotką wrzucała z bijącym sercem listy do skrzynki pocztowej, z bijącym sercem zbiegała co rano do stróżówki spytać, czy nie ma dla niej poczty, i z sercem omal w gardle rozpieczętowywała długie, białe koperty. W chwilach wyrzutów sumienia mówiła sobie, że przecież Elegancki i tak przestał już wchodzić w ciotki rachubę. W rachubę wchodziłi teraz inni. Młody aplikant adwokacki, z którym Anisia była (raz) na koncercie w Filharmonii, student medycyny, z którym Anisia była kilka razy na ślizgawce, i nauczyciel gimnazjum, którego Anisia nie znosiła. Ten ją zabierał na „wolne wykłady”.

Rozumiało się samo przez się, że Anisia przyjmie każde pierwsze oświadczyiny. Czasami, po specjalnie udanej rand-

ce, widziała siebie spacerującą po ulicach i skwerach Lwowa, jaki sobie wypoetyzowała nad skrawkami oglądanych fotografii, i z urywków opowiadań. Najczęściej jednak myślała krótko przed zaśnięciem, prawie z idealnie beznamietną ciekawością, czyja strategia zwycięży: jej — intuicyjna, czy rozsądna — ciotki.

Zdarzyło się zupełnie inaczej. Anisia wyszła za mąż ni stąd ni z owąd, można powiedzieć, przypadkiem. W dodatku dobrze. Jerzy, poza najpiękniejszym, w przekonaniu Anisi, imieniem, posiadał nazwisko dobrze brzmiące w sferach przemysłowo-bankierskich, udziały w przedsiębiorstwach rodzinnych, zawód inżyniera, i własną fabrykę płyt pilśniowych tam, gdzie o drzewo było najłatwiej i robotnik był najtańszy, czyli pod Wilnem. Poznała go u swojej dawnej przyjaciółki z warszawskiej jeszcze pensji. Dostrzegły się w lustrze u fryzjera, przyglądały sobie niedowierzająco, wybuchnęły powitaniem. „Ile to lat minęło? sześć, siedem? Ach, jakżeś wyładniała! Pamiętasz? pamiętasz?...”

Rebeka żyła na statusie ni to studentki, ni to kokoty. Anisia cierpiała, że o wprowadzeniu jej do domu ciotki nie mogło być mowy. Z drugiej strony, była z tego stanu rzeczy zadowolona. Mogła sobie imaginować, że zaledwie w odległości paru przecznic istnieje wyspa innego świata, do którego mogłaby być należeć. Z Rebeką rozmawiało się tak, jak z dziewczętami i chłopcami z poprzednich czasów, gdy Anisia była za biedna i za młoda, żeby zawracać sobie głowę zamążpójściem. Więc o kinie, i o powieściach Malraux, o pesymizmie i o Freudzie, o nowym tomiku wierszy, o komunizmie i o Chwistku. Rebeka górowała nad Anisią wiedzą i odczytaniem, i to Anisi sprawiało specjalną przyjemność. Przybiegała do jej sublokatorskiego pokoiku zwykle po śniadaniu; u ciotki wstawalo się wcześniej, Rebeka lubiła się wylegiwać.

Tamtego dnia była spóźniona, dochodziła już jedenasta. W bramie zawahała się jeszcze, czy warto drapać się na trzecie piętro. Rebeki mogła już nie zastać. Zastała ją w szlafroku, nawet nieuczesaną, a po wyglądzie pokoju, i młodego człowieka, którego ruch ramion mógł oznaczać tylko zakończenie pośpiesznego wkładania marynarki, domyśliła się, że u niej nocował. Chciała się cofnąć, potem została, i towarzyszyła im przy śniadaniu. I wtedy stało się tak, że zażenowanie, z jakiego Anisia nie umiała się otrzą-

snąć, udzieliło się jemu, i ono jakby ich złączyło, i wywyższyło ponad naturalnie wesołą, i po swojemu nonszalancką, Rebekę.

Anisia uwierzyła w miłość od pierwszego wejrzenia. Jerzy ją w tym utwierdzał, i nie natrafiał na specjalny opór. Tyle tylko, że już wtedy, gdy była wyznaczona data ślubu (cichego ku rozpaczyci ciotki), Anisia zdobyła się na pójście do Rebeki z czymś w rodzaju wyjaśnień.

— Daj spokój! — przerwała jej szorstko Rebeka. — On by się i tak nie mógł ze mną ożenić.

Anisia nie chciała zrozumieć.

— Och, Anisia, Anisia! Ciebie to rzeczywiście w cyrku pokazywać! Lili Marica spadła z księżycy — śmiała się obraźliwie. — Ty nie wiesz, ty nie słyszałaś, dlaczego ja przestałam chodzić na wykłady?!

Ale po chwili, jakby dawała Anisi szalik, czy wstążkę, z tą samą rozrzutnością, z jakiej Anisia już nieraz korzystała, podeszła do niej, uniosła Anisiną twarz w swoich dłoniach, i wycodziła:

— Jerzy nie mógłby się ze mną ożenić, bo jestem dziewczyną lekkich obyczajów. Rozumiesz, stara idiotko?!

CZARNY KOT

Dom stał na leśnej polanie, poszerzanej przez wiele chyba lat na małe osiedle: Trzy chałupy wiejskie z małymi zagrodami, i ten dom. Przed werandą klomby, później płot, pod nim bardzo wysokie słoneczniki, a za płotem sosny. Za domem sadzik na piasku, ogród warzywny na niezliczonych ilościach zwożonego nawozu, i zaraz za ostatnimi grzędami wrzos i sosny. Świeciło słońce, przełatywały czarne chmury, śpieszyły gdzieś ukosem nad las białe obłoki. Dom stał. Kot zaś leciał samolotem z Warszawy właśnie do tego domu.

Był to bardzo stary, czarny kot. Przewzano go z rosyjska wulgarnie „Czort”, z inicjatywy pierwszej kucharki, za czasów służby której on się urodził. Trudno jest zreferować całe jego życie. Chodził, naturalnie, wysiadywał w oknie drugiego piętra, mrużąc oczy, gdy śledził muchy na szybie. Jadł, pił mleko. Ale, że w warszawskim mieszkaniu nie było myszy, więc się do ich łapania nie przyzwyczaił. Bawiły go raczej wszystkie brzęczące owady... Tymczasem, coraz szybciej, jak to bywa z latami, zmieniały się pory roku, i pewnej, wciąż jeszcze po marcowemu zapluchociałej, wiosny umarł jego stary pan. Dopiero trzeciego dnia zaistniało pytanie, co zrobić z kotem? Czyż można go tak po prostu wykopsnąć na klatkę schodową, i puścić na wieczne miauczenie po cudzych podwórkach? Anisi, która przyjechała na pogrzeb, żał było starego kota. Wpakowano go więc do koszyka, i ruszyła z kotem w drogę powrotną. Wiodła ona zrazu na lotnisko na Okęciu, a później w górę.

Co czuł, co myślał stary kot? Gdy zajrzała do koszyka na wysokości dwóch i pół tysiąca metrów, w przelocie

nad Bugiem, widziała jego czarne, strachem i złością rozszerzone żrenice. On sam nie widział nic. Ani obłoków, ani nieba, ani ziemi, ani wysokościomierza. Zjeżył się. Nie miauczał. Po co mu to! Czuł, że źle. Był stary. Był doświadczony i zapewne nigdy nie wierzył w litość. Czy jest to uczucie, które nawiedza zwierzęta? Czy widział ktokolwiek, ażeby wróbel najtkliwszym kwileniem, na jakie mógł się zdobyć od czasu ery mezozoicznej, wpłynął na wypuszczenie go z pazurów kota? Po co w takim razie kwili?... Oto jest pytanie, na które Anisia nie знаła odpowiedzi.

Leciał. Jeżył się w koszu. Huk motoru uderzał go boleśnie w sterzące i nieochronione watą uszy. Nad Niemnem zaczęło rzucać. Myślała, że zemrze. Myliła się jednak. Nie chorował nawet.

Tego popołudnia lotnisko wyglądało trochę niezwykle. Przyleciał z Warszawy piękny, srebrny od niklu „Lockhead 10”, olbrzymia maszyna aż na 16 miejsc pasażerskich. Obok stały inne samoloty. Port cywilny. Lustra, marmury. Po drugiej stronie, na podjeździe, trzy limuzyny, i bogato oszklony autobus „Lotu”. Aż tu raptem z boku-przypieku, konna chłopska, furmanka. Wjechała na lotnisko na przełaj, nieświadoma niebezpieczeństw i przepisów, i ukosem-truchtem zatrzymała się dopiero nieomal pod skrzydłem lśniącej maszyny. Czort bowiem miałjechać w koszu nie do miasta, a wprost z lotniska, roboczą kobyłą do domu na leśnej polanie.

Ludzie się trochę popodśmiewali i z kobyły i z furmanki, młody urzędnik lotniska w eleganckim granatowym mundurze biegł już z jakimiś słowami nagany, ale, że poznał w pani, moszczącej w słomie miejsce dla wiklinowego koszyka, młodą inżynierową, tylko zasalutował grzecznie do złotych skrzydeł orła na czapce, chwilę powstał niezauważony, i zawrócił.

Podróż kota trwała dalej. Ściśle mówiąc, dłużej te piętnaście kilometrów, niż poprzednie czterysta. I podczas niej dopiero, gdy furman zdzielił batem konia i zaklął, a okute koło podskoczyło na korzeniu sosny, Czort nie wytrzymał: z cicha miauknął po raz pierwszy.

Po przywiezieniu do leśnego domu, Czorta głaskano, dano mu mleka, i usiłowano jakoś obłaskawić. Ale, czy to zmiana otoczenia, zmiana klimatu może, podróż w obłokach, zmęczenie, tęsknota — kot zaparł się w kąt pokoju, nie chciał jeść, nie mruczał, gdy go głaskano, patrzył tylko

strasznie. Po co jemu swoboda, płot i las! Nawet weranda, nawet słońce, na którego skąpych plamach, rozrzuconych po podłodze warszawskiego mieszkania, lubił się ongiś wygrzewać!... Wszystko naraz przestało go interesować.

— Co robić z Czortem? — pytała na drugi dzień jego nowa pani.

— A niech go diabli wezmą! — odpowiedziała stara gosposia, wielka zresztą dewotka.

— Co też za głupstwa Weronika opowiada, jakżeby Czorta mogli wziąć diabli!

Kot chciał siedzieć w jednym tylko, jeszcze nie umeblowanym pokoju. Jadł, gdy nikt nie patrzył. Brudził, trzeba to przyznać, solidnie, ale gdy ktoś wchodził, widział go zawsze nieruchomego w jednym kącie, a jego oczy stawały się coraz bardziej ponure, coraz złociej miedziane, źrenice rozszerzone i czarne, jak jego sierść, jak zaćmienie słońca.

W następnym miesiącu:

— Nic z niego nie będzie. Zapaskudzi tylko pokój. Chory on jakiś. A myszy łążą po śpizarniach. — Weronika sprowadziła małego kociaka, którego postanowiła sama wyhodować. Zdawało się, miała rację.

Minęło jeszcze kilka tygodni. Mały kociak, na wysokich już, lecz wciąż kruchych nóżkach, wybrał się na przegląd mieszkania. Weronika była w ogrodzie, gdzie pełła ogórki. Zrobiło się lato. Pogoda słoneczna. Od dużej ilości owadów, pszczoł, bąków, chrząszczy, trwał w ogrodzie i lesie nieustający, nieuchwytny już dla ucha, brzęk. Ptaki spały najedzone. Cisza. Z tej sytuacji skorzystał młody pies, owczarek, Fafik Azorkiewicz.

Fafika dawno już drażnił młody kociak. Drażnił powonieniem, wyglądem, i szczególną opieką, jaką cieszył się ze strony Weroniki. Fafik wstał więc ze swego ciemnego miejsca koło budy, i cicho wszedł po trzech schodkach z dziedzińca do kuchni. Wszystkie drzwi i okna w domu były pootwierane na przestrzał dla wietrzenia mieszkania. W stołowym pokoju pachniały róże w wazonie. Na kleistym papierze, zwisającym z sufitu, burczały umierające muchy, a przeciąg lekko je kołysał. Fafik pociągnął nosem. Z powietrzem i kurzem ułowił odór oddalającego się kociaka. Bo kociak zawędrował był już do dalszych pokojów. wsunął się przez uchylone drzwi do pustego, gdzie nieruchomo w kącie tkwił wciąż stary Czort. Stanął. Zrobił

garbik, wyprężył pionowo swój dziecinny, śmiesznie nastroszony ogonek, i patrzyli na siebie straszными kocimi oczami. Wieki sekund. A Fafik szedł już śladem, już też wchodził w uchylone drzwi, i już-już wyciągał zęby, aby chwycić małego kociaka. Wszystko odbyło się błyskawicznie. Z przeżenienia śmiertelnego, z rozpaczyny nad sobą samym, kociak zamiauczał żałośliwie, błagalnie. I wtedy to nagle Czort z szybkością tygrysa skoczył na psa. Wali go pazurami po mordzie, dobiera się do oczu, szypi, jak żmija. Walka rozegrała się tak prędko, że nie dowiedziałyby się o niej nawet Weronika, gdyby Fafik nie zawył z bólu, i nie uciekał z hałasem przez pokoje i kuchnię, przewracając po drodze stołek. Wbiegła, i zdążyła go jeszcze zdzielić po plecach, sądząc zrazu, że ukradł coś ze spiżarni. Wówczas dopiero od jego zadu odczepił się, otrząsnął łapy, Czort.

Spotkali się na progu jadalnego pokoju. Czort podszedł do małego kociaka i zaczął go lizać po futerku. On, stary samiec-samolub i egoista od czasu, gdy urodził się w mieszkaniu przy ulicy Hożej 64! On, któremu świat stał się niemiły, którego nogi zdawały się już nieruchawe, pazury nieostre, który nie ruszył się z kąta od dnia podróży lotniczej na trzeci dzień po śmierci swego pana! Dlaczego to zrobił? Z litości? Wzruszony miauknięciem?

Wieczór tego dnia był wyjątkowo piękny. Na werandzie leżał, wygodnie wyciągnięty na boku, Czort, stary czarny kot. Oczy miał zmrużone, łapy lekko podciągnięte, i tylko koniec ogona, ogona czarnego, jak u diabła, poruszał w sposób wahadłowy. Przy nim, a raczej na nim, siedział mały kociak, i bawił się tym węzowym koniuszkiem. Czort mruczał. Słoneczniki obróciły swe niedorośle twarze ku północnemu zachodowi, idąc za słońcem. To było już nisko, w miarę czerwone, w miarę żółte. Wiatru jutro też być nie miało.

— Jaka szkoda, że znowu umówiłam się na jutro w mieście na tenisa — wzdycha Anisia. — Spójrz na te palające sosny, Jerzy. Ach, ja się tu robię zupełna poganka! Mam ochotę mruzczyć modlitwy do świata, jak ten kot.

Minął tydzień od dnia przełomowego, kiedy to Czort wyszedł ze swego azylu, stał się ponownie normalnym czarnym kotem, i w miarę, z ojcowską pobłażliwością, a więc jednak nie-normalnie jak na obyczaje rodziny Felinae, opiekował się kociakiem.

Wtedy Anisia przywiozła kruka. Mówiąc ściślej: czar-

nowrona. Był jeszcze młody, i wypadł z gniazda, łamiąc sobie nogę. Anisia odkupiła go za 50 groszy od chłopców na przedmieściu.

— Do szczęścia w domu trzeba mieć trzy czarne zwierzęta — oświadczyła. — Mamy czarną krowę, czarnego kota, teraz na trzeciego będziemy mieli czarnego kruka.

— A pani nie wie, że grzech wierzyć w zabobony! — zawołała Weronika.

Czarny kruk z apetytem pożerał surowe mięso, siedział spokojnie w sztucznym gnieździe w skrzyni, i z dnia na dzień rósł-podraszał, aż któregoś dnia po raz pierwszy wyłeciał spróbować skrzydeł. Udało się. Tylko noga pozostała sztywna, kaleka.

Od tej chwili zaczął królować w obejściu. Przede wszystkim w domu i na werandzie, bo bardziej od otaczającej przyrody pociągały go sprawy ludzkie, ich ruch, rwetes, rozmowy, plusk wody w umywalce. Najchętniej siadywał przy Anisi, lub na ramieniu Anisi. Gdy nie miał z kim siedzieć, siedział koło Czorta. Oczywiście, odległość wymierzona była na ptasie oko, mniej więcej na metr. Kruk miał dziób potężny, mógł nim wybić oko nawet drugiemu krukowi. Z drugiej strony Czort, gdyby chciał koniecznie, mógłby zadusić kruka, na pewno. Ale żaden z nich nie chciał. Miały w sobie coś, co ich zbliżało. Wspólne cechy charakteru: indywidualizm silniejszy od nawyków dziedziczonych, oraz idealny egoizm. Robiły tylko to, co chciały, a chciały tylko tego, co mogło stanowić o niejakej korzyści osobistej. Wzajemna walka nie wróżyła żadnej korzyści. Wyklute oko, lub śmierć.

Czort był stary i leniwy. Po dawnemu nie łapał myszy. Jeżeli chciał odbyć wieczorną przechadzkę, a miał przy tym ochotę na jakąś łagodną rozrywkę, to wchodził na gazon, przylapywał i przyduszał łapą spadające przypadkowo ćmy, podskoczył kilka razy, i szedł dalej. Tik-tak, tik-tak, jak wahadło ściennego zegara, poruszał się koniec czarnego ogona. O tej porze kruk już spał.

Dochodziło między nimi do animozji zazwyczaj pod stołem, w czasie posiłków. Gdy spadał z góry kasek, Czort usiłował go przyciągnąć łapą, a kruk w tę łapę dziobnąć. Kiedy krukowi pozwalano, w drodze łaski, siadać na stole, Czort wykazywał niezwykle u niego zaniepokojenie, i pociągał obrus pazurem w dół. Po obiedzie siedziały obok siebie na werandzie, i drzemały.

I tylko raz... Tak, jeden raz, gdy kruk pogonił małego

kociaka, atakując z rozpostartymi skrzydłami, Czort skończył, i omal nie rozszarpał ptakowi skrzydła. Ale ten zdążył wlecieć na poręcz werandy, kraknął ze złości, przeleciał na najbliższą jabłoń w sadzie, i tam, na gałęzi, przesiedział obrażony aż do samego wieczora. Do samej kolacji.

Pewnego dnia młodzi państwo wylecieli w srebrnej maszynie „Lockhead 14” do Paryża.

Mijały tygodnie. Długie tygodnie, coraz bardziej obciążone deszczowymi chmurami. W Paryżu zaczynał się sezon. W ojczyźnie snuć się już poczęły długie, srebrne jak nikiel, nici babiego lata.

Po powrocie — co za zmiany! Co za straszne zmiany!

— Kruk?

— A Franek, Gawryłowiczów pastuch, zabił kamieniem.

— Czort?

— Fafik go rozszarpał, już będzie tydzień temu. — I stara dewotka, Weronika, z idealną obojętnością machnęła ręką. Z jej nielitościwych oczów, i trochę piegowatej twarzy, przebierała duma, że „nic się złego nie wydarzyło, a krowa, choć tylko jedna czarna pozostała, to nawet i więcej mleka daje”. W żadne tam zabobony ona nigdy nie wierzyła i wierzyć nie będzie. Mało czego ludzie nie wymyślą...

— A litość to też ludzie wymyślili?! — krzyknęła Anisia, i tupnęła tak silnie nogą, aż do tego tupnięcia łzy stanęły jej w oczach.

— Ot, pani to też taka... Za starym kotem płakać gotowa! — I Weronika po raz drugi machnęła lekceważąco ręką. — Żeby choć myszy łapał, a to co za pożytek z niego był.

Las szumiał. Przy płocie sterczały zrudziałe, twarzami do ziemi, badyle słoneczników.

— Proszę je zaraz powyrywać! — I paryskie obcasiki Anisi zastukały stanowczo po schodkach ganku. — Wyglądają jak kikuty.

— Jak co?

Tym razem Anisia za całą odpowiedź tylko machnęła ręką.

KRZYŚ

— Krzysiu przestań! Krzysiu, daj spokój. Krzysiu prze-stań!!!

Na odgłos uderzenia pięścią w stół wbiega Anisia.

— Co on ci znowu zrobił?

— Ja nie mogę pracować — odpowiada Marcin. — I co za pytanie, co zrobił? Przecież widzisz, że siedzi na oknie i drze zaciemnienie. Chcesz, żeby zaraz była awantura w kamienicy?

Anisia zsadza delikatnie Krzysia z okna, i mówi głosem matczynej perswazji:

— Krzysieczku, nie można łązić po oknie. Baw się grzecznie. Chcesz, żeby „Buk” na ciebie się gniewał?

„Buk” nie pochodzi ani od Boga, ani od Bugu, ani od buku. Tak nazywa Krzyś Marcina. Bo Marcin, od chwili gdy go po raz pierwszy zobaczył, wyciąga do niego rękę i, wystawiając palec wskazujący, celuje: „Buch!” „Wojna, niech się dzieciak przyzwyczaja, że ktoś do niego ciągle strzela”.

„Co za głupstwa wygadujesz!” wybuchały zgodnym chórem obecne kobiety, i zawsze przy tym któraś otaczała Krzysia ramieniem, jakby go chroniąc przed pociskiem. Ale Krzysiu zabawa się podoba, udaje strach, albo wyciąga rączkę i sam wrzeszczy: „Buk! Buk!” I tak się już przyjęło.

W tej chwili Anisia ma pełną rękę kart do bridża, a Marcin oblicza dzisiejsze zarobki na czarnej giełdzie. W takim momencie Krzyś jest zakałą. „Miękkie” (dolary papierowe) spadły w sposób horendalny. Z czterech stron zamówienia na „świnki” (złote ruble) a nie ma ich skąd

wziąć. Zarobek dwieście złotych, to nie jest zarobek. Z tego nie można przeżyć.

— Rzuć wreszcie te karty i rób kolację! Zaraz będzie nałot, wyłączą gaz, i znowu o czort wie której będziemy pili herbatę.

Anisia otacza trzymanymi kartami jasną główkę Krzysia jak kryzą, wypycha go delikatnie z pokoju. Oboje są obrażeni.

Jest to normalny wieczór jednopokojowego życia w Krakowie, gdy po powstaniu warszawskim zalała go fala uchodźców, na jesieni 1944-go.

Jednej z najpiękniejszych jesieni. Niebo nie włoskie, lecz krakowskie. Ciemny granat. Na jego tle kontury wszystkich rzeczy w mieście bez żadnej mgiełki, ostre, wyraźne. Kasztany na plantach są jeszcze zielone. Pod nimi plamy słońca jeszcze złote. Kiedy Anisia wychodzi ostrożnie z ulicy Świętego Tomasza, czy Świętego Marka, i wyciąga tak szyję, jakby była gęsią, aby dojrzeć zza rogu, czy ulicą Floriańską nie idzie właśnie „sztrajfa”, jest zdania, że to jedna z najpiękniejszych ulic świata. Z prawej strony: rdzawo-brązowa Brama Floriańska; z lewej: rdzawo-brązowy kościół Mariacki; a za nimi, i nad nimi: granat nieba.

Ciągle jest mowa o ucieczce do Włoch, i Anisia układa sobie w myśli zdanie: „Kraków żegnał nas najpiękniejszą jesienią, na jaką Polskę było stać...” Oczywiście, dopóki Krzysiek się nie odnalazł, mówiło się tylko o Krzysiu. Bo Krzysiek przepadł był w powstaniu.

Trzyletni Krzysiek nie jest ani synem Anisi, ani Marcina. Nie jest też przybłądą. Jest, owszem, jakąś tam piątą wodą po komplikacjach rodzinnych, ale to wcale nie charakteryzuje jego pozycji. Marcin twierdzi, że jest po prostu „specjalnością” Anisi. Anisia zaś twierdzi, że jest Krzysiem ponad wszystkie inne dzieci. To wzbudza podejrzenia wśród znajomych. Niektórzy twierdzą, że Anisia ma powody, aby otwarcie wypierać się swego oczywistego macierzyństwa. Tymczasem rzecz się miała tak: Krzysiek jest synem Florki Lityńskiej. Florkę poszukuje Gestapo, i już dawno musiała zniknąć. Oktawii, siostrze Florki, mina partyzantów sowieckich, która wybuchła pod pociągiem, oderwała obie nogi. Ich ojciec, a dziadek Krzysia nigdy go nie widział na oczy, bo od roku 39-go mieszka w

Londynie. Maria, jego pierwsza żona, a matka Anisi, mieszkała w Warszawie, gdy pociągiem lwowskim, w koszyku przyjechał Krzys, i jakoś w tym samym czasie Marcin dobijał starania o dokumenty. Krzys więc został synem Anisi, i tak też figurował na jej „kenkarcie”, w rubryce „Kinder”: Christoph.

Określić Krzysia jest bardzo trudno. Gdyby wnioskować z tego, co o nim mówi Marcin w przystępie złego humoru, należałoby sądzić, że to skończony kretyń. Gdyby wierzyć Anisi na słowo, jest to absolutny geniusz. W rzeczywistości jest to mały chudeusz, jasne włoski, niebieskie oczy, i szczerze odstające uszy. Marcin go czasami za nie pociągał, i wtedy wybuchał prawdziwy, nie na żarty, skandal. Anisia upierała się, że uszy odstają tylko i wyłącznie dlatego, że Marcin się ich „dotyka”. Robiła straszne piekło. Brała Krzysia na kolana, i delikatnie przyciskała mu uszy „z powrotem”.

Ale pod jednym względem Krzys był niezastąpionym dzieckiem w całej „Generalnej Gubernii”, i zalety tej nie odmawiał mu nikt, nawet Marcin. Oto mówił do każdej kobiety: „mama”. Stara czy młoda, zawsze dla niego była: „mama”. Czasami dodawał jakiś przydomek. Na przykład Anisę nazywał „mama pliszka”. Dlaczego? Nikt nie potrafił odgadnąć. Bo ani imienia nie miała podobnego, ani nie warto było wdawać się w dociekania, czy i w czym Anisia przypomina pliszkę, ponieważ Krzys nie znał jeszcze tego ptaszka. Ot, złożyło mu się coś samo w buzi: „pliszka” i „pliszka”.

„To jest fajne dziecko, na wagę złota, można powiedzieć” oceniali przedsiębiorczy Warszawianie. „Takie da się wypożyczać na godziny i brać ładną forszę”.

Kobieta z dzieckiem czuła się o wiele pewniej na ulicy. „Sztraify” jej zazwyczaj nie zaczepiały. Podczas łapanek dziecko, nawet bez metryki, ale mówiące „mama”, wystarczało nieraz za najlepszą legitymację. W Krakowie nie trzeba się było bać obławy na ludzi zganianych do kopania okopów. Nawet jazda w przepełnionym tramwaju nie była przez dziecko utrudniana, a przeciwnie ułatwiała znalezienie miejsca. Krzysiem musiał się naturalnie zająć konduktor i pasażerowie.

Anisę i Krzysia łączyła zatem nie tylko miłość, ale i symbioza. Fakt ten jednak nie rozstrzygał o jego losie. Był Anisi, a jednocześnie niczyj, więc w konsekwencji wszystkich kobiet, które miały akurat ochotę wziąć Krzysia

na jakiś czas do siebie. W jego sprawie każda miała coś do powiedzenia, i nieszczęście, które się wydarzyło, potrącało o znane przysłowie, że „gdzie kucharek sześć...” Tak się też stało.

Powstanie warszawskie wybuchło w chwili, gdy Krzys był u swojej niby babki na Mokotowie. Ale Maria była kurierką przy komendzie głównej A.K. w śródmieściu. Anisia mogła się tylko modlić. Przedostać się nie mógł nikt.

Anisia znalazła się w Krakowie, i tam mówiła do Marcina: „Widzisz, gdyby Krzys był z nami...” Albo podnosiła na Plantach wyjątkowo duży, wprost z pękniętej zielonej kolczastej rozłupki, owoc kasztanu: „Schowam go dla Krzysia”. Na razie robiono wszelkie starania, aby odleźć Marię.

Do Krakowa spływał powoli tłum warszawskich robotników. Co dzień czarna giełda w przedsiódkach banków na Rynku i jej agentów pod Sukiennicami notowała spadek dolara. Z 650 złotych we wrześniu na 190 w listopadzie. Spadało złoto i brylanty. Kto nie miał nic, przymierał głodem. Kto co miał — sprzedawał, sprzedawał, sprzedawał. Podaż.

Maria przywiozła z powstania Krzyż Walecznych, wszy, kilka swetrów pod letnim płaszczem i 140 dolarów odprawy. Ale nie przywiozła Krzysia.

Boże, Boże!

O tym, żeby Marcin mógł w tym czasie liczyć na obiad w domu, czy pocerowane skarpetki, nie mogło być mowy. Mowa mogła być tylko o Krzysiu.

Odnalazł się. Główkę miał ogoloną. Twarz białą, postarzałą. Oczy niebieskie zapadłe, i był bardzo posłuszny. Ubranko wytarte, splamione. Trzewiki nieczyszczone od 1-go sierpnia.

— Ona go biła! — załamywała ręce Anisia.

— Kto ona?

Nazywała się Antoniowa, z sąsiedniego domu na Mokotowie, służąca. Krzys został pod opieką dochodzącej piętnastoletniej niani. Przy wyjściu z miasta dziecko, jakie można było podać za swoje dziecko, było bardzo cenne. W jaki sposób Antoniowa potrafiła go przywłaszczyć, ani co się stało z nianią-Małgosią, nikt nie był w stanie dociec. Dość, że wyprowadziła go na szósty dzień, ciągnęła rowem, później pomiędzy parkany, zgliszcza, ruiny. Krzys chciał ciągnąć

nać swój drewniany tramwaj, więc go zbiła. Znalazł się na wsi, pod Skierniewicami, u chłopów, jej krewnych. Spał w jednym łóżku z chłopakiem, który go szczypał. Głowę mu ogolili, aby nie nabrał wszy.

— Krzysiu, Krzysiu! — biadała Anisia, klęcząc przed nim, i ściągając z niego brudne łačmanki. — A powiedz, gdzie twój Miś, co go dostałeś od „mamy-Kasi”?

— Zabity — odpowiada Krzyś spokojnie, rzeczowo.

— No, i czego płaczesz? — pyta Marcin Anisię, nachylając się nad jej drgającymi ramionami.

Krzyś uśmiecha się blado do Marcina, wyciąga rękę, ale nie „strzela”. Jest widocznie za zmęczony.

— Ach, Krzysiu, Krzysiu! — płacze Anisia. — Wyjedziemy stąd. Pojedziemy daleko, daleko, do Anglii, do twego dziadunia. Chcesz jechać do dziadka? — Krzyś pojęcia nie ma ani co to jest dziadek, ani co to jest Anglia. Zaczyna bawić się szpilką we włosach Anisi. — Pojedziemy koleją, puf-puf! Lubisz jeździć koleją?

— Lubie.

— Ach, jak się dziadek ucieszy! — dorzuca Maria, klaszcząc w dłonie, aby go rozweselić.

— Już go widzę, jak się z tego powodu zachłystuje radością... — pomrukuje zjadliwie Marcin.

Maria patrzy na zięcia z pogardą. Pogardą pełną tkliwości.

Krzyś bez oporu daje się rozbierać, daje sobą obracać, i uśmiecha się tak blado, tak smutnie, ale się uśmiecha, jakby rozumiał coś z tej rozmowy, która jest dla niego doskonale obojętna i niezrozumiała.

Jest jesień w Krakowie, jesień roku 1944-go. Cudna jesień. Z Salwatoru na Kopiec Kościuszki prowadzi ta sama, jak dawniej, niewyrąbana, nietknięta aleja kasztanów, wzdłuż grzebienia wzgórz. Na lewo widać Wisłę, jak się wykręca wśród niezliczonej barw jesiennych, wśród krzaków, sadów, drzew i pól. Na prawo zbiegają ścieżki ku Błoniom, a hen! daleko, sunie z ulicy Wolskiej za miasto tramwaj-„czwórka”. Jest mniejszy od pluskwy i posuwa się wolniej. Ptaki jakieś lecą na południe. Chłopcy zbijają kasztany pałkami. Na Kopcu, choć stacjonuje tam oddział niemiecki, nie ma niemieckiej flagi ani swastyki. Niebo jest jednakowo wszędzie sine, kopulaste, głębokie, jak głęboka toń. I ledwo tylko na horyzontach bledsze, trochę, trochę przypudrowane dalekością.

Krzyś woła co chwila:

— Mama! Pliszka!

— Co powiesz?

— Paaaatrz! — wyciąga rękę.

Ani spod Rzeszowa, ani Tykocina nie dochodził tu odgłos bitwy. Cisza panowała na froncie wschodnim. I było tak cicho wokół, że słyszało się tylko brzęczenie much jesiennych.

Nie można powiedzieć, żeby Niemcy nie lubili Krzysia. Na tym spacerze żołnierz, powracający z ćwiczeń dał mu cukierka. Krzyś zdziwił się bardzo, spojrzał ukosem na Anisę, i cukierek prędko zjadł. Żołnierz odwrócił się, uśmiechnął. Krzyś patrzył za nim z surową powagą.

Nawet był taki wypadek: na ulicy Straszewskiego, pod szyldem „Anmeldestelle für SS-männer” stał w sieniach wartownik. Anisia, idąc tamtędy z ulicy Wolskiej, zawsze jednakowo prowadziła Krzysia na wyciągniętej do tyłu ręce. Krzyś bowiem miał zwyczaj iść ociągając się, z twarzą stale wstecz obróconą, i zamiatać nóżkami chodnik. Z palcem w ustach zagapił się na wartownika. Ten zdjął pistolet maszynowy, i udał, że do niego celuje. Krzyś wyjął palec z buzi, skierował do Niemca i krzyknął „buk!”

Anisia nie była zadowolona z tej wymiany strzałów.

— No, co tam nowego na mieście? — Takie było codzienne pytanie tych, co później wstawali. — Łapanki są?

— Spokojnie. — Albo: — Niech pani nie chodzi Franciszkańską.

Z ulicą Franciszkańską zawsze był kłopot. Tuż obok pałacu metropolity księcia Sapiehy mieściła się główna kwatery policji niemieckiej. Często nie fatygowała się ona wychodzić na miasto z większymi obławami. Po prostu robiła łapankę przed bramą, i kto szedł, kto jechał tramwajem (2, 8, 5), wszystkich wysadzano, spędzano do bramy, i tam poddawano rewizji. W tym czasie nawet „mocne” papiery robiły słaby efekt. Wyceniano na oko: kto się nadawał do pracy — jechał.

Ale Anisia chodziła po mieście z podniesioną głową. Prowadziła Krzysia. Czasem przyjeżdżała Maria i już z przedpokoju wołała:

— Słuchaj, musisz mi pożyczyć Krzysia, bo idę na...

Krzyś, oczywiście, i Marię nazywał: „mama”. Anisia podśmiechiwała się do Marcina, że „mama to Krzysiem

się odmładza", ale trzeba to było obiektywnie stwierdzić: Marię wojna odmłodziła.

Krzyś bardzo lubił spacerować. Powróciły mu kolory, twarz się zaokrągliła, odrosły włosy, a przy szafirowym kapturku z włóczki jego oczy tym bardziej błękitniały. Dostał nowe buciki. W Sukiennicach kupiono mu konia na biegunach i samochód. Znowu był dzieckiem. Gdy bomba sowiecka trafiła w Planty u wylotu Szewskiej, bawił się w jej leju kasztanami, wywożąc je stamtąd własnym autem.

Wszystko trzymało się, jak na nitce. W zawieszaniu. Pierwsza nie wytrzymała pogoda. Dłużej widocznie nie mogła, musiała wypuścić deszcze, uczynić pluchoć na ulicy, ustąpić wreszcie miejsca przymrozkom. Liście opadły. Łatwiej teraz było dostrzec wiewiórkę na Plantach, ale trudniej wyprowadzić Krzysia na deszcz. Odżyły stare plany ucieczki.

— Krzyś musi pojechać z nami.

— Czy ty sobie wyobrażasz przedzieranie się na stronę Aliantów w towarzystwie Krzysia?

— Wyobrażam bardzo dobrze. Każdy wie, że kobiecie z dzieckiem jest się łatwiej wszędzie przedostać. Zresztą Krzyś pojedzie do swego dziadka, gdzie mu na niczym nie będzie zbywać. Krzysiu, chcesz jechać do dziadka?

Krzyś w tej chwili leżał z głową pod szafą i zabawiał się kurzem. Na pytania, czy chce jechać do dziadka, czy nie chce? — odpowiadał raz „tak”, raz „nie”, zależnie od myśli postronnych, jakie mu w danym momencie przebiegały głowę, a w których „dziadek z Londynu” nie brał żadnego udziału.

Inaczej rzecz traktowały przybrana matka i przybrana babka. Temat był przez nie dokładnie omówiony i zwążony. Zasadniczo zapadła uchwała: Krzyś jedzie. Florka, jeśli się uchowa, („co daj Boże Amen”), nie straci nic na tym, że syn będzie w Anglii. Zresztą, taka młoda, może wyjdzie za męża, co jej po dziecku bez męża, dziecku, którego prawie-że nie zna? Nie, Anisia nie chce odbierać Florce Krzysia, ale może się przecież okazać, że dla dobra dziecka będzie lepiej, jak zostanie przy niej, przy swojej dotychczasowej matce. „Gdyby jednak” zastrzegła Maria „miało coś takiego stanąć na przeszkodzie, to nie zapomnisz chyba Tam...” („Tam” przez duże T) „wszystkiego opisać, opowiedzieć, zdać relację...”

— Ależ naturalnie, nie ma o czym mówić — przerywała Anisia. — Tylko, że ja Krzysia zabieram.

„Dziadek w Londynie” nie wchodził w kalkulacje niby „wujaszek w Ameryce”. Był czymś specjalnym. Unosił się w ciasnym pokoiku przy ul. Wolskiej, w dymie tytoniu i wilgoci, suszonej bielizny, jak szlachetny portret rodzinny na ścianie, jak rodowa karabela, wygięciem swym wskazująca na przyszły los — Krzysia.

Czy mógł istnieć jakiś związek przyczynowy pomiędzy wyjazdem Krzysia do Zakopanego a przełamaniem frontu pod Baranowem? Żadnego. Bo Krzys wyjechał na tydzień wcześniej, korzystając ze „wspaniałej okazji” zaproszenia, jakie otrzymała Maria od swojej przyjaciółki, aktorki, która się tam po warszawskim exodusie urządziła. A wykluczone, by sowiecki marszałek Rokossowski mógł w czymkolwiek uzależniać dyspozycje strategiczne od miejsca pobytu Krzysia. Wszystko zatem było dziełem przypadku, jak wiele rzeczy w tej wojnie.

Wprawdzie Marcin twierdził w pierwszych dniach po wyjeździe Krzysia, że w pokoiku ich można wreszcie mieszkać, w rzeczywistości jednak w pokoju nastała pustka.

W sobotę wieczorem padał deszcz ze śniegiem. Lokator z korytarza, otrzepując kapelusz, podzielił się treścią komunikatu niemieckiego, nadanego o szóstej wieczorem. W niedzielę nadeszły już wiadomości bezpośrednie. A następnych dni wypadki potoczyły się z szybkością zapierającą dech w piersiach.

Powiadano, że czołgi sowieckie wtoczyły się do Łodzi, „Litzmannstadtu”, gdy gestapowcy siedzieli jeszcze w kawiarniach. Lokator z innych drzwi korytarza (drugie na lewo) wrócił z Częstochowy na rowerze. Bolszewicy wpadli na dworzec w chwili, gdy odjeżdżał normalnie pociąg osobowy... Ale Anisia, której ambicją życia od czasu wyjazdu z Wilna stało się „nigdy więcej nie być wyzwalaną przez bratnią armię wolnej rodziny narodów Związku Radzieckiego”, nie mogła się rozstać ani z Krzysiem, ani z myślą o nim. Czekwała.

Po okropnie nieprzespanej nocy Kraków szarzał i brudniał w wilgotnym mglistym mrozie, grząskim, koślawiącym obcasy śniegiem. Wysokim przejmującym dyszkantem dzwoniły w górze maszyny sowieckie. Straszliwie potężniał ku dołowi wizg spadającej bomby. Olejarnia „Społem” z ulicy Zacisze dymiła czarno, dym kłębił się nad miastem zwolami. Pogruchotany dworzec palił się jednym bokiem. Le-

żał bez szyb, patrząc bezradnie na dziury przed podjazdem. Wówczas Anisia straciła nadzieję.

Przekroczyli most na Wiśle, kiedy od Krowoderskiej, Długiej, i Aleji Trzech Wieszców dochodziły już „ta-ta-ta” ciężkiej, i „trrrrr” lekkiej broni maszynowej. Jedną tylko drogą pozostała wolna. Ta na Kalwarię. Po prawej stronie słychać było toczącą się bitwę czołgów. Po lewej stronie słychać było toczącą się bitwę czołgów. Środkiem szła szosa, po której w cztery rzędy tłoczyły się auta ciężarowe i osobowe, wozy, kuchnie, konie, furmanki chłopskie, ludzie piesi. Wszystko to zmasowane, klnące i buksujące w śniegu.

Górą co chwila: „Fliegeer!” rozlegał się wrzask z aut. I tłum biegł na boki, pod domy do rowów. Wyraźne, jasne jak piorun, uderzenie bomby, i głuchy grzmot potem. Albo do cienkiego dzwonienia samolotu dołączał się swarliwy, gęsty, długoseryjny klekot karabinu maszynowego. Kolumny posuwały się z szybkością 10 metrów na godzinę.

Wtedy to Anisia, idąc na trochę za wysokich obcasach półbucików obok Marcina, powiedziała po raz pierwszy: „Wiesz, może to i szczęście, że Krzysia tu nie ma”.

Po następnej nieprzespanej nocy nastał dzień jaśniejszy. Na lewo garbiła się droga do Lanckorony. Przez świerki przydrożne padało słońce. Śnieg skrzył się w dolinach, serpentyny wiły się stokami, obłoki szły nad serpentynami.

— Jak tu ładnie! Ach żeby Krzysiek szedł z nami! — A gdy Marcin w odpowiedzi przerzucił tylko walizkę z prawego na lewe ramię, Anisia dodała: — Można by go było ostatecznie ciągnąć na saneczkach. Czy sądzisz, że dostaniemy się do Zakopanego?

Oczywiście nie mogło już być o tym mowy.

Piekło poczekalni stacyjnych! Kto ciebie nie przeżył w latach wojny!... Piąta noc nieprzespana i wielki tłum w odwrocie. Nie ma gdzie siedzieć, nie można leżeć nawet na podłodze. Ledwo, że jest gdzie stać. Godziny długie o nieznanym kresie. Na dworcu w Boguminie jest wewnątrz za gorąco, za duszno, za smrodliwie. Na zewnątrz upiornie: za zimno. Nie ma przejścia ani do bufetu, ani do ustępu. Niemcy, folksdojczy, Ukraińcy, Polacy, Czesi, Rosjanie, Słowacy. Oddziały Własowa, i bolszewicy jeńcy; SS-mani, ko biety, psy, dzieci, żołnierze węgierscy, tłumoki, bagaże.

Wrzask żandarmów, ochrypły, gardłowo-przerażający swą brutalnością, płacz niemowląt, śpiew pijanych. Jest tylko ta korzyść, że nikt nie sprawdza dokumentów, nie żąda przepustek, ani biletów. Pomieszały się wejścia „Nur für Deutsche” z tymi: dla narodów podbitych.

— Żeby choć szklankę wody.

Anisia i Marcin starają się nie dać odepchnąć od drzwi na peron. Postanowili: wsiadą w pierwszy pociąg w kierunku na zachód. Pasażerów o takim samym celu podróży jest zapewne wielu, i można sobie wyobrazić szturm do wagonów, jeśli one kiedykolwiek nadejdą. Coraz to ktoś otwiera drzwi, i próbuje zająć lepsze strategicznie miejsce na zewnątrz, a za nim wylewa się plazma ciżby, ale ludzie cofają się natychmiast, zawróceni przez dmący, ścinający mrozem krew i oddechy, wicher. I nagle w jego zawrocie wpada długie wycie i opada, wyje i opada, wyje i opada, w odstępach równych. Syreny. Wielki alarm. „Wielki Boże!”

— Flieger! Alarm! Gott!!! Ty kuda, Sieroża!... Staaa-siu! Mutti! Staaaaaasiu!!!

Tłum faluje i charczy. Słyszać, jak pies szczeka, i słyszać wyraźnie, coraz wyraźniej: wrrr-wrrrr-wrrrr... — Hans, Haaaaaans!

I oto na chwilę, ponad wszystko silniejszy, jak ostatnie przypomnienie czasu jeszcze niedokonanego walącej się władzy, wzbija się okrzyk żandarma ze wściekłego, jakby rozdartego na dwoje gardła:

— Ruheeee!!!!

W sekundy ciszy, które nastąpiły, wtłacza się tym groźniej, nieodwołalnie, już prawie nad głową: wrrr-wrrrr-wrrrr; obładowany lot bombowców.

— Chryste — szepcze Anisia — co za szczęście, że Krzysia nie ma z nami.

Nie ma. Nie ma w Wiedniu ani żarcia bez kartek, ani dnia bez nalotu. Ludzie od rana ciągną do schronów, a gdy nalot trwa dłużej niż pięć godzin, przepada obiad nawet na kartki. Anisia już trzy razy: gdy poleciały belki stropu w schronie przy Prinz-Eugen-Strasse, gdy jej omal nie zaduszono w schronie przy Kremser Werke, i gdy zawałiła się cała dzielnica za Süd-Ost Bahnhof, trzy razy zawsze jednakowo dziękowała Bogu: „Jak to dobrze, że Krzys został z mamą!” A jednak w dniu, jedynym dniu, w któ-

rym nie było nalotu, idąc ocalałą Singerstrasse, zatrzymuje gwałtownie Marcina za rękaw przed wystawą zabawek:

— Patrz! Taką kaczkę chciał mieć Krzyś! Zaraz bym mu kupiła, gdyby był z nami.

Marcin jest ogłuszony ciszą o tak niezwyklej porze, w jakiej normalnie spadają bomby. Patrzy ponuro na kaczkę i nie odpowiada nic. Umówił się „po nalocie”, zwyczajem tutejszym, z pewnym Karaimem z Odessy, który handluje kartkami żywnościowymi, i lewymi dokumentami. „Do diabła, na którą iść na spotkanie, jeśli tego cholernego nalotu nie ma!”

Anglicy zmienili rozkład i nalecieli w nocy. O dobiegnięciu do najbliższego schronu nie mogło być mowy. Ledwie czasu starczyło na zbiegnięcie do piwnicy, z zamurowanymi oknami wprawdzie, kilofem i łopatami, a także wiadrem piachu, ale bez najmniejszych złudzeń co do ich bezużyteczności. Płytką piwnica nie głuszyła orkiestracji bombardowania, mury kołysały się od olbrzymich podmuchów. Czy Krzyś by to przetrzymał? Anisia zatykała uszy w obawie o bębenki.

Ale, po kilku dniach, gdy trzeba było przekroczyć wyjątkowo surowo strzeżony odcinek, nie zawahała się ani chwili przed wypowiedzeniem głębokiej sentencji:

— Widzisz, gdybym miała Krzysia przy sobie, szłabym zupełnie spokojnie.

Tymczasem miało przyjść gorsze. Wagony poszły w strzępy, i tylko pierwszy z nich, jak śmiertelnie raniony potwór, zakołysał się i umierając, ciężko wywrócił się wszystkimi kołami do góry. Potem zapanowała cisza, a w powietrzu kołysał się, obwączany setki razy, smród bombowego czadu, zrytej ziemi i świeżych rumowisk. Palto zawiśło na ocalałym drucie, druty poroznosiło po rowach, słupy poszły jak zapalki, a szyny powykręcały się w elipsy, koła, zadarte w niebo łuki. Część z nich poszybowała bumerangami na boki, trafiając gdzie popadło, według losu. Ludzie z pociągu, że to było na stacji tyrolskiego miasteczka, zdążyli jeszcze do schronu dworcowego, w którym pękł pułap, zgasło światło, i tynk obsypał wszystkich. Dwie kobiety zemdlały. Anisia wyszła stamtąd biała jak wapno.

Dopiero jednak piątego dnia pielgrzymki w kierunku Włoch było naprawdę źle. Chodziło o to, żeby jak najprędzej odpełznąć po głębokim śniegu od zatrzymanego w po-
lu pociągu. Śnieg pokryty był szklistą warstwą. Dał poń-

czochoy, ubrania, skórę do krwi, do żywego mięsa. Lokomotywa, trafiona z pokładowego działka, wypuszczała z sykiem wysoki słup pary w bardzo błękitne alpejskie przedpołudnie. Jęki rannych i umierających łapały z tyłu za stopy, obezwładniając ruchy. Stóg siana w polu był niedaleko, może pięćdziesiąt, może sto metrów, ale się nie zbliżał. Było zupełnie jak w koszmarnym śnie. Anisia zgubiła pantofel, poszarpała pończochy, i bosymi nogami drapała się w śniegu na podobieństwo kreta, krwawiąc kolanami i palcami rąk. Sześć po trzy razy spadały myśliwce angielskie, i za każdym razem, gdy pikowała śmierć, Marcin kładł się na wznak, aby ją widzieć. Nie wypuszczał z rąk ich jedynej walizki, i za drugim razem widział, jak przeszło ją wskroś na ukos. Świetlne pociski gasły w śniegu z lekkim syknięciem. Potem można było dopełnić kilka metrów.

Anisia nie odwracała głowy. Sześć po trzy razy wołała tylko wstecz:

— Marcin, ty żyjesz?!

— Żyję! — odkrzykiwał Marcin. I pełzną dalej, niezmordowani, okrwawieni, podarci, pchani wściekłą namiętnością życia do jednego wspólnego celu, do — stogu siana.

Jeszcze pięć minut temu opowiadała Anisia pani w karakułowym futrze o Krzysiu. Ale cztery i pół minuty temu, gdy wyskakiwali z pociągu, pani w karakułowym futrze leżała strącona z ławki, z białkami oczu, wywróconymi do góry. Anisia pełźnie przodem, Marcin za nią, stracił kilka sekund dla walizki. Znowu nurkują. Anisia płaszczy się, wrywa głowę w śnieg, jak najwytrawniejszy żołnierz. A Marcin patrzy twarzą zwróconą w niebo, i widzi wszystko tak, jak być powinno: koła na skrzydłach, rój świetlnych pocisków, a za szczytem Staffbergu podnosi się słońce.

— Żyjesz jeszcze?! — woła znowu Anisia.

— Żyję — odpowiada Marcin.

Dopełzli stogu, gdy było już po wszystkim. Usiedli, bez rzucania się sobie w ramiona z radością, czy płaczem. Patrzyli wstecz na przebytą drogę. Tam leży kapelusz, tam porzucony koc, tam trup, tam czyjaś pękata walizka. Cień szafirową kredką obrysował głębokie bruzdy w śniegu, wątlej czerwieni się krew. W przeciwnym kierunku od stogu prowadził pojedynczy ślad zająca. Ginał w krzakach, do których dojść było bardzo trudno.

— Nigdybyśmy tam nie dopętlili — powiedział wreszcie Marcin wskazując krzaki.

— Nigdy — przytaknęła Anisia.

Jęki rannych i wołania o pomoc dochodziły jak bezładne krzyki niesamowitych ptaków. Marcin wstał ociężale, i w tej chwili zadzwoniono w pobliskim kościele.

Wieczór w dolinie Drawy jest taki, jak go malują na oleodrukach. Fioletowy u dołu, podróżowany na zachodzie. Srebrzysty na szczytach alpejskich, z zawieszonym księżycem, z rwącą spodem rzeką.

Do wieczora zwożono do wsi trupy. Anisia siedzi w izbie, a gruba wieśniaczka grzeje wodę, później obmywa jej rany, bandażuje kolana; już ropieją. Zadrapania nie byłyby straszne, gdyby nie mróz. Marcin, który mówi po niemiecku, nie może wtrącić się do rozmowy. Anisia, która nie mówi po niemiecku, już od godziny rozprawia z gospodynią o dzieciach. Rozumieją się doskonale, jakby chodziły do jednej szkoły. Gospodyni zna historię Krzysia, i co chwila wyrzuca rękami, to je załamuje, to znów splata pod fartuchem, aż w końcu tym fartuchem wyciera łzy.

Z przestrzelonej walizki Anisia wyciąga przedziurawioną zmianę bielizny. Kiwa nad nią głową, prosi o igłę i nici. Gospodyni idzie do komody, wyciąga jakieś łachy, i twierdzi, odpychając gestem sprzeciw, że Anisia nie może w takiej lekkiej bieliźnie podróżować w alpejskim klimacie. Anisia wkłada olbrzymie, trykotowe majtki; zwiśają jej do kolan. Chłopka patrzy z aprobatą: — Włochy? Owszem, ale nim się tam dostać.

Siedemnaście fal bombowych zniosło Bolzano. Nigdzie już nie ma kolei, ani mostów. W Trento, Rovereto, Weronie, Bresci, wzdłuż jeziora di Garda... bomby, bomby, bomby. Alarmy, piccolo, grande, naloty, ricoveri, noc i dzień, dzień i noc. Front niemiecki cofa się na wołach, a pod prąd jemu brną uparcie Anisia i Marcin.

Zaraz pierwszego dnia pokoju zasiada Anisia do pisania obiecanego listu do Londynu. Namysłą się, jakby było lepiej, pisze zawile, usiłuje przybrać formę literacką.

... za miesiąc Krzys skończy cztery lata. Został w kraju i naprawdę nie wiem, ani gdzie jest, ani co się z nim dzieje. Błogosławieństwo uchodźczych zmartwień i kłopo-

tów! Kładę się spać, i nawet nie śni mi się dziecko, które tak bardzo kochałam. Tylko, gdy biorę do rąk pomarańczę, przypomina mi się, że Krzyś nigdy w życiu nie jadł pomarańczy. I przypominam sobie piłeczkę, może trochę mniejszą, którą Krzyś tak się lubił bawić. Nie miał dużo zabawek, czasy były ciężkie. Te, co miał, zginęły mu w powstaniu warszawskim...

... Krzyś ma dwa lata i po raz pierwszy spaceruje na własnych nóżkach po kwitnym ogrodzie. Musi się trochę schylić, żeby pogłaskać pomarańczową nagietkę, jest wzrostu maków, a niebieskie ostróżki przewyższają go porządnie. W pewnej chwili zadziera głowę tak mocno, że aż traci równowagę i siada, i zapatrzony w lekko pochyloną twarz słonecznika, wyciąga rączkę, mówi: „ńcie”. Tak Krzyś nazywał słońce...

... Krzyś jest taki śliczny i taki mądry...

— Pokaż coś tam napisała — wyciąga rękę Marcin, czyta, i odkłada zapisane kartki z niechęcią. — Kogo to będzie interesować, co za bzdury...

— Jak to bzdury!? — wrywa mu Anisia papier z ręki. — Chyba nie powiesz, że Krzyś nie jest najrozumniejszym dzieckiem na świecie? Ja wcale nie chcę przesadzać, ale on jest naprawdę...

Minęły tygodnie. Minęły miesiące. Dziadek z Londynu nie raczył nawet potwierdzić odbioru listu.

— No powiedz, co byś z tym dzieckiem tu robiła — przypomniał sobie kiedyś Marcin.

Anisia w odpowiedzi tylko westchnęła.

MIASTO REBEKI

Wszystkie miasta w pamięci Jakuba Mayera miały jednakowe twarze urzędników z komisji alianckich, czerwonych krzyży, konsulatów, UNNRY. Lepiej wspominał te, w których przebywał krótko, gorzej, gdzie dłużej trzeba było czekać na papierki, pozwolenia, wreszcie na dalszy wyjazd. Do wspomnień poczekalni, okienek biurowych, kon-tuarów, stołów, przed którymi stał, siadał, stał, wystawał cierpliwie z uprzejmie złożoną miną, starając się przekupić dobrymi manierami obojętność, podejrzliwość i niechęć tych, co decydowali, przyplątywały się mimowolnie zapamiętane stwierdzenia, że tam było zimno, i dlatego sypiali z Polą na jednym łóżku przykryci kupą własnej odzieży, a tam znowu lało bez przerwy, a tam dokuczało gorąco. Żywiej reagował na przypomnienia różnych, tak nieprzewidzianie różnych, kursów giełdowych między Wilnem, Budapesztem, Mediolanem, Brukselą, Paryżem, na których można było i stracić, i ładnie sobie odbić. Ale dziwnie, że właśnie wspomnienia, ujęte w konkretne formy cyfr, myliły mu się najbardziej. Wywoływało to nieprzyjemne uczucie, podobne temu ze snów o na nowo zdawanej maturze, świętliwy niepokój koło serca.

Pola co innego. Pola zapatruje się na życie „inaczej”, jak zwykła mówić o sobie. W ogóle za dużo mówi ta jego żona, Pola. „Patrz, te platany są jakby żywcem zdjęte z płócien Pissarra! Takie jesienne, a nieruchome, jakby nie miały uronić już ani jednego listka. To u Pissarra ma się wrażenie, że chwila obecna należy do przeszłości, że przed chwilą liście drżały i nigdy nie będą więcej. Inaczej niż u Corota. Najbardziej melancholijny pejzaż Corota inwokuje przyszłość, prawda? Wicher ustanie, nowe liście zastą-

pią opadające... Spójrz, jak ładnie!" chwyta go pod rękę, a Jakub ręki nie wyrывa i burknął nawet coś przychylnie ze współczucia dla niej, dla miękkiego dotyku futerka na jej rękawie, dla nierównych nerwowych kroków, które wchodziły mu się niewygodnie w spokojny marsz, i, ostatecznie, jakże ma zaradzić na jej obecność? Głupia i próżna jest ta jego Pola, ale jest jego życiem, jak co ranne wstawanie i co wieczorne układanie się do spoczynku, jak sen i posiłki, jak wszystkie zwykłe rzeczy codziennego porządku. Z Polą trzeba jednak ostrożnie. Cwierć przychylnego słowa, a już:

— Kubuś — słyszy tym razem jej głos od okna, przy którym manipulowała od godziny, starając się uruchomić zepsutą dźwignię rolety. — Słyszysz, Kubuś? Musimy koniecznie dziś zwiedzić...

— Idź sama. Jestem zmęczony. Zresztą mnie to nie interesuje.

— Co „to”? Co ciebie nie interesuje? — Pola robi się agresywna.

— To! Udawanie turystów, udawanie znawstwa, udawanie zainteresowania.

— Jakie znów udawanie, o czym ty mówisz, Kubuś! Jeżeli musimy włóczyć się po świecie, to trzeba z tego skorzystać. Mnie się takie życie nawet bardzo podoba! Ta chmura ma przynajmniej rzeczywiście srebrną podszewkę...

— Więc idź sama! Chociażby dziś popołudniu. O piętej mam się spotkać z Rozenkrancem...

— Skoro jesteś zajęty, to zupełnie co innego — usprawiedliwia go Pola. — Tylko nie wmawiaj we mnie wyższości twoich „zapatrywań”, bo kiedy ktoś zamyka oczy, to w ogóle nie patrzy! Z mego punktu widzenia życie jest jak ciekawy film. Mogą być inne, naturalnie, mogą być inne...

Wszystkie miasta miały w pamięci Jakuba Mayera jednakowo obce twarze oprócz jednego, dalekiego, które nazwał raz na zawsze miastem Rebeki. Nazwał je tak, żeby było jeszcze smutniej, i żeby je wygrodzić z rzeczywistości, i ocalić pod samotnym imieniem to, co nie zostało ocalone, i żeby je przywłaszczyć na wyłączną własność bez kolizji ze zdrowym sensem i oczywistością. Bo miasto, na sposób oczywisty, było równie jego, Rebeki i Poli, jak osiemdziesięciu tysięcy innych mieszkańców, ludzi, którym się kiedyś kłaniał, i którzy się jemu kłaniali, i takich, któ-

rych wymijał jak obcy. Z samych nazwisk, które miały znajome twarze, tułowia i gesty, które otwierały znajome mieszkania i znajome „widoki” z balkonów, i znajome historie na długie lata wstecz, mógłby Jakub sporządzać przez wiele dni listę. W mieście Rebeki pozwalał im żyć, poruszać się i gestykulować, ale w sensie nieważnego statystowania sprawie, która wówczas wydawała mu się błahą.

— Podobno widok na Rio de Janeiro jest najpiękniejszą panoramą świata. Ciekawam, jakie na mnie sprawi wrażenie — mówi Pola, pudrując nos przed lustrem.

— O ile tam pojedziemy...

— O ile tam pojedziemy — wzdycha. — Nie zapomnij przycisnąć tego Rozenkranca: ile? konkretnie. To wieczne maglowanie powietrza, z czego takie Żydki żyją?... A, wiesz, z Europy, to mi się jednak najwięcej podobał Paryż. Mówiąc o miastach, oczywiście. Nie uważasz, że Paryż jest właściwie koloru gołębi, szaro błękitnych, i to jest bardzo poetyczne...

—

W pokoju jest obskurnie i zimno, i Pola kręci się przed lustrem w futerku, a Jakub leży pod kołdrą w spodniach i swetrze. W watowanych ramionach futra Poli tkwią brylanty. („Ach, tam zaraz: brylanty! Kilka kamieni, szkoda gadać! Ale może to i nieostrożnie pozwalać jej wychodzić tak samej...?”) Myśl została zgaszona szybko jako nieprzyzwoita i absurdalna.

— A Rzym, nieprawdaż, Rzym ma kolor zwietrzałej, zakrzepłej krwi. Plamy krwi są podobno nieusuwalne. Jak historia. Właściwy więc kolor dla historycznego miasta, można powiedzieć synteza, nie uważasz? Krew w perspektywach historii prezentuje się malowniczo. Wyobraźnia lubi krew i trupy, odsunięte na pewną odległość...

— Przestań Pola! — A po chwili dodał grubiańsko: — Mam podarte skarpetki — i poruszył nogą pod kołdrą, że to niby sama mogłaby się przekonać, i poczuł rzeczywistość na wielkim palcu ucisk rozłazących się nici.

Pola podchodzi do komody, nieskora do urazy, a szybki ruch jej warg, rozcierających świeżą warstwę szminki, wyraża, jak daleka jest od robienia sobie czegokolwiek z humorów Jakuba. Skarpetki są zacerowane, w gruncie rzeczy dobra żona jest z tej Poli! Lecz, gdy pochyła się nad nim, by mu je wygodnie położyć na kołdrze, tak, żeby nie potrzebował ani szukać, ani sięgać, zaciążyła mu nudna

świadomość, że nic tylko po prostu wie, jak się w tym pochyleniu marszczy jej suknia pod futrem, jak załamuje różowy gorset na jej brzuchu, i naciągają z tyłu na udach podwiązki. I wie także, że Pola, prostując się, ściągnięciem szybkim ruchem w tył łokcie — o tak właśnie, jak to robi w tej chwili — aby poprawić ułożenie biusthaltera. „Nudne” myśli Jakub „i żenujące, że nudne”.

— Wymyj nogi, Kubuś. I, proszę cię, bądź rzeczowy z tym Rozekrancem! Ryba w akwarium i ryba na targu to są dwie różne ryby.

Czy Rebeka potrafiłaby go upokorzyć takim zdaniem „wymyj nogi”? albo piłowaniem o Rozenkranca, z którym nie miał zamiaru wcale się spotykać? — Pola wyszła, i wiedział, że jednak mógłby być jej wdzięczny za to, że tym razem pomogła mu zawrócić do miasta Rebeki bez przeciśnięcia się przez wspomnienia getta, strachu i lepkich poniżeń. Jakby mu rękę podała nad śliską kładką. Wystarczyło porównanie, że Rebeka, że z Rebeką byłoby inaczej... Był zadowolony, mimo że zdawał sobie sprawę z popełnionej niesprawiedliwości: sam przecież zaczął o tych skarpetkach. Zdawał sobie także sprawę z małżeńskiej nielojalności, jaką popełniał. Ale czy koń musi być lojalny wobec dyszla? Zresztą, perswadował sobie, zdradził najpierw Rebekę z Polą. Przypominał sobie, jak wodził palcem po profilu Poli, delikatnie, ledwo-ledwo muskając jej skórę, aby twierdzić, że jej prawie-że zadarty nos podoba mu się o wiele bardziej niż żydowski profil Rebeki. I chwalił włosy blond, sydkie i puszyste, o ledwie dostrzegalnym rudawym refleksie, a oboje myśleli przy tym o czarnych włosach Rebeki. Wyrzuty sumienia ustępują miejsca zdumieniu: Jak to się stać mogło, że tak właśnie było?

Jak się stać mogło, że tak właśnie było?

„Dlaczego nie malujesz sobie ust, Pola?” spytała wtedy Rebeka.

„Mamusia nie pozwala!” Jakub odwrócił się od okna, by wzrokiem pochwalić szczebiot swojej narzeczonej, różowej, złotej, zalotnej. Wyobraża sobie teraz, że Rebeka musiała wzruszyć ramionami; wówczas nie spojrzał nawet na nią. Powrócił do wyglądanego przez szybę, bo akurat, pamięta to dobrze, po drugiej stronie placu, przed apteką jego ojca, zatrzymało się auto dziedzica z Jagniąt. Z samo-

chodu wyszedł szofer i wszedł do apteki. „Widocznie nic wielkiego, soda, waleriana, albo zwykła doza rycyny” myślał Jakub z ulgą. Gdyby jakaś poważniejsza choroba, z wizytą lekarza i receptą, wysiadłby ktoś z nich, aby według odwiecznego zwyczaju zasięgnąć dodatkowo rady aptekarza. „Zawołam syna” albo: „szkoda, że akurat nie ma mego syna w domu” odpowiedziałby jego ojciec, i dla przypomnienia dodałby, że syn w zeszłym roku ukończył wydział medyczny na Uniwersytecie Jagiellońskim, a za rok „jak Bóg da” rozpocznie praktykę w „naszym” mieście. Szofer wyszedł niezwłocznie i, zbiegając ze schodków ganku, wtykał małą paczuszkę do kieszeni kurtki. „Ee, kogutki albo kwas borny!” cieszy się Jakub dziecinnie, jak gdyby los w ten sposób odkładał dla niego, zaoszczędzoną niejako, chorobę przyszłego pacjenta. „Trzeba by jednak zamieszkać w domu rodziców” rozmyśla. „Polą chce willi z ogrodem, ale lepiej będzie tak: apteka i lekarz w jednym miejscu. Ojciec i syn. Stara solidna firma”. Chciał zaraz porozmawiać o tym z Polą, ale przeszkadzała mu obecność Rebeci.

Potem wyszli razem. Sprytna była Rebeka! Przeciągała paplaninę z Polą tak długo, aż znudzony oczekiwaniem na jej wyjście, pożegnał się, nie ukrywając, że trochę, troszeczkę został urażony w prawach narzeczonego. Zatrzymała go na samym progu: „Ja też wychodzę!” Po schodach zeszli, zdaje się, w milczeniu. Na ulicy Rebeka powiedziała: „Niech mnie pan odprowadzi!” Nie było w tym nic niewłaściwego, nie. Rebeka mieszkała daleko, w złej dzielnicy miasta, a zapadł był już wieczór wilgotny i mglisty. To natomiast, że go za pierwszym zakrętem ujęła pod rękę, wydało mu się i niewłaściwe i jednocześnie zabawne. Różnie mówiono o Rebecie.

„Wacek panią wspomina”.

„Ach, tak, prawda, pan zna Wacka... No i jak mnie wspomina?” Zwróciła ku niemu twarz, i po raz pierwszy zauważył jej śliczne, intensywnie czarne oczy.

„Mówił, że z pani niebezpieczna kobieta”.

„Ach, Wacek!”...

Szli w milczeniu czas jakiś, zanim zaczęła mówić głosem stłumionym a melodyjnym, jak gruchanie synogarlicy nie z tego krajobrazu, nie z tego klimatu, ciepło i miękko, głosem, jaki tylko u niej słyszał i to niezawsze, a jedynie wtedy gdy chciała mu coś ważnego powierzyć najczęściej to, że go kocha; zaczęła mówić, cofnięta o jakie pół kroku za

nim, i dając mu znak ręką, że nie chce, żeby się odwracał.
„Czy nie można by tak: niech się pan żeni z Polą, ale we mnie troszeczkę zakocha?”

„Ja kocham się w Poli” odrzekł Jakub.

„No to: niech się pan kocha w Poli, i żeni z Polą, a ja niech będę taką sobie przygodą. Spod ciemnej gwiazdy”.

„Na co to pani?”

„Będę taką małą ciemną przygodą, o której nikt nie wie, i o której łatwo zapomnieć...”

Nie odpowiadał.

„Która w najgorszym wypadku jest jak bezużyteczny prezent”.

„A w najlepszym?” próbował żartować.

„Jak użyteczny prezent”.

„Co ci z tego przyjdzie?”

„Nic”.

Miasto Rebeki bywało słabo oświetlane poza główną ulicą i rynkiem, gdzie *vis-à-vis* siebie stały kamienice starego Mayera i starego Lilienthala, którego już nawet najstarsi ludzie nazywali Lityńskim. Nowe nazwisko zestarzało się, jego właściciel rzadko bywał w mieście, wielki napisać natomiast przez trzy piętra kamienicy, jarzący się co wieczór stu żarówkami uświadamiał, że SKŁAD GŁÓWNY MASZYN I NARZĘDZI ROLNICZYCH to jest S. LITYŃSKI I SKA. W młodych ludziach reklama budziła nostalgię do światła wielkomiejskich, czyli kojarzyła się z przyszłością, o jakiej każdy sobie roił, a w starszych, przeciwnie, budziła tęsknotę, do przeszłych „dobrych czasów”, w których firma NARZĘDZI ROLNICZYCH odegrała tak pionierską rolę. Młody Lilienthal-Lityński zrewolucjonizował swego czasu okolicznie rolnictwo, importując amerykańskie maszyny. Zrobił na tym majątek, co jakoś puszczano mu w niepamięć w latach, gdy strach przed redukcjami pracowników silniejszy był niż zawiść. Już raczej miano pretensję, że się gdzieś wyniósł z nowymi pomysłami i fabrykami margaryny.

Główna ulica nazywała się Aleją Piłsudskiego, a wszystkie poprzeczne do niej, odchodzące z jednej strony pod górę, miały ładne nazwy uczonych i pisarzy polskich. Na samej górze sosnowy laszek zmieniono w park im. Słowackiego, zwany także Kępą. Tereny w ogół parku rozparcelowano pod wille, i tam to stary Lityński zamierzał ulokować część posagu Poli. Droga natomiast do domu Rebeki

biegła w dół, przez coraz to węższe wykręty zaułków, ku rzece. Uliczki, często bez chodników, nazywały się po prostu: Rzeczna, Drewniana, Śliska, Bagno, Kościelna. Po środku Starego Rynku wygrodzono wprawdzie skwerek z pomnikiem powstańców śląskich, ale latarnie paliły się rzadko i słabo, tyle, że w otokach światła widać było: mży. „To tam” Rebeka wskazała jedną z ulic. Na rogu pomarańczowo świeciły spocone okna cukierenki.

„Może wstąpimy na kawę?” zaproponował, a potem długo obserwował jej żałosny uśmiech nad wyszczerbioną filiżanką, zanim wreszcie spytał:

„Więc gdzie się jutro spotykamy?”

„Więc tak? więc dobrze?” patrzyła na niego uradowana i „Jakie ty masz żydowskie oczy” powiedział.

„Ty też jesteś Żydem”.

Stop. Jakub Mayer wstaje z łóżka, aby sięgnąć po papierosy leżące na stole. Podłoga parzy go zimnem, więc podciąga palce pod stopy, i ten duży nagi palec, który wyłaził ze skarpetki. Deprymuje go chłód i brzydka bezbronność nieobutych nóg, ale wytrzymuje to jak prysznic, z zapartym tchem.

Żydem. Nigdy nie był Żydem, nigdy nie chciał być Żydem. Ojciec jego był zasłużonym polskim działaczem niepodległościowym. W domu przy Rynku jednakowo surowo i jednakowo pobłażliwie odnoszono się do ciemnoty antysemityzmu i do ciemnoty pejsatych rabinów. „Żyd” dla Jakuba oznaczał więc człowieka, który upiera się w wierze w nieinteligentne zabobony, odrzuca postęp dla ezoterycznych mitów, żyje niehigienicznie, mówi brzydkim żargonem. Nazywanie Żydami ludzi, którzy zerwali z konformizmem gett, i awansowali społecznie wysiłkiem własnej pracy, było dla Jakuba takim samym wybrykiem złośliwej niedorzeczności, co nazywanie „chamami” inteligentów pochodzenia chłopskiego. Co innego przymiotnik: żydowski. Żydowskie rysy były stwierdzeniem, żydowskie pieczywo było dobre, żydowskie kawały były bardzo dobre. Ale już żydowskie zdolności Jakub poddawał w wątpliwość, rozwijając przy okazjach ulubioną teorię, że lepsze wyniki szkolne są skutkiem szybszego dojrzewania dzieci żydowskich, a na uniwersytetach poziom inteligencji stanowczo się wyrównuje. Jeśli mimo to potrafią się wybijać, przyczyna leży w większej pracowitości i w większym szacunku dla nauki i sztuki. Jakub nieraz się dziwił lekceważące-

mu stosunkowi do kultury u swoich aryjskich kolegów, i pogardzał tymi, którzy uważali, że czytanie książek nie jest potrzebne, skoro ma się dziedzictwo kulturalne „we krwi”. Czymże się różnili od biednej starej Żydówki, która z dna swej nędzy i uniżności oglądała świat z wyżyn „narodu wybranego”, z wiarą w magię koszernych potraw i nie-strefionych dotknięciem goja naczyń kuchennych i stołowych? W domu Mayerów czcilo się Boga Jedyneho, uniwersalną wiedzę, i polską kulturę. Poza domem Jakub usłyszał nieraz wyzwisko „Żyd”, wycelowane w siebie, jak kamień łobuza, ale wierzył w dzień, kiedy wszyscy łobuзи o wymytych rękach i odwszawionych ubraniach zasiadą w jasnych salach szkolnych. Raz jedyny słowo Żyd zabrzmiało przyjaźnie i serdecznie, wówczas w ustach Rebeki. Pierwszy i ostatni raz w życiu. Więc Jakub musi przeczekać na zimnej posadzce, aż słowo to przebrzmi w pamięci, i nie chce także wyjść z tamtej cukierenki w czarną uliczkę — „to tam” jak wskazała Rebeka — gdzie później wzniesiono bramę getta, przez którą przebiegał struchlały i zawstydzony pod pręgierzem ciekawych spojrzeń mieszkalców miasteczka. Patrzyli na Jakuba, jak Jakub na drobnoustroje pod mikroskopem. Wstydił się siebie, że czuł się tym upokorzony. Inaczej Pola. Odpinała żółtą łatę zaraz na skwerku, jakby zamykała parasolkę. I nieobecna Pola podaje mu znów na mgnienie rękę nad chybliwą kładką niechcianych przypomnień, i powoli, powoli ucisza się stukot serca pod swetrową kamizelką. „Ostatecznie, nie próbowałem obcinać kuponów zmaltretowanego Żyda, ani się nie pcham do tej ich Palestyny” mruczy. Przeświadczenie o własnej bezinteresowności ma wagę najsolidniejszego argumentu.

Na korytarzu skrzypnęły, a potem zatrzasnęły się drzwi, i zadzwoniły wszystkie naczynia na umywalce. Właściwie stać by ich było na przyzwoitszy hotel. Utarło się jednak podczas już dwuletniej prawie podróży o zamglonym celu zatrzymywanie w tak zwanych pensjonatach, „pokojach umeblowanych”, których sens istnienia wahał się między ubogą awanturą miłosną, obliczoną na godziny, a zapachami posiłków, gotowanych na prymusach, i pranej bielizny w łazience. Ceny „pensjonatów” były zresztą słone. Tkwiło jednak w tych obskurnych mieszkaniach niejake pokrewieństwo z zaszytymi brylantami w futerku Poli.

Jakub wsunął się z powrotem do łóżka.

Nigdy z Rebeką nie leżał w łóżku, nigdy nie zaszedł z nią do hotelu. W mieście Rebeki oprócz hotelu Żorża, należącego do spółki akcyjnej Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Kelnerów i Pracowników Hotelowych, na głównym rynku, w sąsiedztwie NARZĘDZI I MASZYN ROLNICZYCH S. LITYŃSKI I SKA, gdzie na piętrze wyszykowano apartament dla Poli i jej matki, istniały tylko obdrapane hoteliki, i tak się składało, że właściciele ich byli bez wyjątku wszyscy w jakimś stopniu pokrewieństwa z Rebeką. Dziwna z niej była dziewczyna. „To dziwka” mówił Wacek, ale Jakubowi wydawała się bardzo dziewczęca i nieśmiała, choć mógł z nią robić co zechciał. Powrócili jeszcze kiedyś do tematu Wacka.

„Co on o mnie mówił?”

„Pytał, w kim się teraz kocha Rebeka, tylko wyraził to ordynarniej”.

„Ach, Wacek!” Zaczęła go wyśmiewać, coś przypominać, o czymś opowiadać, ale plątała się wyraźnie, i wierzył jej dlatego tylko, że miał w tym swój aktualny, przelotny interes.

Było to w kawiarni na Podwalu, nie, wieczorem w parku. Już zimą. Pod koniec ich krótkiego... — jak to nazwać? — Jakub zapala nowego papierosa, i wie, że trzeba to nazwać: pod koniec krótkiego życia Rebeki. Ten park przysnił mu się kiedyś niedawno, bez Rebeki, ale z perspektywą na miasto, której w rzeczywistości nie było, i z wieżami kościołów, których tam nie było, i z głosem, który po francusku powiedział: *la ville d'une femme morte*. Było to tym bardziej zdumiewające, że jakubowa znajomość francuskiego pozostawiała wiele do życzenia; lecz tak było. I po przebudzeniu Jakub zapisał jakby pod dyktando snu, czterowersz, chociaż nigdy nie pisywał wierszy. Teraz wyciąga z portfela małą zniszczoną karteczkę, i wpatruje się w słowa niby w zniszczoną drogą fotografię. I zdaje mu się, że gdyby Rebeka nie umarła, to powróciłby do niej, i z nią się ożenił, a nie z Polą, mimo położonych już fundamentów pod willę. (Bo jednak nie zamieszkali na rynku nad apteką.) Wierzy w to teraz tak, jak wówczas wierzył, że Wacek jest łobuzem i oszczercą.

Siedzieli w parku na omiecionej rękawiczkami Jakuba ze śniegu ławce, ufnie w późną godzinę, silny mróz i noc bezksiężycową. Było biało, ale nie było jasno. To, zdaje się, jedyny raz był z nią wtedy w parku. Zazwyczaj kluczyli przedmieściami, daleko, na ostatni most na rzece, po wer-

tepach za cegielnią. Na Kaczy Dół wywożono z miasta śmiecie, i tam po raz pierwszy zobaczył stare śmieciarki, grzebiące pogrzebaczami w cuchnących bebecach odpadków.

„Czego one szukają?” zapytał Rebeki.

„Szczęścia. Nie dojedzonej puszki konserw, zdatnego łachmana. Szczęście, kochany mój, mierzy się rozpiętością między aspiracjami, a tym, co osiągalne. Gdyby grzebały tu w poszukiwaniu złota, albo zgubionego pierścionka, na pewno byłyby bardzo nieszczęśliwe. Ale one o tym nie myślą. Tak jak i ja myślę jedynie o rzeczach bliskich, i dlatego jestem szczęśliwa”.

„A o czym-że ty myślisz?”

„O tobie”.

„A o czym nie myślisz?”

„O tobie”.

„Więc jakże tak?”

Nie odpowiedziała, i zrozumiał, i zmienił temat.

Oprócz autentycznych wspomnień Jakub próbował nie-raz dorobić sobie w myślach o Rebecce jakiś *sens*, ale, że brakło mu fantazji, próby kończyły się porażką. Lubiłby na przykład myśleć, że zapalenie płuc nastąpiło na skutek przeziębienia na którymś z ich spacerów, może wtedy na ławeczce w parku, i że Rebeka umarła niejako w konsekwencji swojej do niego miłości. Nie zgadzały się z tą wersją daty. Ich spacery skończyły się o wiele wcześniej, nim Rebeka zachorowała.

Wyjeżdżał w tym okresie często do Warszawy i do Krakowa, a później do Zakopanego, dokąd stary Lityński zdecydował się wysłać Polę z jej matką.

„Robię to dla zięcia” mówił do Jakuba, ale nie patrząc na niego, i jak gdyby wybór zięcia nie był jeszcze ustalony „Niech ją przyszyły mąż wysłał do Szwajcarii! Jakub nie wie, jak ważne jest, żeby kobieta czuła, że wszystko zawdzięcza mężowi. Złe, kiedy ma takie ambicje, jakich nie może zaspokoić mąż. Z Polą kłopotów nie będzie, dobra, normalna dziewczyna. Byle trafiła na mądrego człowieka, co to wie, że najpierw daje się kobiecie pierścionek z brylancikiem, a potem ze szmaragdem, najpierw kołnierz z lisa, a potem sobole, a będzie szczęśliwa, zawsze ładna i miła”. Tak mawiał.

Jakub puszczał te nauki mimo uszu, czuł się wtedy związany z Rebeką. Nie w sensie jakichś projektów czy zobowiązań — to nie, tego nie było. Nigdy nie kaprysiła,

gdy oznajmiał, że wyjeżdża na tydzień, na dwa, albo po prostu, że nie ma czasu. „Nie mam czasu” oświadczał lakonicznie, nie chcąc jej i siebie przyzwyczajać do jakichś zależności. Czekala. Ale i to czekanie zaczynało go irytować, nie ze względu na jej uległą gotowość, jaka mu była zawsze miła, lecz na pewność siebie takiego czekania. Nie raz wolałby, żeby mu robiła wyrzuty, aby doszło do jakichś scen, dających mu okazję do przypomnienia: „Nic ci nie obiecywałem, i nic obiecywać nie mogłem. Tyś sama chciała. Nie bierz mnie zbyt serio...”

Nie powiedział tego nigdy, ani niczego podobnego, bo zabrakło pretekstu. Aluzja w rozmowie o szczęściu, na Kaczym Dole za cegielnią, była jedyną, i z niej nie skorzystał.

Chodzili w olszynie za rzeźnią, i spacerowali nad rzeką, samym brzegiem, „plażą”, jak się tam u nich nazywało, gdzie praczki aż do grudnia klepały czerwonymi rękami białą bieliznę na kamieniach; bładzili w dzielnicy drewnianych domków w sadach, na styku miasta i wsi, gdzie psy ujadły na łańcuchach i nierzadko było słychać porykiwania krów. W koleinach stały kałuże, potem pościął je mróz w twardą grudę, i niesymetryczne kawały szkła z lodu. Za parkanami sterczały puste głowy słoneczników na szerniałych łodygach i słomiane chochoły. Dął wiatr, o którym mówiło się zawsze „halny” przez snobizm dla niewidocznych, ale i niedalekich gór. Chmury chodziły nisko, bure, szare i czarne, oświetlone zachodem albo księżycem, stłoczone i nagłone, że wydawało się: nie nadąży która i runie, albo chociaż zawadzi o niewysoki komin, czy nieco wyższą jabłoń w sadzie! Rebeca zakwitały rumieńce na policzkach, ale wiatr łzawił jej oczy i czerwienił powieki, co nie było ładne.

Przed świętami wróciła Pola, jasna, wesoła i ufna, i skończyły się wieczorne spaceru. Niedługo potem skończyło się między nim a Rebeką wszystko, ale najpierw przeżyli jeszcze serię rannych spotkań w pustych o tej porze knajpkach, często zakamuflowanych, a zawsze brudnych i ciasnych. Określało się je: dorożkarskie. Nie były to wesołe spotkania. Rebeka krzywiła się przy piwie i z przymusem jadła „trefne” zakąski: kiełbasę, szynkę, boczek. Wolałaby śledzia z cebulą, ale jak się całować po śledziu z cebulą?! Niezawsze zresztą do tych pocałunków dochodziło, chociaż niejedna ceratowa kanapka w „gabiniecie” były świadkiem ich szybkiej miłości, nic nie dającej, wiele odbierającej.

Miasto natomiast, w tych prawie nieznanach Jakubowi dzielnicach, wydawało mu się za dnia przyjemne, swojskie, napełniające otuchą. Żałował, że nie przybiegał tu w dzieciństwie ślizgać się na kałużach koło studni z chłopcami w drewnianych chodakach, że nie zaglądał do otwartej kuźni, przed którą i teraz radby przystanąć i pogapić się trochę. A taki koński rynek! Pachniało sianem, końskim moczem i potem, kozuchami, buchało w mroźne powietrze parą z pysków i ust ludzkich, kłębiło się ruchomą wrzawą i gromadami rozświergolonych wróbli. Jakób przyglądał się chłopom serdecznie, i obiecywał im i sobie, że będzie ich specjalnie wyróżniał jako ewentualnych przyszłych pacjentów, i zrobi wszystko dla zniszczenia nieufności między lekarzem a wieśniakiem, zawsze podejrzliwym, zawsze wietrzącym podstęp dla wyłudzenia grosza. Więc obejmował ich czułym i pobłażliwym spojrzeniem, i ustalał specjalne dla nich opłaty i godziny przyjęć w dnie targowe. Willa w pańskiej dzielnicy przeszkadzała mu w judymowych projektach. Może więc odnajmie ze dwa pokoje na piętrze nad apteką, i urządzi tam tanią przychodnię dla tych ludzi? „A podatki? A jeśli praktyka na początku zawiedzie?” — Tak się układały wówczas myśli i frasunki dr. Mayera, nieprzychylnie z konieczności dla Rebeki.

Rebeka czekała. Spóźnił się, bo zachciało mu się jeszcze zająć do stolarza i, udając ewentualną możliwość zamówień, porównać ceny mebli z wykonanymi już według gustu i projektów Poli. Pola miała smak i wyrobiony sąd o rzeczach, które w mniemaniu Jakuba żadnych specjalnych osądzeń nie prowokowały. Takie na przykład wieszaki w przedpokoju... Obliczył, że przepłacili dużo.

Nie przeproszał Rebeki. „Jestem bardzo zajęty” stwierdził, i musiało jej to starczyć.

„Cieszę się, że jesteś zajęty” uśmiechnęła się, i szczerść jej uśmiechu go zaskoczyła.

„Dlaczego?”

„Ludzie zajęci mają dobry apetyt i mocny sen”.

„Zabawna jesteś”.

„To znaczy wszystko w porządku?” przysunęła się do niego.

Ostatni raz widział Rebeke u Poli. Spotkał ją tam niespodziewanie i oskarżył, że przyszła z jakimś specjalnie uknutym przeciw niemu celem. Czuł się rzeczywiście nieswojo i nieprzyjemnie wystawiony na sztych, tak mu się

przynajmniej zdawało, czujnych spojrzeń obu dziewcząt. Gniewało go także, że Rebeka wydała mu się tego dnia specjalnie ładna, tak ładna, jak chyba nigdy dotychczas. Jej opanowana powściągliwość kontrastowała także korzystnie ze sztuczną szczebiotliwością Poli, która, jak na złość, obrała go tego wieczoru za przedmiot swoich kokieteryjnych złośliwości, docinków, czułych aluzji i dąsów.

„Zaczęłaś malować usta” przerwała jej Rebeka, jakby mu chciała pomóc, za co bynajmniej nie poczuł wdzięczności.

„Pssst! Żeby mamusia nie usłyszała!” Pola położyła palec na ustach, i Jakuba ani nie zdziwiła ani nie zgorszyła świadomość, że przecież sam widział, jak malowała się przy matce, a matka nie tylko nie protestowała, ale udzielała jej praktycznych wskazówek.

Było naturalne, że nie wyszedł z Rebeką i że nie proponował jej, że ją odprowadzi. Później wydało mu się naturalnym biegiem spraw, że nigdy już jej więcej nie spotkał. Mówiono, że wyjechała. Lubiłby myśleć teraz, że czekała na niego do śmierci, albo że umarła, gdy przestała na niego czekać.

W drzwiach stanęła Pola.

— Jak to! Ty jeszcze w łóżku?!

—

— No wiesz! A Rozenkranc?!

— Nie chciało mi się spotykać z Rozenkrancem.

— Kubuś. Możesz ty chory? — zakrzętnęła się po pokoju bez sensu, potem obeszła łóżko i wyciągnęła rękę, aby mu ją położyć na czole.

— Daj spokój — zachnął się. — Nic mi nie jest.

— Jak to nic ci nie jest, i jak to dać ci spokój?! Trzy godziny przeleżeć w łóżku, nadymić papierosami, to jest normalne?! — Pola ściąga zepsutą roletę i zapala światło.

— Coś ty robił?

— Myślałem o Rebecie — powiedział wprost i opryskliwie.

Pola znieruchomiła. — Przez trzy godziny myślałeś o Rebecie? Ciekawam bardzo, co o niej tak długo myślałeś! — Jakub nie odpowiada i Pola jest coraz bardziej zła. Szarpiącymi ruchami zrzuca kapelusz, przeczesuje włosy, mówi: — Ładnie ty byś wyglądał z tą zwariowaną Żydówką, której semickich rysów i noc najczarniejsza by nie

ukryła! Boooże! Boję się myśleć nawet, co by się z tobą stało, gdybyś się z nią ożenił...

— A ty nie jesteś Żydówką? a ja nie jestem Żydem? — pytał zaczepnie.

— Aleśmy wyszli z getta, tak?! I wyszliśmy z tej wojny?... żywi. Nie? I nie chcę ci wypominać, że to przypadkiem, ale ja cię wyprowadziłam z tego piekła. Wtedy, kiedyś ty palcem nie chciał ruszyć, bezsilny, przytłamszony, Tak, czy nie?

— Słuchaj Pola — ciągnął mimo hałasu jej słów. — I ty i ja jesteśmy dziś tylko biedni, sponiewierani Żydzi. Zbrodnia określa ofiarę, rozumiesz? Strzeli ktoś w kark, i żywy człowiek staje się trupem. Rozumiesz? A człowiek, którego kopnięto w tyłek, jest skopanym. Którego obito po twarzy, jest obitym po twarzy. Spoliczkowanym, jeśli wolisz. Którego zepchnięto w rynsztok, leżał w tym rynsztoku niezależnie od tego, czy z niego później wylazł, czy nie. Zostaliśmy określani.

— A Rebeka była taka mądra, że w porę umarła — Pola wzrusza ramionami.

— A Rebeka nie potrzebowała dowiadywać się od naniaczy, kim jest! Była tym, kim chciała!

— Ja też jestem kim chcę! — krzyczy Pola. — I racz mnie nie zapisywać ani do swego Klubu Sponiewieranych, ani do syjonistów, ani do żadnego licha! — Ciska zdjętym pantoflem z taką pasją, że leci on przez pokój pod łóżko Jakuba. To ją widocznie mityguje, bo zapinając na nogach miękkie bambosze, mówi już spokojniej: — To jest filozofia chłopców rozczytanych w Trylogii i korporantów. Zresztą tylko wybieg. Myślmy o Rebecce, aby nie myśleć o dołach zalewanym wapnem.

Jakuba drażni użyte przez Polę „my”, ale nie wie, jak zareagować, a poza tym widzi, jak Pola, która przyklekła dla wydostania swego pantofla spod łóżka, podnosi jego sekretną karteczkę.

— Oddaj!

Pola czyta:

*Dans la ville d'une femme morte
Qui a vécu vingt ans à peine
Les arbres portent aux nues agiles les toujours.
Y-a-t-il quelqu'un qui s'en gêne?*

— Jakie to ładne, czyje to? — Jakub nie odpowiada,

ubrany w obrażoną minę, więc Pola składa karteczkę, i kładzie ją na stoliku przy łóżku. — Złudzenia, Jakub! Gdyby wszystkie Żydówki były sto razy ładniejsze od Rebeki, z taką samą obojętnością przyglądano by się ich eksterminacji, jak się przyglądano.

Odchodzi do okna, i patrzy w szybę, przez którą nie może nic zobaczyć. I nagle Jakub wie, że nie ma takiej instancji na świecie, od której tak by absolutnie wszystko, co jest jego, zależało, jak od tego, co w tej chwili myśli jego żona, wpatrzona w szybę zasłoniętą roletą. A Pola stoi, stoi, milczy. „Odezwij się!” chciałby ją poprosić, ale się boi, że nie powie tego właściwym tonem. Wreszcie Pola, nie odwracając się, zaczyna mówić wolno, śpiewnie:

*Lepszy jest dzień śmierci
niżeli dzień narodzin
ten jest bowiem początkiem wszystkich kłesk.*

*Wstępuj w domy żałoby
omijaj dom weselny
współczucie karmi serce, truje je śmiech, jak lęk.*

*W kwiaty wesela pycha
sączy jad zapomnienia
że cierpieć i umierać znaczy żyć.*

*Wstępuj w progi żałoby
miń dom, gdzie pannie młodej
sto świec opali skrzydła w tańcu émy.*

— Niegłupie? Rebeka mi to ciągle deklamowała; wtedy. No, myślę, że ona sama nie miała w czym wybierać. Ale ja wiem? Może była wybrana.

ZOO NAD ZATOKĄ

O godzinie dziewiątej rano Nicolo otwierał bramę, jego córka Nina zasiadała w kasie przy wejściu, a Pepa, córka Niny i wnuczka Nicoli, wbiegała z kółkiem, piłką, czy szmacianą laleczką na zwirowane ścieżki Zoo. Tak było co dnia, zimą i latem, bo zimy przemijały szybko, bezmroźnie, rzadko szronem muskając zieleni, i to tylko tę najniższą, na murawie. *Neve* — śnieg zostawał daleko na północy, tajał w Lombardii, lub chwytął się wysokich gór Półwyspu. Nicolo widział go dwa razy w życiu, Nina i Pepa nigdy. Tyle więc, że niektóre wrażliwsze gatunki małp przenoszono z klatek do oszklonych domków, kiedy platany traciły liście. Trawy, palmy i inne drzewa trwały niezmiennie zielone, wierne. Ludzie też, po dezorientacji wprowadzonej przestawieniem do góry nogami pojęć o cnotach obywatelskich, tym bardziej trwali przy niekwestionowanej cnocie roślinnej wierności. Nikt nie odczuwał nostalgii za morzem odpływającym od brzegów, albo się do niej nie przyznawał. Jeżeli Giorgio, mąż Niny, opuścił ją i nie chciał znać małej Pepy, to nie dlatego, żeby go jakieś Ameryki uwiodły. Przeniósł się o dwie uliczki bliżej śródmieścia, pił nadal w tej samej tratorii, i subiektował w tym samym sklepie na placu. I po tych samych wąskich chodnikach prowadził wpółobjętą inną czarnowłosą dziewczynę. Nawet rybacy z dołu nie odpływali daleko na morze, i bardzo rzadko zdarzało się, by który z nich utonął, albo wyruszył w świat na cudzoziemskim statku. Wierność taka musiała nasuwać w niektórych głowach miejscowych filozofów przypuszczenie, że papugi, małpy, rysie i inne egzotyczne zwierzęta w Zoo tęskniły po swojemu. Nicolo twierdził, że nie. Nicolo twierdził, że najgłupsze ze zwierząt ma

swoj rozum i wdzięczne serce, a on je karmił dobrze i okazywał im dużo przywiązania. „Bestie, one nie kupują żywności w sklepikach. Lepiej od ludzi cenią rękę, co je tuczy”.

O dziewiątej rano leniwy hipopotam miał już do pełna wyduży brzuszek, a w klatkach orłów pozostawał jedynie śwąd rozdrapanego ścierwa. Zoo nie było duże. Połowa klatek świeciła pustką, o której zapełnienie nikt się nie frasował. Dwa lata nie minęły jeszcze jak minęła wojna. Mówiono, że w ostatnim roku jej trwania niektóre okazy przeszły na użytek jatek miejskich, i że gospodynie nie mogły nadziwić się kształtom kości i smakowi mięsa, wydawanego na żywnościowe kartki; opowiadano, że żołnierze niemieccy zjedli całego słonia, a maciora dzika trafiła bezpośrednio pod nóż Nicoli. Nicolo zaprzeczał i trapił się obmową, ale teraz, gdy jedzenia, dzięki Bogu, w każdym sklepie jest już znowu pod dostatkiem, nie lęgną się w niczyjej wyobraźni złe i fantastyczne pomysły na widok kształtnej gazeli, lub na widok pustej klatki. Te opróżnione klatki Zoo raziłyby może gdzie indziej, jak wyszczerbione zęby, ale tu, wśród zieleni bluszczów, rozmarynów i zwisających wzdłuż prętów lian, nie straszą, a przeciwnie budzą miłą ciekawość na przyszłość. Bo wszystkim jest już na nowo wiadomo, że życie dalej się toczy, i ku lepszemu.

Pepa śpiewała, kręcąc się w kółko między zagrodą słonia i ławką wspartą o pień platanu:

*Io t'ho incontrato a Napoli
Bella dagli occhioni blue...*

— Czy nie znasz jakiej innej piosenki? — spytał z ławki mężczyzna w mundurze alianckim, składając gazetę.

Drobne listki nie dawały dość cienia, a niespokojna siatka plam słonecznych, przesuwająca się po brudnym druku, męczyła oczy. Był maj. Pepa przystanęła.

— Nie, nie znam.

— Umiesz śpiewać tylko tę jedną jedyną piosenkę? — dziwił się mężczyzna i myślał o czym innym. Za zakrętem ukazała się kobieta, ale już po sekundzie spostrzegł, że to nie ta.

— Znam jeszcze jedną piosenkę — przypomniała sobie Pepa — ale to jest stara piosenka, i nikt jej dziś nie śpiewa.

— Może zaśpiewasz mi ją jednak? Zaśpiewaj, a narysuję ci na piasku konika.

— Ko-ni-ka? — zastanowiła się dziewczynka, ale widocznie nie przyszedł jej na myśl powabniejszy przedmiot wymiany, bo wyciągnęła w górę podbródek i zaciągnęła:

— *Viva Duce, viva Re, e viva Italia et Impero...* To jest krótka piosenka. A ty znasz jakie piosenki?

— Ooo, znam dużo... Ale nie mogę ci ich śpiewać, bo byś nie zrozumiała.

— *Straniero?* — domyśliła się Pepa — Cudzoziemcy tratuja nasze kwiaty! — zanuciła i odbiegła, nie czekając na obiecany rysunek. Wróciła jednak niedługo, przykucnęła na ścieżce koło ławki, i zaczęła przesiewać żwir przez palce.

— Widziałeś zebkę?

— Widziałem.

— I pumę?

— Widziałem.

— I lwa i strusia?

— I lwa i strusia.

— A Cezara też widziałeś?

— Nie, Cezara nie widziałem. Kto to taki?

— Taka duża małpa. Tam — pokazała za siebie palcem. — Dlaczego siedzisz tu, a nie zwiedzasz Zoo?

— Nie mogę zwiedzać Zoo, w którym nie ma krokodyla — odparł.

— To po co tu przychodzisz?

— Czekam.

— Codziennie czekasz?

— Codziennie.

— I jutro też będziesz czekał?

— Nie, jutro już nie będę czekał.

— Ja także codziennie czekam — westchnęła Pepa. — I jutro też będę czekała, i pojutrze, i za miesiąc, i zawsze.

— A na co-żesz ty czekasz?

— Na obiad. Zawsze czekam na obiad. Rozumiesz? A potem czekam na kolację. Na śniadanie nie czekam, bo jest pierwsze. Przede mną.

Mężczyzna wstał z ławki, ale po chwili usiadł na niej z powrotem. Kobieta, która się zbliżała od strony bramy, także nie była tą. Zmyliły go blond włosy, i granatowa sukienka z paskiem, jaką kiedyś znał. Potem spostrzegł, że

była wyraźnie utleniona i w ogóle zupełnie inna. Nie słyszał, co mówiła dalej Pepa. Nie zauważył także, kiedy sobie poszła. Samotność, w której pozostał, była prześwietlona niepokojem. Cienie na żwirze wstąpiły w czarne obwódki, i stłoczyły się na samym brzegu alejki. Południe było tuż.

Nicolo szedł w słońcu, jak pijany. Od trawnika do trawnika przecinał drogę po nieregularnych przekątnych, wytyczonych to skórką pomarańczy, to odrzuconym papierem, czy przydeptanym pudełkiem. Nabijał je na długi szpic laski, i jak zawsze przy tym myślał, że to jest praca akurat dla człowieka w jego wieku. Zatrzymał się nieco dłużej nieopodal ławki, na której, według słów Pepy, siedział obcy. Nie poznał w nim jednak nikogo, w mundurze natomiast poznał znajomą naszywkę, i odszedł zadowolony.

„Polacco”.



Dzień w Zoo kończył się o zmierzchu. Dokładnie wtedy, gdy niebo nad głową zaczynało liliowieć, a od strony zatoki żółknąć, lub czerwienić się zależnie od pogody, przewidywanej na dzień następny. O tej porze Nicolo odtrąbował zapowiedź zamknięcia ogrodu, a potrafił czynić to tak umiejętnie, że każdy na dźwięk jego clarino przejmował się koniecznością pośpiechu. Po dziesięciu minutach można było bramę zamykać, lecz Nicolo zwykł był stać jeszcze z kluczami, patrząc za odchodzącą w dół córką i wnuczką. Chodniki błękitniały i były jak rozwijający się za nimi dywan. Później kamieniały od świateł latarni. Zaraz potem zapalały się pierwsze gwiazdy na niebie. Nicolo zamykał bramę.

Cztery dni temu wstecz była sobota. Sobotni wieczór jest nałogiem ludzi żyjących życiem jednostajnym i spokojnym, więc przede wszystkim ludzi starych i prowincjonalnych. I, z przyczyn bliżej nieznanых, tak się też zdarza, że wszystkie sprawy niecodzienne i nadzwyczajne rozgrywają się w sobotnie wieczory i noce; czasami w niedziele. W poniedziałki nigdy. Wytworzyło to w Nicoli specyficzną czujność, nie mającą jednak nic wspólnego ze złymi przeżyciami i lękiem. Poza tym sobotnie wino, o ile umie się je pić w przyjemnej kompanii i w miarę, odsuwa zmęczenie, a ze snu, który ma nadejść, robi rzecz lekką i taką, do jakiej nie trzeba się śpieszyć. Nicolo więc, w ową ostat-

nią sobotę, choć bliska już była północ, obchodził zwolna swój zwierzyniec, jeszcze chyba szczuplejszy niż za dnia wobec wszechświata pokazanego na gwiezdny firmamencie. W gąszczu jaśminu trelował słowik, koło palmy krążyły bezszelestne nietoperze, tam, gdzie był bluszcz, było czarno i miętko, a tam, gdzie cienie na drózkach, noc wydawała się z kutego żelaza. Ale murawa na otwartych przestrzeniach srebrzyła się od księżycowej poświaty łagodnie, jak westchnienie z lekkiego serca, jak do kołysanki.

Nicoli wydało się, że niedźwiedź chrapie. Szybko jednak poznał, że chrapanie dochodzi go od strony jaśminowego klombu, w którym zamilkł słowik. O jaśminy oparły się glicynie, i kwitły bladymi girlandami. Nicolo rozsunął gąszcz ostrożnie. Na dnie cienia leżał człowiek, z podbródkiem uniesionym w górę, z rozchylonymi wargami, z których wydobywało się na przemian chrapanie i jęki. „Skomli we śnie jak szczeniak” pomyślał Nicolo, ale, gdy go zbudził, człowiek walczył ze snem i strachem, jak osaczony stary lis. „Nie umiesz spać czujnie i spokojnie” powiedział rzeczowo dozorca. „Niedaleko stąd jest klatka po mufłonach, które wyzdychały podczas wojny. Nikt w niej od tej pory nie mieszkał, więc nie potrzebujesz bać się ani myszy ani szczurów. I znajdziesz tam dużo siana, które niedawno złożyłem. Nie chciałbym cię jednak nigdy więcej spotkać, bo sam rozumiesz, że ogród po zamknięciu powinien być pusty. *Capito?*” Powtórzył raz jeszcze „*capito?*” ale nie było w tym groźby, tylko perswazja, pobażanie i gderliwość, stopione w jedno z nastrojem podchmielenia.

Nicolo nigdy więcej nie spotkał włóczęgi, lecz po śladach, wymoszczonych na sianie, mógł poznać, że tamten co noc wraca.



Wiatr powiał skądś i zdmuchnął gazetę z ławki. Rozstawiła się kantami na żwirze jak namiot, zachybotała, nie znalazła równowagi, a następny podmuch rozpląszczył ją i przysypał ziarnkami kurzu. Właściciel jej się nie schylił. „Więc nie przyjechała, więc nie przyjechała”, powtarzał półgłosem, i niepokój przeczekanych dni zastąpiła nieodwracalna pewność. Jeszcze pół godziny temu, jeszcze wówczas, gdy mówił nieznanemu dziecku, że jutro już nie będzie czekał, to czekanie wydawało mu się ze wszystkiego złego — najgorszym. Teraz wiedział, że najgorsze zacznie się

za pięć, za dziesięć minut, kiedy wstanie z tej ławki, i odejdzie. Najpierw wierzył, później miał nadzieję a następnie marzył, że ją odzyska. Miałby jej w ogóle nie zobaczyć?.. Nigdy już?.. Bał się, że oszaleje. Próbował się modlić, ale słowa układały się w jej imię. Więc próbował przeklinać, lecz wyrazy wywleczone z koszar, burdeli i pijackich koszmarów miękły i rozptywały się, gdy miały ją oznaczać, i gniew, że jej nie ma.

Według romantycznej wykładni toń symbolizuje kobietę, a motyl męską niepamięć. W rzeczywistości jest chyba zupełnie odwrotnie, bo jeśli chodzi o miłość pamięć kobiety jest jak rzeszoto; myślą powraca tylko do tego jednego, którego „naprawdę kochała”, czyli do tego, którego akurat kocha. A właśnie pamięć mężczyzn zachowuje swój poligamiczny charakter, i potrafi darzyć wspomnieniami kobiety zarówno kochane, jak niekochane, kiedyś kochane, nigdy niekochane... Oczywiście, dar ten bywa bardzo rzadko bezinteresowny. Wspomnienie Joasi podpłynęło do ławki pod platanem rzekomo po to, by wyjaśnić dlaczego inna kobieta zdradziła i skrzywdziła, a naprawdę, aby pocieszyć, że najpierw ów zdradzony — zdradzał, i ów skrzywdzony krzywdził. Jeśli nie ją, to inną.

HISTORIA JOASI

Zapadli na melinie niedaleko węgierskiej granicy. Chata utknęła w błocie, jesień szarpała wichrem-deszczem, łomotała górą i z ukosa, podgryzała do korzeni. Potem nastawała cisza. Czasem pies w budzie zabrzęczał łańcuchem, ale nie szczekał, bo nie było na co. Za ścianą, w mniejszej izbie, milczeli gospodarze.

Leżał, bo znowu powróciła gorączka. Ból rwał mu ramię tak, że po kilka razy dziennie prosił siostrę Czerwonego Krzyża, żeby mu zmieniała opatrunek i sprawdzała, „co się tam dzieje”. Siostra Joasia odkładała cerowanie pończoch, zdejmowała bandażę i przysięgała, że rana goi się prawidłowo i że „za tydzień będzie pan zdrow jak ryba!” Oczekiwali z dnia na dzień przybycia Ludwika z przewodnikiem, by razem we czwórkę ruszyć przez granicę.

O zmierzchu Joasia stawała przy oknie. Była szersza

w ramionach i niższa, ale wydawało mu się, że to jego żona w jego dalekim domu tak stoi przy oknie, wypatrując jego powrotu, nadaremnie. W takich chwilach korciło go bardzo, żeby powiedzieć: „Żono, podaj mi wody!”

Owo głupie zachcenie powracało uporczywie przez wiele zmierzchów. Tłumaczył sobie, że właściwie takie odezwanie zabrzmiałoby prawie naturalnie, ponieważ od tygodni sypiał z Joasią. Wślizgiwała się do niego ciepła, zręczna i milcząca, i rozumiał, że to jej milczenie stanowiło właściwą zaporę, rozdzielającą wspólne noce od osobnych dni. Zdawał sobie sprawę, że bez żalu porzuciłaby to milczenie dla prawdziwej, serdecznej intymności, ale nie mógł się dla niej rozstać ani z przeszłością, ani z przyszłością.

„To jest zresztą absurd”, powiedział kiedyś głośno.

„Co pan mówi?”, spytała od okna Joasia.

Nie odpowiedział. Chodziło mu o to, że nigdy przecież do swojej żony nie mówił: żono! Postanowił myśleć o czym innym, i raz jeszcze próbował uszeregować w pamięci obraz niedawnej klęski z tego, co sam zaznał w szeregu beładnych dni. Zdawało mu się, że narzucony przez własny sztab i przez wroga pośpiech był przyczyną wszystkiego złego, przyczyną niedogranego bohaterstwa. Ustępowali ciągle, okrążani niewidzialnym, pancernym ramieniem, z zadaniem wrywania się z zasadzki. W dalszym ciągu nic nie rozumiał ale przeżywał inny, nieznany wtedy, strach. Kula przeszła mu ramię, ale mogło się wydarzyć, że dotknąłby ją czołem, a wówczas... Wówczas odchyliłby się w tył, i zwałił z siodła, zręcznie, lub niezręcznie, różnie to w takich razach wygląda, i świat cały by się dla niego w tym momencie skończył raz na zawsze. Nie mógłby tęsknić na przykład do gór za węgierską już granicą. Albo gorzej: potrafiłby tęsknić, a nie mógłby się poruszyć.

„Absurd” mówi znowu głośno, i Joasia odchodzi od okna, za którym już nic nie widać.

Przybył Ludwik i syn gospodarzy, i wkrótce po tym ruszyli. We trzech. Joasia została w jego łóżku spalona i nieprzytomna od gorączki. „Tyfus” orzekł przywieziony na furmance felczer. Nie mogli na nią czekać. Na drugi dzień marszu, już wysoko w górach, postanowił nagle zawrócić. „Ech!” machnął ręką Ludwik. „Dlatego, że spała z tobą? Spała także i ze mną, i to ja powinienem mieć większe wyrzuty, bo to ja jej chyba tę tyfusową wesz podrzuciłem. Jechaliśmy do Sanoka w takim zawszadziałym

ścisku, że Rany Boskie! Widocznie prawo takie: wojna, wszy i wspólna madelonka-razem. No! ruszaj, ruszaj, i spokojnie! Myślisz, że mi jej nie żal? Żaaal. Dobra była dziewczyna, po ludzku może przechyra, ale po żołniersku wierna”.

Przypomina sobie teraz, jak poczuł ból w ramieniu: ręka machinalnie drgnęła, żeby spoliczkować przyjaciela. Ale nie potrafi wskrzesić już w sobie ani urazy, ani tamtego wstępu. Tak samo jak nie odczuwa już gniewu i wzgardy do tej, na którą czekał; tylko rozpacz. „Gdybym kochał Joasię, bym jej wybaczył. Stosunków między mężczyzną i kobietą nie reguluje się prawami koleżeńskiej lojalności. Anisia nie przyszła, i to oznacza...”

Właśnie wtedy spostrzegł, że szła. Spojrzał na zegarek. Przez dziesięć dni na nią w oznaczonej porze czekał, i zjawiała się dnia ostatniego, spóźniona. Nie ruszał się z miejsca, chociaż widział, jak rozgląda się niecierpliwie. Teraz, kiedy miał pewność, że z zasięgu jego wzroku nie potrafi się już wycofać, ani mu umknąć, sycił się wątlą złośliwością notowania ubożuchnego jej wyglądu i niepokoju w jej ruchach. Zatrzymała się niepewnie na skrzyżowaniu ścieżek. „Napisałem wyraźnie, że będę czekał przed zagrodą słońia”. Słoń stał wielki, jak słoń, wyciągając trąbę daleko poza sztachety ogrodzenia. Dojrzała go wreszcie i wtedy ruszył jej naprzeciw.



W południe ogród się wyludniał. *Pranzo* jest wytchnieniem każdego człowieka, nawet takiego, co nic nie robi i może w dzień powszedni spacerować w Zoo. W południe, słońce albo dopieka skwarliwie, albo — w zimnych miesiącach — nie grzeje dostatecznie, i w obu wypadkach łyk czerwonego wina uzupełnia doskonałość systemu słonecznego: krzepi lub rzeźwi. Mała Pepa moczyła bułkę w rozcieńczonym winie, Nina zanurzała w nim skwapliwie swoje gorzkie karminowe usta, nie przestając ani na chwilę opowiadać, co musiałyby kupić koniecznie, gdyby wystarczyło jej pieniędzy. Nicolo twardymi palcami kruszył chleb i rzucał go na ścieżkę wróblom. Naprzeciw wyleniały lew ukończył swój monotonny, wahadłowy marsz po sztucznych skałach, i legł w cieniu na kamieniach. Upór, z jakim godzinami krążył tam i nazad, tam i nazad po przestrzeni niewiele większej niż krąg obrysowany końcem jego ogona,

przypominał upór słów Niny, kręcących się wiecznie wokół tego samego i równie nadaremnie: wiadomo, że za pieniądze można poszerzyć ludzką klatkę, o pięć metrów, o dziesięć, o dwa pokoje i trzy szafy z ubraniami! Na to jednak potrzebne są pieniądze, nikt jeszcze nie wydreptał żadnej zachcianki słowami, więc po co psuć smak tego, co się ma! Lew zastygł z kolei w bezruchu, z tępym spojrzeniem spod niezmrużonych powiek. Nicolo nie lubił tego spojrzenia, które nie było ani głodne, ani smutne, ani na żaden ludzki sposób przetłumaczalne, a tylko beznamiętnie obojętne. Wstał.

Gazeta koło ławki pod platanem była zakurzona, lecz niezniszczona. Nosiła wprawdzie datę sprzed paru dni, ale to nie psuło Nicoli przyjemności dowiadywania się nowin. Cóż z tego, że wypadki, które się gdzieś wydarzyły, dotrą do niego z kilkudniowym opóźnieniem? Kiedyś, gdy nie było radia i telefonów, opóźnienia liczyły się na miesiące, a świat nie wydawał się przez to ani trochę mniej zabawny. Przeciwnie, Nicolo był w stanie zapewnić, że tamten czas przeszedł, czas jego młodości, bywał o wiele żwawszy i jaskrawszy. Teraz, strzepując pył z gazety, przyznawał, że sam przechodził okres zachłystywania się potęgą ludzkich wynalazków. *Vanita vanitatis* pomyślał sobie wesoło, obmacując kieszenie w poszukiwaniu futerału z okularami.

Na pierwszej stronie gazety widniała niewielka notatka podkreślona tłustym drukiem tytułu przez trzy szpalty: „Przestępca wojenny zbiegł z pociągu. Poszukiwania trwają”. Obok notatki umieszczono fotografię. Tekst objaśniał, że znany przestępca wojenny ujęty został na terenie południowych Włoch, gdzie ukrywał się pod przybranym nazwiskiem i za paszportem jednego z państw bałkańskich. Zdemaskowany, miał zostać dostawiony przed Trybunał dla przestępstw wojennych. Aresztowanemu udało się jednak zbiec w drodze, korzystając z nieuwagi konwoju i ze zwolnionego biegu pociągu przez odbudowujący się most. Ponieważ zbieg nie posiadał przy sobie żadnej gotówki, ani rzeczy wartościowych, władze spodziewają się, że nie uda mu się długo ukrywać, ani ryzykować dalszej ucieczki.

Vanita vanitatis powtórzył sentencjonalnie Nicolo.

— Zmizerniałeś — powiedziała Anisia, i Jerzy gotów był przyjąć to stwierdzenie jako dowód czułości. — Ach, jak tu ślicznie! — zawołała jednak natychmiast, i zaraz potem: — Ależ ty masz pomysły! Przez tysiąc lat nie

umiałabym wymyśleć czegoś równie niedorzecznego — zaśmiewała się. — Spotkanie w Zoo! Mogłam cię tu przecież nie znaleźć, mogłam się spóźnić. Dlaczego nie podałeś mi swego adresu? — Jerzy nie chciał się przyznać, iż był pewien, że w takim razie nie przyjechałaby tu na pewno, a zbyła go listem. Lubiła pisywać listy, znał ją i z tego.

— Pójdziemy chyba na obiad? — mówiła w dalszym ciągu. — Do jakiejś cichej tratorii, gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać. Chciałabym złapać jak najwcześniejszy pociąg powrotny.

Widoczne było, że rada byłaby i to ostatnie zdanie pokryć pośpiechem następnych słów, ale zbrakło jej nagle tematu. — Zmizerniałeś — zaczęła od początku i umilkła.

— Na lewo — objaśnił Jerzy, kiedy minęli bramę ogrodu.

W tratorii wszystkie stoliki bliżej okna były już pozajmowane, siedli więc w odległym kącie sali. Miły półmrok został jednak natychmiast spłoszony przez kelnera, który zapalił elektryczne światło, i wysunął ich w ten sposób jak gdyby na przód sceny. Anisi było nieprzyjemnie, że jej najelegantsza sukienka jest szmatką z darów UNRRA, wygniecioną podczas czterogodzinnej jazdy pociągiem, że włosy, które zakreśliła sobie wieczorem na papiloty, zwisają już nieporządnie, i że Jerzy, z tej źle ukrytej biedy, może wyciągać niewłaściwe wnioski. Obserwowała go spod oka, kiedy przeglądał kartę, kiedy wydawał dyspozycje. Przypominała go sobie niejako w ten sposób, i stwierdziła, że robi to bezbłędnie. „Mój Boże! i mnie jest żal” myślała o latach, podczas których nauczyła się każdego ruchu jego rąk, sposobu prostowania na krześle, rodzaju gestów i spojrzeń. „Nic jednak nie poradzę, że nic się odstać nie może”. Jedli i pili w milczeniu.

— Właściwie nie powinnam była przyjeżdżać — zaczęła wreszcie, myśląc o jego liście, w którym przebaczał jej („Mój Boże...”), i pisał, że żyć bez niej nie potrafi, i układał, że jeśli tylko ona zechce „zobaczysz, jacy będziemy szczęśliwi”. — Musimy jednak załatwić tę sprawę, dla której cię odszukałam. Ja naprawdę nie wiem, jak ją można załatwić! Trudno występować mi o rozwód, skoro na podstawie moich dokumentów jestem już drugi raz zamężna. W czasie wojny takie dokumenty były koniecznością, zresztą, jakbym się mogła z tobą rozwodzić w czasie wojny... Ale, powiedzmy, że ty się zechcesz żenić. Co wtedy?

— To jest sprawa adwokata, nie moja.

— Ale nas... mnie nie stać, Jerzy, na żadnego adwokata! Chyba wyobrażasz sobie, co by to kosztowało!.. Więc... Czy nie możemy się umówić, względnie znaleźć jakichś świadków, żeśmy się rozeszli przed wojną w Wilnie, i konsekwentnie tej wersji się trzymać?

— Nie — odpowiedział Jerzy.

— Tak sobie myślałam, że powiesz „nie”. Nie powinienam była przyjeżdżać. — Zrobiła pauzę. Ostatnie zdanie było obliczone na efekt. To, co mówiła później, było najszczerzej szczere, ale świadomie wygrywane tonacją: — Byłeś jednak kiedyś dla mnie zawsze taki wspaniałomyślny, że pomyślałam sobie: a-nuż! Ale „nie-to-nie!” Jeśli chcesz się mścić na mnie, masz dobrą broń. Zastanów się tylko najpierw za co? Jeśli byś jednak myślał, że w ten sposób zmusisz mnie do... do czegokolwiek, to jesteś w błędzie. W tej wojnie staroświeckie strachy przed skandalem przestały grać. Z innych światów przyszliśmy sobie na spotkanie, tego nie rozumiesz, Jerzy. Dla ciebie to bardzo ważna rzecz: dokument. Dla nas być w porządku nie oznaczało bynajmniej mieć dokumenty w porządku. — Ponieważ milczała mówiła dalej: — Żyło się z dnia na dzień, Jerzy. Nie uśmiechaj się ironicznie. Gdybyś zdjął swoje dwie gwiazdki z epoletów, mozem by uwierzyła, że żyłeś także z dnia na dzień. Nie mówię o zagrożeniu, mówię o zerwaniu z wszelką ciągłością porządku społecznego. Na froncie tego nie przeżyłeś, front trzyma się na szacunku dla tradycji, dla epoletów, inaczej by pękł. Nie umiem ci tego wytłumaczyć, tego pęknięcia szwów. Pamiętasz Weronikę? No, ja jej w sercu nie nosiłam, ale twierdziłeś, że służyła ci nienaganie od piętnastu lat. Wystarczyło dwóch tygodni pod bolszewikami, jak ona mi mówi: „Buty może sobie pani teraz sama czyścić, ja idę do kościoła!” Ładne zestawienie, co? Co jej odpowiedziałam? Żeby poszła na zbity łeb, czy coś w tym nowym stylu bycia. Weronika zresztą została, służyła nawet wtedy, gdy nie otrzymywała pensji. I robiła dobrze. Tylko nie trzymała po dawnemu buzi na kłódkę, ooo, wcale nie starała się być grzeczną! To samo było w małżeństwach. Mieszkałam jakiś czas u Lutków, pamiętasz...? Boooże, jak darli ze sobą koty! Nie do uwierzenia, powiadam ci. On był gdzieś stróżem nocnym, i do niej mówił: „Idź baba, stań w kolejce po mięso, to będziemy żarli!” Wytwornie, prawda? Potem ją rzucił, czy też ona jego rzuciła, słyszało się tak i owak... O takim

pękaniu szwów mówiłam. Pękało, opadało wszystko, co trzymało się na tradycji, na towarzyskim „wypada-nie wypada”. Mąż Luni Horczakówny ożenił się z jej młodszą siostrą, kiedy Lunia rodziła mu drugiego syna. Z Misią. A najmłodsza wyszła za mąż za ich dawnego parobka. A jak były wychowane? jak były „trzymane”? mówiono, że pan Horczak nawet córki bił... Ot, i mores! Gdyby mogło tak być, że miałabym moje osiemnaście lat w czasie wojny, i spotkałabym cię, jak wtedy, ale w czasie wojny, to na pewno też między nami byłoby inaczej, na pewno...

— Co na pewno?

Roześmiała się: — Nie łamaliabyśmy sobie głowy, kogo można nie zaprosić na ślub.

— Mam prawo wierzyć, że nawet sam ślub by cię nie interesował. Bardzo by to było nawet uprzejmie z twojej strony. Tylko pozwól pozostać mi przy pewności, że trzech rzeczy ja nie zrobiłbym nigdy: Nie wyniosłbym się z hotelu nie płacąc rachunku. Nie płaciłbym prostytutce fałszywymi banknotami. I nie ofiarowałbym kobiecie zamiast małżeństwa fałszywego dokumentu, jak ten twój...

— ...mąż — dopowiedziała Anisia szybko i twardo. Po raz pierwszy nie uchyliła mu się spojrzeniem, ale patrzyła mu prosto w oczy, bez mrugnięcia, czekając, by przed nią ustąpił. Czuła łyż w kącikach oczu, ale wytrzymała.

— Ja też mogłabym, Jerzy, znaleźć słowa, które by cię bolały. Ale po co? Zastanów się, dlaczego chcesz mnie poniżyć? za co? Już chyba mógłbyś wtedy mieć pretensję, gdybym obnosiła twoje nazwisko żyjąc z innym? Ile to słomianych wdówek wprowadzało pod dach nieobecnych mężów „lokatorów”, „kuzynów”, czy „działaczy podziemia”? Ja wyszłam z twego domu, tak jak stałam, i rozstałam się z twoim nazwiskiem, tak jak mogłam. Uważaliśmy, że tak jest właśnie przyzwoicie. Nie było to łatwe, Jerzy. Oboje byliśmy bezdomni.

— Och, racz mi zaoszczędzić przynajmniej opisu twojego bohaterskiego wiarołomstwa!

Anisia zmrużeniem okryła złość w oczach. Powiedziała, siłąc się na niedbałość:

— Nie było bohaterskie. Bohaterstwem byłoby dla mnie zostać w domu i na ciebie czekać. Na to bohaterstwo się nie zdobyłam.

— Niedługo czekałaś.

— Długo na ciebie czekałam. Myślałam, żeś zginął, albo że jesteś ranny, w niewoli. Myślałam, że w innych okolicznościach byś wrócił. Mężowie wracali... — Zarumieniła się nagle, zmieszała, dopiła wino z kieliszka, i przywołała siebie do porządku tonem, który i jej się wydał za ostry: — Mniejsza z tym, jak długo czekałam. Muszę dziś wierzyć, że nie czekałabym ani jednego dnia, albo że opuściłabym ciebie dla niego, chociażbyś wrócił. Muszę w to wierzyć — powtórzyła już łagodniej, i nawet spróbowała się uśmiechnąć — chociażby to nie było prawdą. — Natychmiast jednak odskoczyła od tych słów, jakby sama aluzja do tego, że go kochała, wydawała jej się czymś niedozwolonym. — Ach, Boże!.. Na cóż ja to mówię, rzeczywiście jestem straszna! Opowiedz, Jerzy, coś o sobie, co przeżyłeś, jak wyżyłeś, chyba musisz mieć kupę ciekawych rzeczy do opowiadania... — Milczał, więc poprosiła: — Nalej mi wina.

Jerzy opróżnił karafkę i zamówił nowy litr. Sąsiednie stoliki obsiedli nowi goście. Anisia wyceniała ich na oko, i domysłami próbowała osadzać ich w życiu, którego nie знаła. Zabawy tej nauczył ją kiedyś Jerzy, i robili to razem podczas swoich przedwojennych podróży. Zdała sobie teraz z tego sprawę niechętnie: „czy też już nigdy nie zejdzie z mojej drogi!” Ale gdy dostrzegła kątem oczu jego przygnębienie, poprawiła się: „zawsze mi się będzie czymś przypominał”, i nawet zrobiła w jego stronę gest, jakby lojalnie dosuwała swój udział do puli smutku między nimi. Palce zatrzymały się przy szkle kieliszka. — Nalej mi jeszcze!

Coraz gęściej po sali krążyło wino. Kelner był biały i garbaty. Karafki szkarłatne albo złote. Rozmowy coraz głośniejsze. Obiadowi goście wychodzili, zostawiając za sobą nieład poodsuwanych krzeseł i zmiętych serwetek. Zostawali starzy gawędziarze. Garbaty kelner krzątał się, sprzątał. Z kuchni wyjrzała pyzata gospodyni. Ktoś ją hałaśliwie zaprasza do kompanii: — *Signora Maria! Soltanto un'bichiere di vino rosso con suoi vecchii amici!* — Gospodyni odkrzyknęła się wesoło jędrnym, pełnym głosem i zniknęła za drzwiami kuchni. — Nalej mi jeszcze wina — powtórzyła Anisia i podsunęła Jerzemu kieliszek.

Była pijana, ale zdawała sobie sprawę, że to ułatwia, a nie utrudnia sytuację. Ułatwia milczenie, które między nimi zapadło, i słowa, które jeszcze będą musiały być wypowiedziane. Wyobrażała sobie, że w ten sposób przydaje

swojej roli akcentów determinacji, o wiele zrozumialszej dla natury Jerzego, niż prostej rzetelności, którą sobie przypisywała: „Właśnie tego muszę bronić: rzetelności. Nie mogę nic poświęcić co moje i Marcina. Trudno. Takiej filantropii nikt nie ma prawa żądać”.

— Zapomnisz o mnie. Dziwię się, żeś jeszcze nie zapomniał... Spójrz! Ja nie jestem nawet ładna. Albo lepiej nie patrz! Zadarte nosy mają większą skłonność do czerwienienia się, a co z moimi włosami dzieć się musi, już wolę sobie i nie wyobrażać!... Babka mówiła, że ja muszę być wyprasowana, uczesana, wychuchana, bo blondynki nie mogą obyć się bez pielęgnacji. Babka mówiła, że tylko brunetki bywają ładne w stanie naturalnym. Spójrz na mnie! Czy jestem podobna do przedwojennej Anisi? Nie, lepiej nie patrz! Wszystko można wybaczyć kobiecie, ale nie brak zęba, mówiłeś. — Otworzyła torebkę, i wyjęła z niej zmięty list. — Masz, zwracam ci to, nie był pisany do mnie. Przypatrz mi się dobrze, i przestań się upierać! Przecież ja ciebie znam, Jerzy. Gdyby sytuacja nie dopin-gowała cię do upor, uchyliłbyś kapelusza, powiedział: „przepraszam, omyłka”, i fiiiut! Ale i tak zapomnisz, zapomnisz, zapomnisz... Czy pamiętasz Rebekę?

— Przy czym tu Rebeka! — uniósł się, ale zaraz zamilkł. Czuł się śmiertelnie zmęczony, a jednocześnie pod-minowany szaleństwem, słowa więzły mu w gardle, a jednocześnie bał się ich eksplozji, od której musiałaby się stać jakaś rzecz nie do wyobrażenia straszna, i straciłby tę nieznaną ilość chwil z Anisią jemu darowanych, dopóki siedzi jeszcze przy nim blisko, o wyciągnięcie ręki. Było to groteskowo mało w stosunku do tego, co wyobrażał sobie za możliwe jeszcze przed godziną. Było to maksimum możliwych teraz pragnień: żeby została jeszcze trochę...

Przy sąsiednim stoliku rozmowa toczyła się coraz głośnie-j. Ten, którego Anisia typowała na dentystę, z podbródkiem zawieszonym nad samym środkiem stołu, wołał: — Kolor! Tylko kolor! Kolor jest wszystko! Anegdota do poważnego malarstwa nigdy nie wróci. Kolor jest jedynym godnym malarza wyrazem, tak jak muzyk wszystko może wyrazić nutami. Poważny kompozytor nie będzie się już zniżał do komponowania pod libretto. Koncert to jest muzyka, kolor to jest malarstwo. Sztuka nareszcie wyzwolona od gustów sentymentalnych aptekarzy.

— A jakiego koloru jest śmierć? — spytała dziewczyna w angorowym sweterku.

— Miłość jest po dawnemu czerwona — odpowiedział jej bardzo przystojny młodzieniec i przytknął do jej ust szklaneczkę z winem. Usiłował przy tym zajrzeć w czarne oczy, ale ona wyminęła go, niechętnie, wpatrując się w tego, który był malarzem.

— Śmierć... — podniósł tamten oczy do sufitu — śmierć...? Śmierć jest... A co mnie obchodzi śmierć! — rozłościł się nagle. — Mnie obchodzi kolor! Czysty, pozbawiony zakulisowych znaczeń, kolor!

— To czegoś szukał oczami po suficie! — rechotał otyły mężczyzna z wielkim pierścieniem na serdecznym palcu. — Złapaliśmy cię, Tomeo! Czysty kolor, to brak wyobraźni, skowronku. Śmierć jest żółta, panno Eleno. Żółta!

— Filister!

— O nie! — zaprzeczył grubemu szpakowaty w welwetowej kurtce. — Ja, który tyle żeglowałem po morzach, mogę przysiąc, że ma pysk z malachitu! Brrr...

— A ja — podchwycił młodzieniec, który mówił wprzód o miłości — gdy otwierałem ogień ze swego karabinka ta-ta-ta-tatatata — pokazywał obiema rękami jak — to wyobrażałem sobie, że śmierć jest zielona, jak łąka, po której biegła naprzeciw tyraliera, a tamci, w których mierzyłem, podskakiwali susami, i przypadali w trawę, jak polne koniki. Ale kiedy koło mnie pękała wybuchami ziemia, czułem, że śmierć jest po prostu dziurawa. Tak, dziurawa.

Dziewczyna obdarzyła go spojrzeniem należnym bohaterowi. Położywszy tedy rękę na oparciu jej krzesła, chciał dalej opowiadać, ale właśnie zbliżała się w płasach między stolikami signora Maria, co zwróciło ku niej uwagę całego stolika.

— A nasza kochana padrona jak sobie wyobraża śmierć? — szpakowaty w welwetowej kurtce robił jej gościnnie miejsce w rozmowie i przy stole.

— Śmierć — uśmiechnęła się wesoło, i przyjąwszy do pełna nalaną szklanę, zatoczyła po obecnych serdecznym spojrzeniem — jest na pewno ostatnim rozczarowaniem w życiu, i to jest przynajmniej dobre. — Garbaty kelner skłonił się w jej stronę w milczeniu.

— Słyszałeś? — spytała Anisia.

Skinął głową.

— Nie o nas chodzi, Jerzy, a o ciebie — podjęła znowu, rozumiejąc, że i tym razem trafia w niewłaściwą nutę. — My wyjedziemy gdzieś do Paragwaju, do Chile, może na Ziemię Ognistą, ja wiem?. Za rok, za dwa zechcesz się żenić, i gdzie mnie będziesz szukał?. Zresztą — hamowała ziewnięcie — zresztą, jak zrobisz, tak będzie najlepiej. O jedno cię proszę... — Siedział z głową opuszczoną, z podbródkiem na splecionych dłoniach. — O jedno cię proszę, słyszysz Jerzy? — Wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła jego łokcia wskazującym palcem: — Uśmiechnij się do mnie chociaż raz, muszę już iść.

Jerzy nie odpowiedział. — Muszę już iść — powtórzyła prawie szeptem. Nie patrząc na nią, próbował napełnić jej kieliszek, ale nie było już czym, sięgnął po kartę ze stolika obok, stał się nagle bardzo zajęty. — Muszę już iść — wstała, kiedy zamawiał nową butelkę wina, i nie odwrócił nawet głowy. Więc powstała chwilę niezdeterminowana, a potem jak umiała najciszej i najszybciej, odeszła.

Biały dzień zaskoczył ją jak na złym uczynku. Biegła, nie zważając na kierunek, dopiero za rogiem uliczki w dół zatrzymała się przy występie drewnianej lady z owocami i jarzynami, przejrzała w pudernicze, poprawiała włosy, i spytała mijającego przechodnia o drogę na dworzec. Dworzec był w dole. Droga ofiarowała jej widok błękitnej zatoki, zadartej horyzontem ku niebu; wybrzeże zataczało piękny łuk; dzielnica w dole była podobna do kolorowych klocków. Czuła się źle. Wino podnosiło do gardła gastryczne obrzydliwości. Tanie pantofelki z twardej skóry nacieirały pięty, gniotły kostki. Dworzec był brudny, o wiele obskurniejszy, niż wydawał się Anisi kilka godzin temu. Na pociąg wypadło jej czekać prawie godzinę. Wyszła na peron, znalazła miejsce na ławce pod murem upstrzonym bardzo nowoczesnymi afiszami reklam. Zaraz jednak musiała z ławki wstać, bo robotnik chlapnął na jej sukienkę klejem, smarując ścianę pod nowy afisz. Był to list gończy, obiecujący 30 tysięcy lirów nagrody za wydanie jakiegoś wojennego przestępcy. „Każda władza na Judaszu stoi” pomysłała z niesmakiem, i krzywiąc się od mdłości, pokuśtykała w kierunku innej ławeczki.

Jerzy nie pamiętał jak, kiedy, i po co dowlókł się z powrotem do Zoo. Nie słyszał trąbki starego Nicoli, ani nie zwrócił uwagi na zapadającą noc. W gałęziach chrobotąco od układających się do snu ptaków. W głowie chrobotąco

newralgiczne trzaski poprzez monotony szum. — Parszywe wino — mruczał Jerzy, układając się na ławce — parszywe wino. Par-szywe!

Za sprawą łaski gwiazdy, której spojrzął w oczy, gdy po raz pierwszy mrugnęła z ciemnej wysokości, sen przeniósł go w krajobraz trzech maków, huśtających główki nad wodą wąską a modrą, w której widział odbicie kamiennego mostu, odbicie przybrzeżnych zarośli, z kitami młodych pędów topoli, i odbicie trawy w tym miejscu, gdzie rosły trzy maki. Do trzech maków należało także kłębiaste drzewo na drugim brzegu, którego Jerzy nie potrafił z odległości rozpoznać, jak też i nieobecność kogoś, na kogo Jerzy czekał z uczuciem przyjemnego niepokoju... Zbudziło go szarpnięcie i zrozumiał, że ktoś chce wyciągnąć zapalnik z jego kieszeni. Zrozumiał to w ten sposób, że to Ludwik tarmosi go swoim zwyczajem po nocy, bo mu zapalniczka przestała działać. Wyjął pudełko i podał w ciemność. Zastanowiło go wszakże, że nie czuje kołysania wojskowego wozu, a potem przypomniał sobie, że Ludwik, oficer jego kompanii i stary przyjaciel, już nie żyje. Trzeźwiał.

Obok ławki stał człowiek z pudełkiem zapalek w ręku. „Pewno czego innego szukał” Jerzy spuścił nogi na ziemię. — Kto jesteś? — spytał.

Nieznajomy obejrzał się za siebie, poczem usiadł na ławce. — Bardzo chce mi się palić — odpowiedział po chwili.

— Ach, i zapalek szukał pan w Zoo po nocy! — chrypiał Jerzy przytłumionym śmiechem, bo pełnia i cisza zmuszała mimowoli do mówienia szeptem. Jerzy wyciągnął z kieszeni papierośnicę, wybrał papierosa sobie, potem poczęstował nieznajomego. Zaciągnęli się dymem w milczeniu. Jerzy ostentacyjnie sprawdzał, czy portfel znajduje się na miejscu, spojrzął na zegarek. Dochodziła druga.

— A pan zdaje się dopiero praktykujący? Po raz pierwszy zagląda do cudzych kieszeni, a...? Ale, na miły Bóg, po co w takim razie przychodzi pan do Zoo?! — zastanowił się nagle. — Przecież ogród jest zamknięty i powinien być pusty.

— Tak — powtórzył obcy — powinien być pusty.

— Bardzo pana przepraszam — zaczął tłumaczyć się Jerzy — zdaje mi się, że posądziłem go niesłusznie. Logika narzuciła mi pewne domniemania, a teraz logika każe mi

się wycofać. Widzi pan, ja za dużo wypilem... I prawdę mówiąc, nie bardzo sobie przypominam, jak się tu sam dostałem. — Nie był pewny, czy nie wypada mu wstać, i przedstawić się nieznanomemu. Miał odruchową ochotę tak zrobić, ale powstrzymał go nędzny wygląd nocnego sąsiada i jakieś po omacku błędzące skojarzenie.

Na firmamencie nocy mrugały chłodne, elektryczne gwiazdy. Księżyc przesłonił twarz batystową chmureczką. Ogród otulił się czernią i srebrem. — Piękny jest świat — powiedział Jerzy, starając się nie przerywać wątku rozmowy, aby jak najdłużej móc pozostać poza wczorajszą rzeczywistością. — Trochę zimno, trochę twardo, trochę niewygodnie, ale świat jest piękny. Może jeszcze zapalimy, co? — podsuwał usłużnie papierośnicę — no, niech się pan nie wzbrania, papieros to też piękna przyjemność, gdy go nagle zabraknie o drugiej w nocy. Rozumiem, bo sam palę, a także nauczyłem się już, że nie ma innego szczęścia poza tym, co było wczoraj...

— Bo widzi pan — ożywił się — nieporozumienie polega na tak zwanym dążeniu do szczęścia. A ono pozostaje zawsze w tyle, ukryte w rzeczach zwyczajnych. Zaraz panu to wytłumaczę: pali pan papierosa, i nie wydaje się to panu niczym szczególnym. Dopiero, gdy go zbraknie, zaczyna się: ach, co bym ja też dał za papierosa!.. Albo: ma pan dom i nie wygląda to na nic nadzwyczajnego, każdy przeciętny człowiek ma jakiś tam dom, do którego wraca ze szkoły, z pracy, z wakacji, z wojny... Ale w wypadku bezdomności, która się dziś coraz częściej przytrafia, nie marzy się o nowym wspaniałym domu, ale o tym, do którego chciałoby się wrócić. Tak samo, jeśli traci się żonę, nie myśli się o żadnej innej kobiecie, tylko o tej która odeszła. Szczęście zostaje zawsze w czasie przeszłym, odciętym, bezpowrotnym, straconym.

Nieznajomy potakiwał w milczeniu. Białe obłoczki tymczasem zsunął się z twarzy księżyc i pożeglował samotnie ku północnym gwiazdom. Pojaśniało.

— Pana szukają — powiedział nagle Jerzy, wpatrując się w twarz towarzysza. — Pan się nazywa... Nie, nazwiska nie pamiętam. — Obcy się skulił.

— Zimno — odszepnął po chwili.

— Zaraz — przypominał sobie Jerzy. Ulga, jaką poczuł, uwalniając się od kołujących niedopomnień, musnęła cieniem wdzięczności ściganego. — To już będzie trzy,

cztery, nie: pięć dni, jak pan wywiął. Pisano, że nie ma pan pieniędzy. Co pan jada?

Skądciś dochodziły głuche stękania. Może lew, może niedźwiedź przewracał się w klatce.

— Co jadam? Odpadki bułek z koszów, i to, czego nie dojadły z koryt pupile dziadka Nicoli.

— Kto to jest dziadek Nicolo?

— Dozorca.

— A skąd pan wie, że tak się nazywa?

— Słyszałem, jak wołała na niego taka dziewczynka — i w ciemności zniżył rękę nad żwirem na miarę jej wzrostu.

— A... Pepa...

— A skąd pan wie, że ona nazywa się Pepa?

— Kto? ja? — Jerzy myślał znowu o Anisi. — Ach, nie pamiętam... Ktoś na nią tak wołał. — Wino działało teraz nieprzyjemnie, potęgując mrok w mózgu, w pamięci. Zgaga. — Tfu! — rzucił niedopadek papierosa. Obcy po chwili namysłu schylił się i podniósł.

Jerzy wzruszył ramionami. — No cóż? Nasze dzisiejsze spotkanie — zrobił okrągły ruch ręką — wydaje się trochę paradoksalne. Nie zostało w kalkulowane w przewidywania wojenne...? — Zatrzymał wzrok na rękach suchych i drżących, które ugniatały niedopałek. Nad kieszonką strzepił się mankiet. — Sytuację utrudnia fakt — ciągnął Jerzy podając pudełko zapalek — że moja przewaga nad panem jest pozorna. I to nie usposabia do współczucia, gestów wspaniałomyślnych, i podobnych ładnych, ludzkich sentymentów. Bo to, że pan próbował wyciągnąć mi w nocy z kieszeni, nie będzie pan chyba zaprzeczał? moje papierosy, przydzielone z Naffi, dobre angielskie papierosy, o niczym w gruncie rzeczy nie stanowi. Raczej... Zdarza się, że człowiek nabiera obrzydzenia do tego, że bierze, co mu dają, że je, że ma jakieś pieniądze i jakieś możliwości urządzenia się, że się ubiera, goli, myje, no, że po prostu żyje. To jest trudne do wyrażenia, ale wydaje mi się, że obrzydzenie jest najlepszym słowem na określenie stosunku do biologicznej wytrzymałości, która idzie na wszelkie kompromisy. Zdawałoby się, że są rzeczy, jakich człowiek, z uczciwym stosunkiem do swych myśli i uczuć, nie powinienby potrafić przeżyć. Potrafi. I tym, że potrafi, demaskuje swoją małość i parszywość. — Jerzy ścisnął głowę. Zmęczyła go własna gadatliwość i przesunęła się niechęcią na człowieka, którego los podsunął mu za słuchacza. Na człowieka, nad którym musiał się litować. Więc wstał z ławki,

oddął obcemu wszystkie pozostałe papierosy, przeszukał kieszenie, dodał jeszcze pudełko zapalek. Odchodził.

Tamten wstał także i, nie dziękując, zapytał tylko pośpiesznie:

— Pan mnie nie wyda?

— Nie, nie wydam.

Człowiek, który został, nadśluchiwał. Chrząst w krzakach, typowy chrząst, jaki wyczynia tropiony, albo tropiciel. „To tamten szuka wyjścia przez sztachety. Tak, teraz zeskoczył na chodnik”. Zoo spało. W tej chwili ogarnęła go gorycz osamotnienia. Potem zdjął go strach. Strach przed życiem, strach przed śmiercią, strach przed wydanieniem, w ogóle strach.

Chyłkiem wrócił do klatki, w której mieszkał, ale dawno niepalony tytoń nie zaspakajał, lecz podniecał nerwy do granic paniki. „Dał mi papierosy i zapalki. A jeżeli wyda..?”

Jerzy szedł w tej chwili w dół, w kierunku śródmieścia. Patrol karabinierów przyjrzał mu się spod oka w pustej ulicy, po której dudniły kroki. Żandarmi poszli w stronę przeciwną, w tę, od której nadszedł pijany oficer.

Człowiek z Zoo postanowił na tę noc zmienić schowek. Wyszedł z klatki, znowu nadśluchiwał. Cisza go drażniła. „Jeżeli poszedł mnie wydać wprost, teraz, zaraz..?”

„Tu wleżę” pomyślał. Po prętach na wysoką, graniastą klatkę orłów. Na sam szczyt, pod cień wielkiej gałęzi platanu. Latarnia oświeca stąd kawałek ulicy do zakrętu. „Gdyby szli... Świetny punkt obserwacyjny. W ostateczności zeskoczę za płot...”

Cisza. Źle skalkulował. Źle od początku. Może od początku życia. Zoo śpi, i śpią orły, ukrywszy głowy w pióra skrzydeł. Pośliznął się na pół wysokości. Noga nie trafiła na oparcie, zachrobotało o żelazne kraty. Orły, które się pobudziły, ujrzwały straszny widok rozpiętego na kracie czarnego pajaka, wielkości człowieka. Od tego widoku panika przerzuciła się do ich małych, nierozsądnych mózgów. Powstał niesamowity łopot skrzydeł, bijący na oślep. Wówczas człowiek stracił oparcie dla drugiej nogi, ześlizgiwał się niezgrabnie wzdłuż prętów, zatrzymał na zasuwie, targnął nią, i zawiśł na otwartych nagle drzwiach klatki. I wtedy wyskoczył jeden z kondorów na wolność. Teraz hałas, jaki wyrabiał skrzydłami w listowiu, wydawał się nie do zniesienia. Człowiek więc dał susa na sztachety, i zeskoczył w

dół na ulicę. Z kieszeni wypadło mu pudełko zapalek. Gdy się po nie schylał, dostrzeżono go po raz pierwszy. Tymczasem on podniósł jeszcze głowę, aby spojrzeć na kondora. Żaden człowiek nie może się ustrzec przed siłą, która przyciąga jego wzrok do ptaka, ulatującego z niewoli w górę.

Zabrał go patrol karabinierów wprost z ulicy. Nad zatoką dniało.

SZKIEŁKO

— Irenie czegoś brakuje — mówiły za nią kobiety, gdy, uściskawszy im ręce na pożegnanie, zawsze trochę za wcześniej, zawsze jakby im przypominając, że wcale nie bawią się tak dobrze, a być może tylko tracą czas, przesuwając się zręcznie między stolikami tej czy innego kawiarni na chodnikach Via Veneto, a potem mieszała z tłumem, sunącym w górę ku Porta Pinciana, albo w dół w mnogość arterii, z różnymi propozycjami na każdym palcu kierunku.

„Miła, przystojna, a czegoś jej brak” mówili sobie mężczyźni, którzy całowali ją grzecznie w rękę na pożegnanie, nie proponując następnego spotkania.

— Brak mi szczęścia — mówiła o sobie Irena. I ze śmiechem czasami dodawała: — Jestem kawałkiem sztucznego lusterka, cóż poradzę?

Porównanie nie było trafne. Wprawdzie sztuczne lusterko oznacza we wróżbach niepowodzenie w miłości, ale każdy jego odprysk zachowuje twardą, nieprzepuszczalną warstwę spodu, której Irenie brakło. Charakteryzowała ją jakaś przeźroczystość, pochodząca ni to z roztargnienia, ni to z bezpretensjonalności, pół-obecność, która raczej przywodziła na myśl szkieleto, jeśli już trzymać się samookreślenia Ireny, kładącego nacisk na rozbicie. Ta przejrzystość, być może, pociągnęła Jerzego w okresie, gdy nie chciał być samotny, a nie chciał ani zapominać, ani sobie przypominać kobiety, która go rzuciła. Już sam wygląd Ireny predestynował ją na idealną towarzyszkę rekonwalescencji. Nie była ani wysoka, ani niska, w szarym kostiumie, nie blondynka i nie brunetka, o włosach takich, w których dość długo można ukrywać pierwsze siwe nitki. Irena nie była więc

już młoda, chociaż była jeszcze młoda. I spojrzenie miała całkiem zwyczajne, szare, czy bure. Kiedy się śmiała, wylgotniały jej usta i oczy, a ramiona ściągała wprzód ku sobie, wyginając brzydko plecy. Słowem, śmiejąc się, kurczyła się i była całkiem niepodobna do dziewcząt z kolorowych plakatów, które śmieją się wyprostowane, reklamując mydła, zdrowie, czy sport. Była natomiast bardzo podobna do kobiet, z jakimi mężczyźni w sytuacji Jerzego żenią się szczęśliwie i chętnie. Ale Irenie czegoś brakowało. Żeby skończyć z opisem: torbę nosiła przerzuconą przez ramię na pasku, torbę, niestety, też szarą czy brązową. Malowała sobie usta. Na czerwono, oczywiście.

— Zakochałaś się Irena, przyznaj się w kim?! — przynaglały ją znajome, które już wywiedziały się, że chodzi z Jerzym.

— Mój miły ma oczy niebieskie... — to wszystko, co usłyszały. A chociaż Irena nabrała przed tym dużo powietrza do płuc, jakby miała ochotę mówić wiele, albo westchnąć, machnęła po tych słowach tylko ręką.

— No, jak ona go robi na pastelowo, nic z tego nie będzie! — orzekła po jej odejściu pani porucznik, zwracając się do pani wachmistrza. Obie znały Jerzego z pikantnych opowieści.

— Czy kochałaś już kiedy, Ireno? — spytał Jerzy niezbyt mądrze, gdy siedzieli razem w tratorii, jak prawie co dnia. W Irenie poruszyło się coś niespokojnie. Wiedziała, że przekraczając próg nadziei, jednocześnie traci bezpieczną błogość swego zakochania, najautentyczniejszego w świecie, a przecież, jak cała aura wokół Ireny, rozrzedzonego roz-targnieniem. Czy mogłoby się bowiem innej kobiecie zdarzyć, by następnego dnia już nie pamiętała, czy tratoria nazywała się „Gatto bianco”, czy „Sorella innamorata”, co w pierwszym wypadku oznaczałoby „Pod białym kotem”, a w drugim „Zakochana siostra”? Irena nie pamiętała. „Sądzę, że raczej nie 'Gatto bianco'” porządkowała swoje wspomnienia „bo Jerzy nie lubi dlaczegoś kotów”. Przypominała sobie że próbował jej coś opowiadać o jakimś kocie, przypisując mu wady, o które Irenie nie chciało się sprze-żać, po prostu w obawie przed stratą czasu.

Nie pamiętała także, jak nazywała się wąska uliczka bez chodników, ze schodzącymi się pod niebem dachami kamienic w ten sposób, że o ile na dole było miejsce, by precyzyjnie się między dwiema plotkującymi sąsiadkami, do-nicami zakurzonych palm daktylowych, i zasiąść w „ogród-

ku” zestawionym z trzech stolików, to tam, w górze, здавало się, z okienka do okienka można sobie przez ulicę ręce podać, pierścionki zaręczynowe, bukieciki fiołków. Na razie suszyła się na sznurach bielizna.

Stół, o którym bardzo chciałoby się powiedzieć: sosnowy, gdyby we Włoszech rosły sosny, i niewygodne krzesółka kiwały się na niewygodnych kamieniach, niedoszlifowanego milionami kroków, poddomia. Na stole rozłożono biały papier zamiast serwety, co było praktyczne, i nawet miłe, bo gdy stół się kiwał, i rozlewały się krople z kieliszków, nie trzeba było się martwić, a Irena dostrzegала w nich płatki róż. („Tym cenniejszej, że nikt jej nie zerwał, nikt nie wąchał, nikt nie kupił”). Z krzesółkami też nie było biedy: dawały pretekst do częstej zmiany pozycji, i siedzieli już bardzo siebie blisko, gdy zmierzchnię podniósł z ulicy i wspiał ku niebu na palcach. Było rzeczywiście ciasno. Irena spoglądała w górę, a potem na Jerzego.

— O — ucieszyła się — pan ma takie szaroniebieskie oczy, jak teraz niebo — zamachała rękami jedną w górę, a drugą w jego kierunku, że mógł tę rękę przychwycić, pocałować, zatrzymać. — Niech mi pan ofiaruje próbkę ze swoich oczu, a uszyję sobie tego koloru sukienkę, i będę ją wkładała w dni świąteczne albo...

— Albo...? — ponieważ odwróciła głowę, objął ją, i zmusił, by spoglądała mu w oczy, a potem całował nie ręce jej, lecz usta. Patrzyły na to przychylnie latarnie, dwa puste stoliki obok, a z góry okna ciemne i oświetlone, a z jeszcze bardziej wysoka — ciemny szafir nieba. Szybko zapada noc w Rzymie.

— Czy to jest miłość? — spytała Irena, jakby miała lat osiemnaście, a oczy jej i usta były wilgotne, chociaż się nie śmiała.

— Czy kochałaś już kogoś Ireno?

Oczywiście, pytanie nie było warte odpowiedzi, a że Irena na nie nie odpowiedziała, więc nic dziwnego, że już następnego dnia nie mogła sobie przypomnieć, co.

Dzień następny był dniem, którego wolałaby uniknąć. Najpierw się bezsensownie dłużył, potem, gdy trzeba było już wychodzić z domu, aby spokojnie zdążyć do pobliskiej kawiarni, w której się umówili, Irena z drugiego końca miasta brała taksówkę, w taksówce zauważyła, że ma podartą pończochę, więc jeszcze musiała zatrzymać się przed sklepem, i kupić nową parę, przy czym ze strachu, że może

jej zbraknąć pieniędzy, wzięła najtańsze, które okazały się krótkie. W złym humorze, spóźniona, ze zbyt upudrowanym nosem, a szminką na wargach prawie startą, zetknęła się z Jerzym, kiedy już opuszczał kawiarnię. Zauważyła, że wystroił się na to spotkanie w nowy cywilny garnitur, i tym bardziej było jej przykro z powodu swego zaniedbania. I przykro jej było, gdy zatrzymał ją, i chusteczką wytarł jej nos.

— Sadza?

— Nie, za dużo pudru.

Szli ulicami niebardzo wiedząc, o czym ze sobą mówić. Przedtem, dopóki mówili sobie: pan — pani, słowa znajdowały się same, tematy odklejały z gazet, z plotek, z pleców wspólnych znajomych. Teraz, nic nie wydawało się dość ważne i interesujące.

Ponieważ szli ulicami najpiękniejszego miasta, Jerzy spytał: — Znasz się na architekturze?

— Nie — odpowiedziała sucho Irena, i Jerzy po raz pierwszy pomyślał, że pewno jest mało inteligentna, a ona po raz pierwszy przestraszyła się, że on jest nudny.

— Nie znam się na architekturze, ale lubię ładne mieszkania, z kwiatami, z książkami, i przede wszystkim z piecami. Jak u nas na Żoliborzu. Boże, jak się w tych Włoszech zimą marznie!

— Zgadzamy się więc co do pieców. U nas w domu będzie zawsze ciepło.

— A gdzie będziemy mieszkać, o ile kiedyś wrócimy? — wzruszyła się Irena.

— W Warszawie. Dobrze?

Skinęła głową. „Mój Boże” myślała „ciepłe mieszkanie w Warszawie, z kwiatami, z półkami książek, może jeszcze z francuską porcelaną!.. W rozbitej Warszawie, we wspomnieniu której nie widziała ani jednej całej szyby, ani jednej całej ściany. Ale marzyć można zawsze, kochany Jerzy. Tylko marzenie mają to do siebie, że nigdy się nie chcą spełniać”.

Dobrnęli wreszcie do parku, i gdy weszli w las pinowy, Jerzy otoczył kibić Ireny ramieniem. Poweselała, milczenie między nimi stało się łatwe i wygodne. Schodzili w dół, na ukos długich wrześniowych cieni przedwieczera. — Pachnie — pociągnęła nosem — prawdziwą sosną pachnie.

Zatrzymał ją: — Irena. Możemy być przecież jeszcze przez ładnych kilka lat szczęśliwi.

Drgnęła. Ciotka Wojnołowiczowa z Pawiaka, klepiąc co wieczór swoją twarz i szyję przed wąskim lusterkiem z torebki, lubiła mówić: „Mam, moje kochane, przed sobą jeszcze ładnych parę lat dobrego życia”. Wywieźli ją pierwszą do łasku w Palmirach.



Było już po apelu. Pierwsza zima wojny. Na podłodze porozkładane ciasno sienniki. Dwadzieścia dwie kobiety krzątały się jeszcze rękami koło swoich długich nocnych koszul, papierowych papilotów, flanelowych kaftaników. Nagle drzwi otworzyły się, i dwadzieścia dwie kobiety wstrzymały oddech. Wiedziały już, że nie jest dobrze, kiedy drzwi otwierają się po apelu. Ale w drzwiach, oświetlonych silniej z korytarza, niż z celi, pojawiło się coś, jak film przedwojenny, jak kawiarnia z Alei, jak samo zdziwienie. Dama.

W selskinowym płaszczu. W toczku z niebieskiego lisa i z lisią mufeczką. Czarna suknia, najedwabniejsze pończochy, i maleńkie zamszowe pantofelki. Drzwi trzasnęły za nią, a dwadzieścia dwie kobiety zwlekały się z nar i sienników, i zbliżały ku przybyłej urzeczone, zaciekawione. Młode i stare, chude i tłuste, w obrzydliwych negliżach, dziwaczne w słabym oświetleniu. „Paniusia co za jedna?” spytała Kwiatkowska. „Wojnołowiczowa”. „A za co tu?” „Ja nie wiem, ja doprawdy nie wiem za co!” rozpląkała się histerycznie dama, i wyciągnęła leciutką, jak piórko łabędzie, chusteczkę. Irena pociągnęła nosem: Fiołki. Więc żeby się nie rozrzewniać, szturchnęła małą Zosię w bok, i podeszła do Wojnołowiczowej.

„Każda tak zaczyna, moja paniusiu. Między swymi jednak można nie udawać. I Niemcy tu tak bez przyczyny nie zamykają”.

Dama wytrzeszczyła oczy. „A pani za co siedzi?”

„Głupstwo, ciotuchnę strułam”.

„A pani?”, wskazała na wysuwającą się ku przodowi Zosię.

„Ja to zupełnie niewinnie. Znajomego nożem dotknęłam, leciutko, tyle, że go pogotowie opatrzyło. Na miejscu”.

„A mnie bor nawalił przy kasie”, skarżyła się Stasia.

„A ja... A mnie..” cała cela wrywała się jedna przed drugą z improwizowanymi zbrodniami. Wojnołowiczowa łkała: „To nieporozumienie!.. Ja nie chcę z kryminalnymi!... Ja jestem polityczna...”

Pierwsza ulitowała się nad nią Kwiatkowska, zieleniarka z Podwala. „A przestańże paniusia! Na żartach się nie zna. Oczu paniusia nie ma, żeby nie odróżnić dobrego towarzystwa. Wała z paniusi strugają. My wszystkie tu polityczne”.



Jakże myśli biegną szybko! Cała historia ciotki Wojnołowiczowej przemknęła przez Irenę zanim zdążyło przebrzmieć zdanie Jerzego o kilku szczęśliwych latach życia, i zanim jego ręka, zamykająca wróżebne koło czasu w okół ich obojga, nie opłótła jej ciasno w pasie. Pytał pół żartobliwie i pół serdecznie:

— A dzieci będziemy mieli?

— Tak. Synka.

— A jak się będzie nazywać?

— Maciuś. Maciej. Jak kanarek ciotki z Pawiaka.

— Cóż to znowu za ciotka?

— Jeszcze z trzydziestego dziewiątego roku. Wiesz: było już po apelu. Na podłodze porozkładane sienniki, i my, w tych swoich strasznych barchanach, z paczek. Każdy wpadał na pomysł, by do więzienia posyłać bieliznę ciepłą i praktyczną. Więc koszule wstrętnego, tabaczkowego koloru, grube majtki i pończochy, a nam tak potrzeba było właśnie rzeczy ładnych...

— Maleńka. Biedactwo kochane — przyciągnął ją do siebie, i historia ciotki Wojnołowiczowej nie została opowiedziana. A że stali pod pinią, okazało się potem, że nowe ubranie Jerzego lepi się całe od żywicy. Brzydko zaklął i nie ukrywał złego humoru.

— Ach, żebyś ty mnie kochał tyle, co to swoje ubranie — westchnęła Irena.

— Niemądra jesteś — odburknął lecz po chwili zdał sobie sprawę, że mu na niej zależy chyba niewiele więcej.

— Nie interesujesz się rzeźbami, Żoliborska?

— Nie. Interesuję się tobą.

Padał deszcz, więc się schronili do muzeum.

— Zapomnisz o mnie, Jolie. — Zacięła usta. — Patrz, ta Afrodyte jest podobna do ciebie!

— Ta bez głowy?

— Ty też jesteś bez głowy.

Nie odpowiedziała. Stukali równo podeszwami o ka-

mienne posadzki, zatrzymując się od czasu do czasu przed rzeźbą bez nosa, pięty, ramienia. „Ten cmentarz, ten cmentarz...” powtarzała w myślach Irena bliska płaczu.

— Jednego mi tylko żal, Maciusia.

— Jakiego znowu Maciusia?

— Kanarka ciotki Wojnołowiczowej.

— Kogo?

— Ciotki Wojnołowiczowej. Więźniarka z Pawiaka. Nazywałyśmy ją ciotką, bo ciągle opowiadała o jakiejś swojej bratanicy, czy siostrzenicy.

— Anisi?

— Nie pamiętam. Może. Tak, Anisi.

Można by przysiąc, że każda kobieta na miejscu Ireny zapytałaby: „skąd wiesz? znałeś?” odbiła rzecz, jak w lusterku. Ale przez Irenę przesączyło się obce imię, niby kolor powietrza przez przejrzystość szyby. Z roztargnieniem patrzyła na przybrudzone marmury, i wydawało jej się, że widzi, jak wśród nich rozwiewa się jej niby-miłość.

„To moja żona” chciał bardzo powiedzieć Jerzy. Ale, kiedy spostrzegł nieobecny wyraz na jej twarzy, pomyślał, że łatwiej by mu było zaczepić pierwszego lepszego przechodnia na ulicy, i zakomunikować: „Anisia była moją żoną”, niżeli powiedzieć to Irenie.

Pożegnali się, zapominając umówić na następne spotkanie. To znaczy Jerzy udawał, że zapomina, a Irena naprawdę nie zwróciła już na to uwagi.

VIA DELLA CROCE

Taka była od Hiszpańskiego placu do Corso Umberto: Wąska, bez chodników, zatłoczona i tania. Równoległa do niej via Condotti jest ulicą zbytku: dystygowanie szara, na wystawach lakonicznie mało, ot tyle, aby był pretekst do położenia karteczki z ceną, informującą nieświadomych, że w te drzwi nie należy wchodzić, jeśli się chce coś zwyczajnie kupić. Za to na via della Croce! Jak u signory Sereny: co na sercu, to wyłożone na stół! Wyrzucone na uliczne lady, stłoczone na witrynach wystawowych bez szyb! Sery, wędliny, owoce, warzywa, ryby, mięso. Na stołkach, stolikach, straganach; papierosy, tytoń na rozwałkę, chusteczki, koraliki, i ślimaki, małże, chitony, różowe raczki morskie... Psy, koty i dzieci z całej okolicy zbiegają do tej obfitości. Gospodynie z koszami i siatkami starają się podkreślać swą stateczność. Głowa sałaty, czy krawat z wózka? Życie napawa otuchą na via della Croce w porze, kiedy na jednego mężczyznę przypada dziesięć kobiet.

Wieczorem stosunek płci się zmienia. Z dalszych i bliższych ulic ściągają sentymentalni pijacy i obdrapani muzycanci. Gospodynie odchodzą. Dzieci zostają. Bawią się do późna w noc przed barami o otwartych drzwiach a światło neonów ośmiela je czasem bardziej, niż blask słońca. Bywa także i księżyc. Zawieszony teatralnie nad łamaną czernią dachów. Księżyc, o którym mały Roberto myślał, że należy do elektrowni, jak latarnia w bramie, czy żarówka w ich portierni.

Tego wieczoru na nic się szczególnego nie zносиło. Pod tym względem był on podobny do innych. W świetle lamp i neonów działo się tak, jak na scenie bez scenariusza, reżysera i aktorów, a jedynie zapełnionej statysta-

mi. Zwłaszcza grupki dziewcząt w barwnych spódniczkach i sweterkach zachowywały się jak chórzystki, kiedy po podniesieniu kurtyny udają folklor; niby to są wielce pochłonięte sprawami między sobą, a zerkające na boki, gotowe. To właśnie one i księżyc stanowiły najwięcej o atmosferze teatralności, od której emanowało wyczekiwaniem, że coś się jednak zdarzyć musi.

Fryzjerka Lina odłączyła się od towarzyszek, by pobiec z amerykańskim żołnierzem do srebrnej od niklu i białego światła gelaterii. Po kilku minutach uciekała zła i zawstydzona, gdy zaraz w następnym, ciemnym zaułku okazał się zbyt agresywny. Za co? Za małą porcję lodów podaną w śpiczastym wafelku? Na domiar złego Lina pośliznęła się o porzuconą w cieniu skórkę melona, upadła, i poplamiała błękitną spódniczkę. Wieczór był dla niej skończony. A właśnie wtedy trio wędrownych grajków rozpoczęło koncert przed otwartym oknem piwiarni. Ludzie przystawali i słuchali, a niektórzy kołysali się w takt muzyki.

Lina przebiegła wskos uliczkę, i zatrzasnęła za sobą bramę, nim kotka Mimi zdążyła wśliznąć się za nią, bez narażenia ogona na przycięcie. Mimi miauknęła, ale zagłuszył ją wysoki śpiew fletu. Nie zagłuszył żalu Liny, kiedy ją dopadł na schodach w momencie decyzji, że jutro opowie koleżankom zmyśloną kinowo historię. Langusta, kłuski w rosole, polędwiczki cielęce. Koniak i oświadczyzny w tańcu. „Nie bądź głupia” powiedzą „jedź!” A ona: „Choćby miał tam i pięć, i dziesięć piekarni, nie pojedą! Wolę swojego Santino”. Im piękniejsza była historia, tym bardziej gorzka rzeczywistość. Santino był leniem, żyjącym z matki i siostr i wcale nie zamierzał się z nią żenić.

Za fletem załkały skrzypce, i wówczas to zapłakał *il straniero*, pochylając nisko głowę nad ochlapanym blatem stolika. Krótki, histeryczny spazm pijanego zniechęcił do reszty dziewczynę w białej bluzce, która siedziała przed nim. Podniósł głowę i uśmiechnął się do niej nieśmiało. Odpowiedziała obojętnym spojrzeniem, obelżywszym niż słowa.

— *Cameriere!* — zawołał. — *Il conto.*

Za fletem i skrzypcami rozjęczała się na dobre mandolina. Jej głosu nie dosłyszał już Roberto, który usnął w tym momencie, kiedy obcy zapłakał.

Taki był krajobraz spraw pozornie bez związku, lub tylko w związku chronologicznym, na niecałą godzinę przedtem, nim wysoko nad *via della Croce* skrzyżowało się spoj-

rzenie Panny, objętej blaskiem Saturna, z mrugnięciem Skorpiona.

Roberto nie wiedział jeszcze, ile ma lat. Urodził się w portierni jednej z kamienic przy via della Croce, i fakt ten nie pobudzał go na razie do żadnych dociekań. Natomiast zastanawiało go już nieraz, jak to się dzieje, że pamięta dzień poprzedni, i jeszcze poprzedni, i może przypomnieć sobie dwa święta Bożego Narodzenia, ale nie pamięta, co robił tydzień temu. W taką samą sobotę jak dzisiejsza. Co działo się w poniedziałek? Wtorek? Albo jeszcze dawniej? Gdzie podziewa się to, co było? Istnieje, czy istnieć przestaje? Niepokojące rozmyślania nawiedzały Roberto w rzadkich chwilach zmęczenia, gdy odpoczywał w cieniu swojej bramy, albo tuż przed zaśnięciem. Czasami pytał matki, czy ten dzień zostanie zjedzony, kiedy on zaśnie, i przez kogo? Matka odpowiadała uspokajająco, chociaż nie to, co chciał. Milkła, gdy wchodził ojciec. Roberto także milknął, a jeśli leżał już w łóżku, przymykał oczy, udając, że zasypia. Nie dlatego, żeby bał się specjalnie ojca, lub go nie lubił. Nie. Roberto czuł się słabszy, więc się po prostu wycofywał. Wieczorem w sen, w dzień na ulicę.

Na ulicę wybiegał Roberto ze swojej bramy, podskakując, zawsze z czymś w ręce. To z patykiem, to z niedojedzoną bułką, czy choćby z kawałkiem sznurka. Przedmioty te służyły do inicjowania zabaw. Patyk nie zmieniał się wprawdzie w konia, a sznurek w pociąg, i odległe już były czasy, kiedy imponowała bułka. Ale trzeba było coś mieć, aby coś robić, bo tylko postawą czynną można było się wkupić do wspólnej zabawy z dziećmi. I tylko ona, w razie niepowodzeń, była obroną przed uczuciem samotności, nieznośnym na ruchliwej ulicy. A Roberto, ciągle bez skutku, starał się o przyjęcie do „bandy”.

Rankiem, który poprzedził wieczór 4-go października, Roberto wyskoczył na ulicę w kapeluszu z *Giornale di Roma*, z datą 3. X. 1947. Zrobiła mu go matka. Kapelusz olśnił sąsiada z następnej bramy, ale Roberto nie zatrzymał się nawet, tak obojętny był mu tłustogłowy brzdąc. Pobiegł w kierunku skrzyżowania, gdzie rozmeblowały się już były stragany, kolorowe od sałat i owoców, wózki z ryżem i pieczywem, stołki z papierosami. Tam zbierała się banda. Jednak i dzisiaj chłopcy nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi. Zajął się więc skakaniem na jednej nodze, choć wiedział, że sprawa jest beznadziejna.

Ulicę della Croce tworzą we dnie trzy elementy: „martwa natura” na ladach i straganach, żywa natura gestykulująca i hałaśliwa, i natura Południa. Śmiecie, kupy śmieci, stosy papierów, gnijących odpadków, wnętrzności ryb... O *Dio mio*, czego tam nie ma! Nad wszystkim niebo rzadko pochmurne, i zazwyczaj słońce, które przecina ulicę wzdłuż, spychając ludzi, w zależności od pory roku, do cienia lub do ciepła, co jeszcze potęguje zgiełk. Roberto uwielbiał ruch. Nic mu nie przeszkadzało, że co chwila musiał uskakiwać czy to przed kimś, czy przed czymś, wózkiem na dwóch kołach, czy przed wolno rozpychającym się autem. Był jak szczenię, szczęśliwe, gdy się ktoś o nie potyka, gdy może wiercić się między cudzymi nogami. Zaczął naśladować chłopców z bandy w przeciąganiu chwili ustępowania z drogi do ostatniej sekundy, i smakował w emocji ryzyka, że oberwie potężnie od uderzenia błotnikiem samochodu, czy rozniewanej ręki.

W pewnym momencie spostrzegł, że jest na środku ulicy sam jeden z dzieci. Chłopcy zgrupowali się za najszczelniejszą barykadą straganów, u wylotu zaułka Bocca di Leone. Przycichli i przysiedli w kukki na kamieniach. Chociaż nikt nie zwrócił na to uwagi, dla Roberta zachowanie ich miało przejrzystość strategii. Nie przerywając swych podskoków raz na jednej, raz na drugiej nodze, z rękami podniesionymi w górę dla uchronienia kapelusza przed strąceniem, zaczął się w ich stronę przeciskać.

— Zmiataj osesku! — wrzasnął na niego kudłaty Nino, i w tejże chwili wszyscy chłopcy poderwali się, rzucając się na owoce najbliższego wózka. Nim się signora Serena zdążyła obrócić, a w dodatku ręce miała zajęte dzwigniową wagą i torebką skręconą z papieru, pełną zielonych fig, chłopcy zniknęli każdy w innej bramie. — Łobuzy, złodzieje, bandyci! — pogoniła za nimi wyzwiskami, bo była zbyt gruba, by rzucić się sama w pogoń. Z głośnym lamentem odwróciła się znowu do kupującej, która z pośpiechu gotowa była odejść do sąsiedniego owocarza. I wówczas to Roberto, spokojnie, niezauważenie zdjął z jej wózka, prawie spod obnażonego łokcia, ogromną brązową z dojrzłości brzoskwinię. Nie uciekał, ale i nie próbował więcej skakać. Odszedł wolnym krokiem dorosłego złodzieja, albo dorosłego człowieka.

Nie umiałby powiedzieć, dlaczego to zrobił. Nie próbował nawet odnaleźć żadnego z chłopców z bandy. Zjadł brzoskwinię z pośpiechem za wybrzuszoną ścianą najbliż-

szego pisuaru, i wcale mu nie smakowała. Nie zawrócił, bo bał się signory Sereny, która go tyle razy częstowała sama nadpsutymi owocami. Pobiegł w stronę Piazza di Spagna, a potem aż do wylotu via Due Macelli. Ale nie bawiły go obce ulice i chyba po raz pierwszy dłużył mu się czas. Nie miał co robić. Próbował u beznogiego pasamonika; akurat klient stalował jakieś galony. Odczekał, dłubiąc w nosie, i nie doczekawszy się, okólną drogą powrócił do domu. Ale i tu była pustka. Usiadł na schodach w bramie, i był smutny, jak od choroby.

Cały dzień przesiedział w bramie. Nie, żeby myślał o skradzionej brzoskwini. Nie myślał o niej zupełnie, i gdy matka spytała z troską co mu jest, nie skłamał odpowiadając, że nie wie. Ale wymknął się z jej objąć, jak od nie zasłużonej pociechy.

W sobotę ojciec wracał wcześniej, przebierał się, jadł kolację i szedł do traktierni. — Mały jest chory — powiedziała matka. Obejrzał język syna, łyżeczką pomógł sobie w zbadaniu gardła, dotknął ręką głowy, która nie była ani zbyt gorąca, ani spocona. — Nic mu nie jest — zawyrokował. — Chodź ze mną na lody! — postanowił nagle.

Wyszli za rękę z bramy i udali się do tej samej lśniącej gelaterii, do której potem wchodziła roześmiana Lina za rękę z żołnierzem amerykańskim. Na ulicy zaczepiały Roberta znajome dziewczynki wołaniem, przyskakiwaniem, i przyjaznym chwytaniem za rękę, ale nie zwracał na nie uwagi. Nie zwracał uwagi i na światła, które tak lubił, ani nawet na „klasę” wyrysowaną przez dzieci na bruku kredą, którą ktoś zgubił poprzedniej nocy, wypisując na murach spóźnione „W il Re”.

— Co ci jest? — spytał ojciec poirytowany osowiałością syna.

— Nie wiem — odpowiedział Roberto, ale tym razem przypomniał sobie skradzioną brzoskwinię.

— No to maszeruj do łóżka!

Roberto żegnał więc ulicę wcześniej niż zazwyczaj, ale było mu wszystko jedno. Pocichę znalazł u źródła dotychczasowych niepokojów: zapomni o dniu dzisiejszym, jak nie pamięta dnia pozawczorajszego, i dni z zeszłego tygodnia. Do portierni dobiegł głos fletu. Drzwi otworzyły się i zatrzasnęły za ojcem. W szparę wleciały skrzypce przy-

blizonym, podniesionym zawodzeniem. Potem w oddali brzęczała mandolina. Roberto spał.



Szli ulicami. Dziewczyna nie była ani ładna, ani zgrabna, ani elegancka, słowem nie była dziewczyną, którą się zaprasza do knajpy. A jednak długo czekał na nią pod kantyną uchodźczą, uśmiechał się do niej serdecznie, i ujął ją pod rękę, chociaż ręce miała ciężkie i niekształtne. a spod pachy rozchylonej jego ramieniem wydobywał się ostry pot. Uśmiechał się do niej serdecznie i wybaczał jej wszystko. I zapach granatowego sweterka, i obciążone tego tłuszczem żebra, który jak wałkiem masował mu przedramię, i płaskie duże stopy, aż nadto widoczne z szerokiego wycięcia czerwonych pantofli, i jej pochmurność. Jerzy powinien był wczoraj odpłynąć z Neapolu z jednostką swego pułku do Anglii. Zapił się, spóźnił, potem się w nim coś zacięło. Nie pojechał. Nie myślał, co będzie dalej. Myślał, że niezgrabność dziewczyny wynika z nieprzystosowania do stroju i otoczenia. Gdyby założyła na szyję korale, a włosy związała kolorową chustką, gdyby rozczesała ten straszny czub utlenionych loków nad czołem, mogłaby być całkiem ładna. Mówiła śpiewnie, zmiękczając *n* i *l*, samogłoskę *e* otwierając ciut! za dużo, że dźwięczała prawie, jak *a*. Wyobrażał ją sobie, jak idzie boso ścieżką wśród wrzosów w gęsto marszczonej spódnicy, i nie raziły go jej płaskie stopy.

Zrozumiał, że dziewczyna mówiła coś do niego, czego nie dosłyszał. Bał się ją urazić prośbą o powtórzenie, więc:

— Straszny kraj tutaj, człowiek dziczeje. Nie uważa pani? Ja na przykład z przerażeniem konstatuję, że się zaczynam gapić. Po prostu gapić. No, na przykład, wracam wczoraj do domu i widzę, ludzie ściągają z koła oponę. Przystaję, zakładam ręce i gapię się. „Tfu!” splunąłem, kiedym się spostrzegł... — Dziewczyna zachnęła się. — Przepraszam, nie chciałem urazić, ale wtedy, bo to nie było wczoraj, skłamałem, to było innego dnia, naprawdę splunąłem. „Trzeba żyć, a nie gapić się z rozwartą gębą” powiedziałem sobie. Czy pani też tak jeszcze myśli, czy już przestała pani tak myśleć?

— Jak?

— Że trzeba żyć, a nie gapić się.

— Nie ma u mnie czasu na gapienie się.

— Zdaje się pani, z tym brakiem czasu — tłumaczył łagodnie, jak dziecku. — Jeździ pani tramwajem, prawda? I spojrzę pani, a u kogoś trzewik rozwiązany. Wielka rzecz, rozwiązany trzewik! Ale wtedy myśli jak przyczepią się do tego sznurowadła, to...

Przerwała mu, że właściwie powinna chyba wrócić do domu, może zatelefonować dziś do niej koleżanka. Były to zwykłe obyczajowe ceregiele, ale zrozumiał także, że ją dotknął. Więc przestraszył się, i tym serdeczniej prosił, by z nim została, nie puszczał jej ręki, szukał jej spojrzenia, a ponieważ odwracała głowę, musiał chwycić jej prawe ramię drugą ręką, i prawie się o nią otarł. Ustąpiła. Zgodziła się pójść do kina. Wolałby był spacer, albo kawiarnię, bo chciał na nią patrzeć, chciał z nią rozmawiać.

Dwie godziny siedzieli na jakimś kiczu. Patrzył na ekran, i chociaż film w bezczelny sposób zakłamywał wojnę, przyglądał mu się w skupieniu i z powagą. Bezmiar głupstwa fascynował, imponował, olśniewał majestatem; więc tak *to* można sobie wyobrazić, i narzucać do wyobrażenia, czyli do wierzenia? Dziewczyna przy jego boku, podniecona więcej spokojem i milczeniem towarzysza, niż przedtem czułościami, pochyliła głowę nad jego ramieniem, i poprawiając się na krześle, przysunęła mu swoje kolano. Odsunął się od niej, manewrując przy wydostawaniu z kieszeni papierosów. — Nie na to mi jesteś potrzebna, by cię całować w ciemnym kinie — powiedział, oświetlając jej twarz zapalką.

— Co? Jak?! Jak pan śmie!!.. — poderwała się z krzesła, i biegła ku wyjściu, zaczepiając o cudze nogi. Poszedł za nią. Była urażona, była nieszczęśliwa. Jeszcze bardziej przypominała mu wyrwany z korzeniami krzak, rzucony na wiednięcie poza pole. Albo zwierzę bezbronne i bezdomne, jak on sam. Spotykali się w nieszczęściu, jak na jedynej znajomej ulicy w ogromnym, obcym mieście. A nad miastem rozpięty już był szafir nieba z gwiazdami i księżycem, o którym Roberto myślał, że należy do elekrowni.

Przeszli przez Piazza Dei Monti, znaleźli się w alei na Pincio, skąd tak ładnie nad sadzikami cytryn, rosnących na stoku, widać było panoramę miasta. Rad by przystanąć z nią i patrzeć, ale musiałby wtedy pokazać jej dach domu, w którym mieszkał, co wyglądałoby na zaproszenie. Aleja była cienista, więc objął ją ramieniem. Pod drzewem, które opadało liśćmi niżej, niż światło mlecznej kuli, zatrzymali

się. Ponieważ był wysoki, musiała się wspiąć na palce. Całował ją, i mówił: miła, ale było to tylko współczuciem.

— Chodź, pójdziemy na dancing — prosiła już ułagodzona, już przeproszona.

— Nie, miła. Na dancingu jest nudno. Zejdziemy w dół na via Croce, która jest taką najzabawniejszą uliczką w całym Rzymie, uliczką psów, pijaków i małych dzieci. Będziemy pili piwo, zimne i gorzkie. I musisz coś zjeść. Duży, wielki sznycel. Czy lubisz jeść, moja droga?

Dziewczynie via della Croce nie wydała się wcale zabawna. Lubiła eleganckie ulice i eleganckie lokale. Lubiła vermouth, a nie lubiła piwa. Lubiła się bawić, a nie lubiła słuchać. A on mówił bez końca i wołał o co raz nową butelkę, pił i mówił bez sensu o tym, co sądzi o życiu, o miłości, o śmierci. Był to stek, przybranych w filozofię, zwierzeń, który mógłby zainteresować i wzruszyć jedną tylko kobietę, kobietę kochającą. Żadną inną.

— ... a przecież, gdyby mi dano do wyboru: umierać dziś, czy za tydzień, teraz, czy za dwie godziny... Jesteś śpiąca, moja miła?

Wzruszyła ramionami. Uśmiechnął się do niej, ale odpowiedziała mu spojrzeniem pełnym złości, ostrzejszym, niż najtrywialniejsza wymówka.

— Kupię ci jutro niebieską sukienkę — wybełkotał.

— Ani jutro, ani pojutrze, ani za godzinę nie chce już nigdy widzieć pana. Pan jest... chory.

W tej chwili do otwartego okna piwiarni podeszło trzech grajków. A gdy flet zaśpiewał jak fujarka, Jerzy krótko zapłakał. Za fletem zanuciły skrzypce, a potem rozbrzęczała się na długo mandolina. „To jest muzyka koników polnych i gwiazd” przypomniał sobie coś Jerzy. „Booo-że, czemu się martwię, świat jest piękny!”

Mimi była zręczna jak każda kotka, ale i jak kotka rozważna. Dlatego nie próbowała wśliznąć się za Liną do bramy, co zdawać by się mogło łatwe i naturalne dla ludzkiego laika, nie zmuszonego do myślenia o własnym ogonie. Mimi nie zapominała o nim nigdy. Poza tym koty, w odróżnieniu od dzieci i szczeniąt, nie lubią zetknięcia z ludzkim ciałem, nie znoszą tłoku, nie cierpią, by je potrącano. Dlatego ścieżki ich biegną tuż pod samym murem, niezależnie czy na prawo, do okna zamyszonej piwnicy na rogu Marcio di Fiori, czy na lewo, do składu węgla signora Migliani. Jeżeli więc przebiegają komuś w poprzek

drogę, to należy wierzyć, że czynią to nader niechętnie.

Lina biegła z takim impetem i tak nieuważnie, że na pewno przycięłaby Mimi ogon. Kotka miauknęła. Zagłuszył ją głos skrzypiec. Za skrzypcami rozszalała się mandolina, i Mimi odeszła kilka kroków dalej, bo nie lubiła także hałasu. Przysiadła, okręcając łapki ogonem, i czekała, nie spuszczając oczu z bramy. Zwierzęta mają o wiele większą wytrwałość w czekaniu, niż ludzie. Przeczekała sentymentalną improwizację trzech grajków, przeczekała piosenkę o „Napoli”, i jeszcze jakąś hałaśliwą wariację, potem widziała, jak grajkowie odeszli dalej, a za nimi pobiegły dzieci, potem, jak przyszli konkurenci z harmonią, tamburynem i podstarzałą śpiewaczką, która zbierała pieniądze na blaszany talerzyk, nie zamykając ust, a ludzie dawali jej szybko, aby przy nich nie stała z wyciągniętą ręką, wyciągniętą szyją, wyciąganymi w trele dźwiękami. Potem knajpy i ulica zaczęły pustoszeć, trzaskały spuszczone żaluzje i zamykane bramy. Tylko brama Mimi trwała nie otwierana i nie zamykana. Mimi czekała.

Jerzy chciał odwieźć dziewczynę taksówką i wrócić do szynku. Akurat nie było w pobliżu żadnej. Wsiadli więc do dorożki konnej. Mieszkała dość daleko, i podróż trwała dłużej, niż przypuszczał. Kiedy wracał przez via della Croce, kroki jego dzwoniły w ciszy. Nad ulicą pogasły neony, i nawet księżyc usunął się z nieba widzenia. Wówczas dopiero Mimi uznała, że przyszedł czas na podjęcie inicjatywy. Przebiegła Jerzemu drogę, i stanęła pod swoją bramą wzrokiem i miauczeniem pokazując, że chce, by jej pomógł dostać się do środka. Jerzy, gdyby nawet chciał, nie mógłby jej pomóc, bo miał w kieszeni tylko klucz od swojej bramy, pierwszej za najbliższym rogiem. Ale Jerzy nie cierpiał kotów, i jak wielu ludzi z pokolenia wychowanego przez niańki, miał głęboko zaszczepiony w podświadomość przesąd o złowroźnej ich roli, jako zwiastunów nieszczęść i niepowodzeń. Dlatego też zachowanie Mimi nie wzbudziło w nim współczucia, ale nieprzyjemny dreszcz przeczucia. Zdawało mu się, że otrzeźwia.

W swoim pokoju zastał wszystko tak, jak zostawił trzy dni temu. Spakowane do drogi walizki, w szafie mundur, w który powinien się być przebrać, w szufladzie stolika, którą otworzył kluczykiem, pistolet służbowy, który powinien być oddać. Trzeba było coś przedsięwziąć. Przede wszystkim otworzyć którąś z tych waliz, i wydostać z niej pyjamę. Oznaczało to rozpakowywanie się, i decyzja ta

wydała mu się wprost nie do podjęcia. Chciał przypomnieć sobie, co mówiła Anisia o ładzie moralnym w oparciu na gwiazdkach epoletów. Jeśli wtedy z niego kpiła, dziś mogłaby być jedyną istotą, zdolną go zrozumieć.

Mimi tymczasem zawodziła już na całą ulicę, a głos jej wpadał do ciemnych okien, i ocierał się o pierwszy, mocny, ludzki sen. Ktoś z okna krzyknął: „pssst!” Umilkła na chwilę, podnosząc rozszerzone nocą źrenice, a potem zaczęła swoje wołanie od nowa. Odpowiedział jej kot z sąsiedniego podwórka, i kot spod okna Jerzego. — Przekłete!! — zaklął, i zaczął szukać po pokoju czegoś, czym mógłby zadać cios. Za szafą znalazł puszkę po angielskim piwie. Mierzył przez okno, zdaje się uważnie, ale, gdy rzucił, puszka zaczęła o wystający w ciemności nad ulicą szyld reklamowy, jej trajektoria uległa gwałtownemu zboczeniu i blacha stuknęła o bruk prawie w tym samym momencie, gdy kocur rozpoczął nową frazę zawodzeń. Wówczas Jerzy wyjął pistolet z szuflady, i bez mgnienia wahania strzałem w usta rozstrzygnął wszystkie sprawy bez próby ich inwentaryzacji.



Samobójstwu oficera polskiego nadano rozgłos politycznego protestu przeciw rozbrajaniu wojska przez byłych sojuszników wtedy, gdy ojczyzna tego wojska zajęta została przez innego wroga. Nastrój rozgoryczenia był tak duży i powszechny, że motywacja ta trafiała do przekonañ. Zwłaszcza, że przygnębionej klęską opinii potrzebny był reprezentatywny bohater z tradycji „z tarczą lub na tarczy”. Jerzy był lubiany, miał trzydzieści pięć lat, i był przystojny. Opłakiwano go szczerze, i wspomniano wszystkie jego dobre uczynki oraz cnoty, z odwagą żołnierską na czele.

Zdarzyło się jednak po tygodniu, czy dwóch, że pani porucznik spytała nad stołem oficerskiej restauracji: — No dobrze, ale gdzie Irena?

— Oni, zdaje się, już przestali ze sobą chodzić — odpowiedziała pani wachmistrz, ale, połapawszy się, że niszczy nieogłędnie wątek nowego i ciekawego dramatu, dodała z naciskiem: — Nie wiem.

Wydelegowana do Ireny panna Zosia, z kiosku z książkami polskimi w hotelu oficerskim, wracała taksówką. Przywiozła rzeczywiście sensację nielada! Na tydzień przed śmiercią Jerzego Irena wyjechała do Polski. Nie dziwiono

się, że nikomu nie zwierzała się z takich zamiarów, ponieważ nie mogłaby tego robić bez narażania się na ostracyzm, piętnowanie i potępienie. Ale, było jasne, że od dłuższego czasu musiała być już w tajnych konszachtach z ambasadą reżymu komunistycznego, co otwierało pole do domysłów, jak dalece zaangażowana była w zdradzie, i czy samobójstwo Jerzego nie było wynikiem politycznej intrygi i szantażu. Potem mówiono o jakichś pieniądzach, które Jerzy zostawił, czy — przeciwnie — nie zostawił. Potem wiedzano, że Irena była łączniczką między gen. Tatarem z Londynu a tajemniczym oficerem A.K., zakamuflowanym w Rzymie razem z walizą wypchaną kilku lub kilkunastu (o sumę się spierano) milionami dolarów, ukrywanych przed legalnymi władzami polskimi na emigracji, a która to walizka przepadła bez śladu tego samego dnia, gdy ów dziwny osobnik zginął śmiercią (także) samobójczą.

Plotka zataczała coraz szersze koła. Ale, że Jerzy nie miał za życia osobistych wrogów, wkrótce nad śmiercią jego rozpostarła się spokojna tafla zapomnienia.

PRZEZNACZENIE

Życiorys nie robi powieści. Życie nie jest powieściopisarzem. Dystansuje wprawdzie każdy talent literacki mnogością realiów, dokładnością i mistrzostwem opisów. Często także fantazją w stwarzaniu sytuacji, a chyba zawsze wielowymiarowością każdej sytuacji. Życie jednak nie może się uporać z jednym brakiem, brakiem powieściowego bohatera.

Jakąż to bowiem powieść sklecić z nikłości psychicznej przeciętnie zaradnego mężczyzny, czy nieprzeciętnie nawet przystojnej kobiety? Życie, o, to co innego! Życie wypłaca zaraz, doczesną monetą, za umiejętność takiego dostosowywania się, kiedy samocenzura wyplenia wszelkie indywidualne osobliwości, i to profilaktycznie, zanim spowodować by mogły zatarg z otoczeniem. Widocznie jednak ani dostatek, ani pozycja społeczna, jakie się w ten sposób dają osiągnąć, ani substytut kolektywnego „my” nie zaspokajają całkowicie głodu duszy, nostalgii za czymś, co ma kształt wykuty wolą indywidualną, chociażby na wspak, chociażby wbrew rozsądkowi i obyczajności, chociażby groźnie i tragicznie. Wystarczy przyjrzeć się zachowaniu świadków na rozprawach karnych, albo przeanalizować motywy fałszywych informatorów, jacy zgłaszają się tłumnie na każdy apel policji, ścigającej przestępców, a przysparzają tyle mylącej płataniny. Ich urojenia rodzą się z przemożnej chęci, żeby choć otrzeć się w autobusie o palto mordercy lub jego ofiary. Nie, niekoniecznie w takich razach przewidywaniem patronują złe, stłumione instynkty, szukające katharsis w dreszczu sensacji. Gdyby na świecie świętych było tylu, ilu jest morderców, a cudów tyle, co zbrodni, ci ludzie, może woleliby się ocierać, i wyobrażać sobie, że

się otarli, o płaszcze świętych. Magnesem jest, sprawdzalna uczynkami, niezwykłość, a nie walor samych uczynków. Otrzeć się o autentycznego z woli i charakteru człowieka, zahaczyć niechby tylko o epizod niezwykłego zdarzenia, pragnienie to łączy się z utajoną wiarą, że w ten sposób uleczyć można własną, rozrzedzoną tłumem podobnych ludzi, żądność.

Ach, pozostaje ból i śmierć. Są zwierzęta, których wegetacja jest uwarunkowana zapomnieniem o swojej oddzielnej egzystencji. Np. nietoperze z gatunku borowców, w okresie zimowego snu. Szczepione razem w jedną łuskowatą powierzchnię, imitując chropowatość kory — jeśli w dziuplach, gruzowatość muru — gdy pod sklepieniami kościołów, żyją tylko dzięki temu, że są częścią zwartej masy. Ale niech kamyk, witka, czy jakakolwiek złość zrani któregoś z nich, a ból go natychmiast wyodrębni, i jest już jeden jedyny, świat sam dla siebie, indywiduum. Podobnie śmierć jest własna. Każdy ma prawo być aktorem własnej śmierci. Wprawdzie już odebrano jej koturny tragedii, zacierając różnicę między losem a przypadkiem. W pojęciu obiegowym stała się wynikiem zbiegu okoliczności, a „zbieg okoliczności” nawet z przydawką „tragiczny” nie oddaje grozy owej nieuchronnej klęski, jaka staje w poprzek każdego poczynania.

— Jakich poczynañ? — spytała się Pola głośno, chociaż w całym mieszkaniu nie było żywej duszy. „Najwyżej nie doczekam się nowego mieszkania. Najwyżej Jakub pomyśli: 'Biedna Pola, nie doczekała się nowego mieszkania'. Strasznie ważne!”

— Pani imię?

Ma jeden z tych swoich zawrotów głowy, które nauczyła się już maskować. Opanowane fizycznie, tym luźniej sobie poczynają w czasie i przestrzeni. Pytana o imię miała kiedyś zwyczaj odpowiadać obcym dzieciom w parku: „psi ogon”. Aż ktoś usłyszał, poskarżył się, i wynikła bura. Potem, w szkole, na nalegania nauczycielki, powiedziała w rozpacz Policja... Anisia, która miała pasję do zwierząt, wynalazła dla niej Polatuchę. Ale komu to powiedziała, że Kleopatrze, a komu, że Polonia? — Pola.

— Nazwisko?

— Mayer.

— To jest niemieckie nazwisko, czy nie? — Zawrót

głowy mija. Młody lekarz przesuwając się z białym biurkiem z dalekiej perspektywy, gdzie go Pola przed chwilą widziała z głową królika („ten ręcznik wiszący na ścianie, to były uszy...”) jest blisko, przed jej krzesłem, zupełnie zwyczajny w białym kitlu.

— Wielu Polaków nosi niemieckie nazwiska, jak wielu Niemców nazywa się Lewandowski. W Polsce było to typowo żydowskie nazwisko.

— Tu w Bawarii jest Mayerów bez liku, nie zauważyła pani? Data urodzenia?

— 6-ty czerwiec 1917-ty. W Wiedniu. Także przypadkiem.

Młody lekarz bez namysłu wpisuje w rubrykę narodowości „Polin”. Gawędził z nią już dziś z rana przy pobieraniu krwi do analizy. — Wyznanie? — Pola dyktuje: rzymsko-katolickie, tak...

— Zawód męża?

— Lekarz.

Pióro w ręku nie chce opaść na kartę druczku, młode oczy patrzą na Polę z niedowierzaniem. — Lekarz — powtarza Pola z naciskiem. Zapisał, ale nie wytrzymał:

— Czy mąż pani nie wiedział nic o objawach z jakimi tu pani przyszła?

— Nie.

Młody lekarz, zapewne na praktyce szpitalnej, grzeczny, ułożony, jest — widać to — bardzo ciekaw, jak zdarzyć się tak mogło z żoną lekarza. Lakoniczna odpowiedź pacjentki, oschłość w jej głosie w parze z niemiłym skrzepnięciem w rysach twarzy, powstrzymuje go od dalszych indagacji. Ostatecznie, ma zlecone wypełnienie rubryk ankiety.

— Czy rodzice pani żyją?

— Matka, nie wiem. Nie mogę jej odszukać. Ojciec, zmarł na serce. Więc może chce pan babkę, panie doktorze? Jedna z moich babek umarła na raka piersi. W tym mniej więcej wieku, co ja teraz.

— Czy ma pani dzieci?

— Nie.

— Ilość poronień?

Pola szybko przeczy, że ani jednego, chociaż jest to nieprawda. Ale prawdy o dziecku, zanieśionym w łonie do getta, nie ofiaruje nikomu. Niech się wiedza o raku bez tego szczegółu obejdzie! Niewiele on zaważy na milionach ankiet, ale gdyby od tej informacji, nie wiedzieć co, zale-

żało, Pola jej nie udzieli! Owszem, jest pewna, sama nie raz myślała, że jej rak jest skutkiem bezpłodności, spowodowanej tamtą fatalną skrobanką, może nawet jest karą. Nie myślała o dziecku wtedy, myślała o swojej i Jakuba ucieczce, ciąża była komplikacją, przekleństwem. Chciała, żeby Jakub sam wykonał zabieg. Odmówił. Z jego ani zgoda, ani zakazem, ale z jego wiedzą, zrobiła to sobie u swojej dawnej kosmetyczki, tej samej, która załatwiała im w tym czasie „aryjskie papiery” z innym nazwiskiem, innym miejscem zamieszkania, et cetera. Przy okazji targów o cenę, ogólnych i szczegółowych wyrzeknięć na „czasy”, zgadało im się wówczas, że mogą jeszcze jeden interes ubić, ze wzajemną korzyścią, bo kosmetyczka trudni się okazynie niedozwoloną akuszerią. Widocznie jednak okazji nie miewała za dużo; zabieg trwał w nieskończoność, bóle wyszarpywały Polę, w końcu zdecydowały się go przerwać. Z krwotokiem wróciła do getta. Wówczas dopiero Jakub ośmielił się ją ratować. Na stole, przy którym już oni pili we czworo herbatę, kiedy się ona ledwo do nich dowlokła, mdlejąc na progu. Myśleli, rezygnując z czekania na nią, może rozmawiali, że ona nie wróci.

Jaka szkoda, że zawrót głowy minął i nie wraca! Jak chętnie skupiłaby Pola uwagę na przesuwających się sprzętach, i poprzecznych falowaniach, które zmieniają obrazy, a także pozbawiają skojarzenia natrętnej trwałości!... Oni zawsze bali się, gdy wychodziła z getta, że skorzysta z okazji i nie wróci. Bali się tego we czworo, choć chodziło o jednego Jakuba. Ratowanie tamtych nie było brane w rachubę. Zresztą Jakub też nie chciał uciekać. Nigdy jej przecież nie powiedział: „idź sama!” I Pola nigdy się nie dowie, z całą pewnością, czy nie skorzystałaby z tego przyzwolenia w owym czasie, gdy nikomu nie roily się przeczuć ogólnej zagłady, a spędzenie do getta oznaczało na razie tylko nędzę, ciasnotę, poniżenie, i — dodatkowo dla Poli — wstęt. Kiedyś, w dzieciństwie, podczas wizyty u Trzeciej Babki przystanęła w otwartych drzwiach jadalnego pokoju. Przy stole siedzieli mężczyźni w czarnych kapeluszach na głowach i jedli jajecznicę. Widok ten napełnił ją taką odrazą, że od tej pory nie mogła jeść jajecznicy; mdliło. Cóż z tego, że się zna, i zbagatelizuje jako głupie, przyczyny idiosynkrazji, skoro uczulenie pozostaje, działa. W domu Mayerów nie było mowy o jądaniu z nakrytą głową. Żyli odcięci od żydowskich obyczajów, i to Pola wówczas zabiegała o siedmioramienny staroświecki świecz-

nik, to ona czasami zapalała szabasowe świece, ona snobizowała się egzotyką, zamkniętej dla niewtajemniczonych, kultury, ona chciała czytać Talmud, ona wymawiała Jakubowi ignorancję, i ona jedna biegła czasami do synagogi posłuchać namiętnych śpiewów kantorów... W getcie spotkało ją jedyne, którego znieść nie mogła: Jej teść, jej mąż zaczęli siadać do stołu w kapeluszach. Zbyt łatwą miała od nich ucieczkę, żeby poprosić, by dla niej te kapelusze zdejmowali. Odsuwanie talerza, mdłości — szły na karb cięży. Fizyczna niechęć do Jakuba — na karb sytuacji.

— Niech pani teraz postara się dokładnie przypomnieć sobie wszystkie główne choroby od czasów dzieciństwa — zleca lekarz.

(Chorowała wtedy strasznie, a trzeba było się śpieszyć, nim nastąpi ostateczna reglamentacja getta, i trzeba było mieć siły na przejście granicy. Nigdy chyba nie powróciła do dawnych sił).

Odpowiada: — Żadnych. Odra. Byłam całe życie zdrowa, jak wieloryb.

(A Jakub już się starał o zorganizowanie przychodni w getcie, już tylko brakło mu najelementarniejszych lekarstw i narzędzi. Gdyby zdążył przed nią, byłiby zostali).

— U nas się mówi: zdrowy, jak pestka. Czy wieloryby cieszą się zdrowiem?

— Skoro żyją po sześćset lat?

Śmieją się. Młody lekarz korzysta z okazji, żeby zadać pytanie w sprawie, która go intryguje:

— Frau Mayer. Dlaczego pani zwlekała przez osiem miesięcy z zaciągnięciem porady chociażby u swego męża?

— Pan tego nie zrozumie — mówi Pola. Aby go nie urazić, dodaje: — Zrozumieć można postępowanie racjonalne. Istnieją przecież irracjonalne pobudki? Nie chciało mi się. Zwlekałam. Czym to wytłumaczyć?

— Tajemnica psychologii kobiet — ironizuje doktor.

— Ach!... — przeczy Pola. — I niech pan nie myśli, że strach. No, na przykład... Czy każdy kierowca, który pędzi ponad setką po krętej, mokrej szosie, rzeczywiście gdzieś się śpieszy? Niech pan powie, panie doktorze. A już chyba najrzadziej śpieszy się do katastrofy. Więc?... — Pola robi skreślający ruch ręką.

Cechą umysłów młodych jest dążenie do efektownych syntez. Po odejściu Poli, młody lekarz, wychowany już w powojennym propolskim konformizmie, porządkując jej

teczkę, układa zdanie: „Oni potrafią lekceważyć śmierć”. Ale za chwilę spostrzega się, że tę samą myśl można wyrazić sentencją: „Oni potrafią lekceważyć życie”. Z czego wynikałby biologiczny absurd, że między życiem a śmiercią nie ma różnicy.

Pola tymczasem przystanęła na korytarzu przy oknie. „Po co ja mu tych głupstw nagadałam! Od dziecka zawsze przykrość z tych lub innych powodów przy składaniu danych osobistych. No, przykrość, więc co?”

Za oknem jest szpitalny ogród, duży prostokąt w obramowaniu szpitalnych pawilonów, z drzewami, wyrosłymi ponad trzecie piętro. Na drzewach leży śnieg. Niebo jest kremowe, mętne, jak na odwilż, ale Pola odgaduje mróz. Ma więc znowu czas na kontemplację spostrzeganych obrazów, ale czy ma na to ochotę? „Nie”, odpowiada sobie. „A czy potrafi chociaż jeszcze dostrzegać, spostrzegając?” Zmusza się, i stwierdza, że potrafi. Po kolorze kory i kształcie śnieżnych płacheci na konarach może odgadnąć poziom rtęci w termometrze. Może przewidzieć, jak te drzewa będą wyglądały jutro, jeśli mróz się utrzyma, a zaświeci słońce. I pojutrze, jeśli mróz się utrzyma, a po słonecznym dniu mgła oszroni je szadzią. Może także przypomnieć sobie śniegi zakopiańskie, zjeżone jarzącymi się blaszkami na pokrywie. I, na metr głębokie, śniegi wojny, i wydeptane wskroś nich ścieżki, trudne, wyboiste, niechlujne, z czarnym lodem u spodu w dziurach zrytych obcasami. Umiała oglądać się ciekawie nawet wtedy, gdy okoliczności dyskwalifikowały wszelką wrażliwość, jako frywolność nie na miejscu. Chciałaby w ten zmierzch przedwieczorny, czerwony za nimi zapowiedzią mrozu, gdy brnęli ku granicy brzegiem lasu, wybierając pod stopy ślady lisie i zajęcze, aby trochę płyciej grzęznąć. Poderwała się wichura, i nad polem po prawej ręce biegły sypkie grzywy. Najpierw sporadycznie i nisko, ze złym szumem, podobne rozszłoszczonym białym indorom: pufff! zatupią nagle w miejscu i roztaczają w górę ogon, — potem wachlarze unosiły się coraz zwiewniej, rozwijały w welony, aż wiatr zakołysał, zakręcił, i roztańczyły się pod suchym niebem białe zjawy, jak to czasami bywa z mgłą smużącą się nad mokradłami, tylko bardziej krzepko, bardziej zdane na szybkość ruchu i siłę. Chciała szturchnąć Jakuba: „patrz!”. Ale wiedziała, że go spłoszy, przestraszy, zgorzszy...

Asperges me..., pokrop mnie, Panie, hyzopem, a ponad śnieg bielszy się stanę...

Była także taka sztuka Przybyszewskiego, którą zachwycała się mama, „Śnieg”. I były śniegi, podrywające się z asfaltowych jezdni w pierwsze mroźne dni, zachowaniem naśladowujące ledwo zmiecione jesienne liście. I śniegi olejne z warszawskiej Zachęty, śniegi Chełmońskiego, Fałata, Ruszczyca, a w Musée du Jeu de Paume śnieg Moneta... Pola nie umiała kiedyś powstrzymywać się od, przyznaje to, z nawyku robionych uwag, wyceniających nie tylko temperaturę pejzaży, ale także wnętrz i nawet portretów. Nikogo to nie złościło poza Jakubem. Przypomina sobie jedną z tych krótkich, bezsensownych sprzeczek, tak kiedyś częstych między nimi, a której powodem stał się dla odmiany śnieg Utrilla.

„Dwa stopnie zimna” powiedziała.

„Pff! Znalazła kryterium!”

„Nie kryterium. Składnik”.

„Silenie się na oryginalność”.

„Czy nie uważasz, Kubuś, że wrażliwość na ciepło-zimno jest połączona z wrażliwością na światło? Myślę, że tym się tłumaczy, dlaczego jedni malarze są bardziej „ciepli” w barwach, a drudzy jakby zawsze mieli zimne ręce”.

„Gdyby tak było ktoś kompetentny zwróciłby już dawno na to uwagę. Twoje pretensje do znawstwa przy wszechstronnym, nie dającym się zaprzeczyć, dyletantyzmie są naprawdę w złym guście”.

„Czemu się wściekasz?! Nie lubisz wystaw, to siedź sobie w szlafroku w domu, ja cię nie przymuszałam”.

„Już wykręciła kota ogonem! Nie twierdzę, że nie lubię obrazów, ale twierdzę, że twoje apodyktyczne sądy w sprawach, na których się nie znasz, są irytujące. A twoje nieliczenie się ze zdaniem innych, zawsze, w każdej dziedzinie, jest dowodem agresywności twojej natury”.

„Ze zdaniem twoim, jako psychologa, na pewno nigdy nie będę się liczyła!”

Właściwie, pożycie ich zaczęło się harmonijnie układać dopiero wtedy, kiedy Poli zabrakło czasu i ochoty do interesowania się życiem z perspektyw innych, niż życie Jakuba. Poza skromnie płatną pracą w szpitalu Jakub rozbudowywał sobie małą prywatną praktykę. Na rozmach nie było ich stać, w tym czasie każdy szanujący się inter-

nista posiadał własne podręczne laboratorium, elektrokardiografy, a przede wszystkim obszerne mieszkanie. Liczyli, że to wszystko zdobędą, kiedy sąd im przyzna odszkodowanie za straty wojenne i prześladowania rasowe. Na razie oszczędzali, spłacali raty, domeblowywali się. Pola gotowała, sprzątała, prowadziła kartoteki, a w godzinach wieczornych, w białym kitlu, udawała asystentkę. Przybywało pacjentów. Najpierw byli to wyłącznie uchodźcy z Europy Wschodniej: Polacy, Ukraińcy, Czesi. Potem zaczęli się pojawiać Niemcy, a właściwie Niemki, zwabione rozgłosem, że dr Mayer bada nie śpiesząc, i słucha cierpliwie. Po wyjściu ostatniego pacjenta, a mogła to być godzina zarówno 8-ma, jak 10-ta, Pola biegła do kuchni odgrzewać i wykańczać przyszykowaną w dzień kolację, a Jakub, wyciągnięty na fotelu pod lampą, czytał zakresłone przez nią artykuły w medycznych żurnalach, przeglądał wysegregowane przez nią prospekty nowych lekarstw, kwalifikował, odkładał na stole, które Pola zepnie później w segregatory.

Jeszcze przez jakiś czas trwał spór o niedziele. Pola chciała je mieć dla rozrywek. Jakub lenił się, wymawiał zapracowaniem i osłabionym sercem, ociągał, niedziela kończyła się dla niego nabożeństwem w pobliskim polskim kościele. Chyba że odbywało się jakoweś zebranie miejscowego Związku Polaków, Przyjaciół Polskiej Szkoły, Towarzystwa Pomocy Inwalidom, czy choćby Biblioteki Parafialnej. Jakub wszędzie należał, był wybierany do zarządów, uczestniczył, i płacił. Pola na razie podejrzewała go, że szukając popularności zabiega o pacjentów. Dwa, trzy razy towarzyszyła mu więc na jakieś walne zebrania i okolicznościową akademię z okropnymi recytacjami dzieci, i jeszcze okropniejszymi referatami. Rychło wszakże doszła do wniosku, że rzecz się ma zgoła inaczej: Jakuba ciągnie tam nie dla zysków, ale dla świadczeń. Tego nie mogła ani zrozumieć, ani aprobować.

Wielka, i chyba ostatnia, kłótnia wybuchła między nimi w którąś z niedziel, prawie rok temu, gdy Jakub, rozweselony, a także lekko podchmielony, spóźnił się prawie godzinę na obiad. Nie zwracając uwagi na Poli niezadowolenie i na to, że ostentacyjnie wyszła do kuchni w trakcie jego wyjaśnień, czekał za stołem rozpromieniony, zacierał rękę.

„Będziemy mieli bal, Pola. Prawdziwy wielki bal. Nie w żadnej salce parafialnej, ale wynajmie się lokal. Ummm...

„Doskonały rosół tylko trochę makaron zimny”. Jadł z apetytem.

„Więc uważasz, będzie bal. Ty naturalnie zaproszona jesteś do komitetu organizacyjnego, a także do mazura”.

„Tak, zwariowałam” potakuje mu Pola. „Już widzę siebie na tym balu, i w tym mazurze”.

„Myślałem, że ci to sprawi przyjemność” obraża się Jakub. „Kiedyś lubiłaś się bawić”.

„Kubuś. Od czasu jak tu mieszkamy, lat sześć, nie byłem ani razu na dancingu. Braak czaaasu, szkoda atłaaasu, no i nie mam sukienki”.

„Kupisz sobie, wielka rzecz!”

„Nie, nie kupię sobie po to, by pchać się w polską hołotę, na pewno sobie nie kupię. Mazuuura będę tańczyć, ha-ha-ha! Z panem Gwoździem, czy panem Piekutkiem. *Merci*”.

„Do mazura zaprosił cię hrabia Złociński. Sprowadzi się Amerykanów, może ściągniemy Wysokiego Komisarza dla Spraw Uchodźców, cztery pary mazurów to będzie jak popis. Zrobicie sobie najpierw próbę...”

„Beze mnie i ten popis, i ta próba. Żydówka tańcząca mazura! Nie, bardzo ci dziękuję.

„Dlatego że się trochę spóźniłem na obiad, to ty już jesteś biedna Żydówka! Ach, żyć się odechciewa!” Odsunął talerz, pusty.

„Dlatego jestem Żydówka, że o n i mnie za Żydówkę uważają. Nie za 'biedną Żydówkę', za 'parszywą Żydówkę', rozumiesz? Tak samo, jak ty jesteś dla nich 'parszywym Żydem'. Że też wy Żydzi nie macie w sobie nic poczucia godności, naprawdę za grosz! Kto płacił dziś w barze, teraz, pół godziny temu? Polski hrabia, czy polski Żyd? Założę się, że Żyd! I polskiemu hrabiemu wydawało się jeszcze, że ci ogromną łaskę wyświadczył: pozwolił za siebie zapłacić! Ale ma rację. Dla ciebie to honor. Zaciera nie rączek, prawda? będzie polski bal, i twoja żona będzie z polskim hrabią tańczyła polskiego mazura... Sto marek, gdzie tam! pięćset marek gotów jesteś za taki splendor zapłacić!”

„Tfu!” wypływa z siebie nienawiść Jakub. „Tfu! Wściekła suka”.

Niedojedzony obiad, serwetka na podłodze, trzaśnięcie drzwiami. Pola ze zdziwieniem czuje, jak z niej odpływa cała złość, ustępując miejsca wielkiej litości dla Jakuba. Więc po zmyciu naczyń, wchodzi na palcach do sypialni,

gdzie Jakub leży odwrócony ku ścianie, pochyła się nad nim, głaszcząc siwiejącą głowę.

„Odejdź!”

Pola nie odchodzi, przykucnęła koło łóżka, prosi:

„Przebacz, Kubuś ukochany, najdroższy!”

„Jesteś zła”. W jego głosie ona łowi nutkę triumfu pocieszanego dziecka po zbyt surowej karze.

„Niech będzie, że jestem zła, ale ciebie kocham, Kubuś. Jak jabłoń w puszczy, jak studnię na pustyni, jak różę w śniegu, jak wszystko jedyne”.

„Kłamiesz. Nienawidzisz mnie. Nienawidzisz mnie, bo jestem Polakiem i Żydem”.

„A ja, Kubuś? a ja?”

„Ty jesteś Rosjanka. Żydożercza i polakożercza Rosjanka”.

Pola wybucha śmiechem. Ach, Boże-ż ty mój! To ona obawiała się, że go zraniła śmiertelnie, nie do wybaczenia, bo prawdą, samą oczywistością w samo serce, a on, patrzcie! schował się bezpiecznie za nedorzeczny wymysł. „Ach, Kubuś, Kubuś!” Pola śmieje się tak serdecznie, zanosi ją wewnętrzne łaskotanie, aż się pokłada, aż łyży ma w oczach, i śmiech jej udziela się Jakubowi, i już ją przyciąga do siebie, śmieją się razem. Zło przeszło.

„Ale na bal pójdziesz?”

„Pójdę, pójdę” godzi się z westchnieniem.

„Ty taka ładna jesteś, Pola, topola prawdziwa, taka zgrabna, jak panna. W białej sukni będziesz, jak panna młoda. Bo to sobie zaraz postanowiłem, że będzie biała suknia. Koniecznie”.

Suknia była ciemno szafirowa. Pola nie miała zamiaru wyrzucać pieniędzy. Kupiła taką, jaką mogłaby wkładać do teatru. Teraz myśli, że trzeba było kupić białą. Biedny, biedny Jakub.

Zawsze jej kiedyś, przedtem, zarzucał, że „lata”, że tylko stroje i rozrywki ma w głowie; tak między nimi było. I naprawdę przekonała się sama, że nie „czepiał się byle o co”, bo gdy zniknął powód, zniknęła i irytacja w jego głosie, najwyraźniej związana z pytaniem „kiedy wrócisz?”. Zniknęły obrażone miny, milczenia pod lampą, Jakub jaśniał, szczebiotał, zaczął zjawiać się w domu z kwiatami i prezentami dla żony.

„Różnie bywa. Niektórym udaje się prędzej, niektórym trzeba aż dwudziestu lat, żeby żyć się z sobą. Ale jesteśmy szczęśliwi, prawda Pola?” i miał prawdziwe łyzy w

oczach, gdy ją całował w dwudziestą rocznicę ich ślubu. Na podwórzu pachniał bez, na stole pachniało dwadzieścia róż pod jarzącymi się żarówkami, przez otwarte okno słychać było jak szumiał wiaterek w liściach kasztanów, niedaleka rzeka huczała na progach tam, i ciszej poza uwagą, jak spod bibuły, miasto. „Niech Bóg ci błogosławi, dobra moja żono”.

Czy mogła mu powiedzieć w tej chwili, w te róże, w to wzruszenie w głosie, że on swoje szczęście zawdzięcza jej chorobie? Móc — mogła, ale nie chciała. Tego właśnie ranka zauważyła krew. Może, gdyby Jakub był w domu, zawołałaby go, pokazała. Na pewno nawet. Ale Jakub był w szpitalu. Starła się przypomnieć sobie, od jak dawna nawiedzały ją drobne bóle, ale nie potrafiła się doliczyć. Nadmierne, wzrastające zmęczenie datowało się od miesięcy, albo i lat. Ostatni raz w kościele jezuickim, gdzie tak pięknie grano i śpiewano msze Mozarta i Haydna, ale o dziewiątej rano, była zimą. Ostatni raz w kinie? — już przypomnieć sobie nie potrafi... W teatrze była ostatni raz na występie mima Marceau, ze dwa lata temu, lub coś około tego. Niedzielne popołudnia przesypiała, a po obudzeniu przerażała ją myśl o poniedziałku. Czas uciekał od niej, a praca zwałała się pod ręce-nogi, na myśl o zaległych czynnościach Pola wpadała w panikę. Więc już w niedzielne wieczory zabierała się do sprzątania gabinetu, przepierania serwetek, prasowania kitlów, cerowania... Och, naprawdę sprawiło jej ulgę uświadomienie sobie przyczyny swego niedołęstwa. Najgorsze było przecież, że zaczęła siebie nienawidzić. W lustrze spotykała swoją wykrzywioną twarz: „ty niedojdo!” Usprawiedliwienie zmieniało karykaturę w wizerunek łagodnie żaloszny, taki, z którym się można pogodzić. Przyszykując na rocznicowy obiad kurczęta po polsku, ulubioną potrawę Jakuba, Pola pogodziła się już także z losem:

„Tragedii nie ma. Najwyżej nie doczekam przyzwoitszego mieszkania. Wielka historia!”

Nie przewidziała jednego. Znała wypadek, gdy kobieta zgłosiła się do lekarza po diagnozę raka na tydzień przed śmiercią. Do tej chwili chodziła, pracowała, żyła „normalnie”. Pola wyobrażała sobie, że byle nie zwracać uwagi, a i jej się tak uda. Nie udało się. Z bólami potrafiła się łatwo uporać, zmogło ją wyczerpanie. Przyjęła posługaczkę na pół dnia, do sprzątania. Na razie czuła ulgę, ale nie na długo. Zawroty głowy, pot na czole, Jakub ją obser-

wował ostatnie dni spod oka, i, jak jej się zdawało, ze złością. Wreszcie odebrał jej z rąk strzykawkę. Wyszła z gabinetu, uśmiechnęła się do czekającego w przedpokoju ostatniego pacjenta, zawahała, czy nie pójść do kuchni, poszła do sypialni.



— Pani Mayer. Obiad stygnie, a pani wygląda sobie przez okno! Miejsce chorych jest w łózkach, na sali. Nie mamy tu służby do biegania po korytarzach, aby szukać pacjentek!

— Nie wiedziałam, siostrzo, że obiad jest tak wcześniej. Zapomniała mnie siostra o tym poinformować. A, jeśli to siostrze nie sprawia różnicy, to bardzo proszę na przyszłość nie mówić do mnie tonem reprimend.

Siostra Urszula szkarłatnieje pod białym kornetem.

— Frau Mayer. Proszę zjeść szybko obiad, wziąć swoją kartę, pójść do laboratorium po analizy, i biec do sali Nr 3 na badanie z profesorem.

— Z jakim znowu profesorem? I dlaczego: biec? Już byłam badana trzy razy.

— Badał panią profesor Parcus, a teraz będzie profesor Rieger. Proszę się śpieszyć! — Siostra Urszula odbiega w szumie gęsto marszczonych spódnic.

„W piątce”, czyli na sali 205, wita Polę w drzwiach chór z siedmiu łózek, powtarzający zarządzenie. Ma zjeść prędko obiad, biec do laboratorium, i td. Łóżko Poli stoi przy oknie, czwarte od drzwi, sala ma dwa rzędy łózek, więc w ogóle ósme. Obok leży bauerka, Anna. Anna mówi Poli, że kupiła dla niej piwa, ale jeżeli Pola nie chce, to można postawić butelkę za oknem, będzie dla Anny na jutro. Przed obiadem siostra rozwozi po salach piwo, ale płaci się za nie oddzielnie; kupuje, kto chce. Anna nie wiedziała, czy Pola lubi piwo, ale może lubi?

Pola dziękuje, zwraca pieniądze, otwiera butelkę. Za piwem nie przepada, dziś jednak jej ono jakoś smakuje, jest wdzięczna.

— Co pani ma? — pyta Anny.

— Tumora. Będą krajać, nie wiadomo tylko kiedy.

— Jak będą mieli czas — wtrąca kobieta z naprzeciwka. Stara kobieta, siwa. — Ja czekałam przeszło tydzień. W pierwszej kolejce idą wypadki pilne.

— Ja czekam już dwa tygodnie! — mówi młoda, umalowana blondynka, zajęta manicure.

— A co pani ma?

— Głupstwo. Cięża pozamaciczna.

— Wcale nie takie głupstwo — odzywa się szatynka o dziecinnej twarzy i bardzo szafirowych, dużych oczach.

— Frau Grassel. Jak kto jest takim chuchrem, jak pani, to i wiatr nie jest głupstwem — śmieje się blondyna i wtórują jej inne. Osłonięta gwarem rozmowy, Anna objaśnia Polę półgłosem:

— Ona ledwo nie umarła po operacji. Transfuzje, i transfuzje. Ale jak inaczej? Takie chuchro, a już czworo dzieci zdążyła urodzić.

— Czworo dzieci — dziwi się Pola, dojadając szpinak. Mięsa nie tknęła, nie chce jej się. — A ileż ona ma lat?

— Ile pani ma lat, pani Grassel? — pyta Anna.

— Dwadzieścia jeden.

— A mąż jej też w szpitalu — szepcze Anna. — Suchotnik. Mówią, że tylko na wsi kobiety głupie. My się dla niej składamy na piwo. Co dzień inna kupuje jej dwie butelki, to sił dodaje.

— Więc jutro kupię ja, dobrze? — mówi Pola. Wyjmuje kartę z ramek, przytwierdzonych do poręczy łóżka, uśmiecha uprzejmie na prawo i lewo, już od drzwi prosi po raz pierwszy całą salę:

— Jeśliby przyszedł mój mąż, jestem na badaniu. Niech zaczeka na korytarzu.

Idąc do laboratorium, Pola myśli ze współczuciem o ładnej, bladej Grassel. Idąc z laboratorium na badanie, myśli już o sobie, a raczej o Jakubie. Wpisane na kartę wyniki analizy nie są dobre. Opad krwi — 120/135, erytrocytów 3,4 miliona, leukocytów koło 14 tysięcy. Jak na żonę lekarza... Jakub to przeczyta, Jakub to odczuje, jako obelgę. Tak, tak... Właśnie kompromitacji Jakuba Pola nie brała pod uwagę, a w każdym razie tego rodzaju kompromitacji. Bo zdarzało się przecież w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy, że w chwilach rozgoryczenia, złości, lub zniecierpliwienia Jakubowym kwękaniem wyobrażała sobie z satysfakcją jego bezsilność, gdy już będzie po wszystkim: taki był zaafektowany swoją praktyką i swoim własnym zdrowiem, że nawet nie spostrzegł się, jak mu żona umarła pod bokiem... Postanowienie nieleczenia śmiertelnej choroby trzeba było

ciągle przesadzać na nowy grunt, aby nie zmarniało. Owszem, czasami uzasadnieniem było pragnienie przedłużenia Jakubowego szczęścia. Chyba częściej jednak Pola przygotowywała swoją śmierć, jako rewanż, czekała się z nią za jego plecami: „zobaczysz!” Kiedy zobaczyła jego rozpacz, rozpacz przechodzącą jej wyobraźnię, poczuła się zawstydzona i winna. Jakub jej nawet nie podejrzewał o knowanie, przez myśl mu nie przeszła taka jej nielojalność.

„Za bardzo jest przybity moją chorobą, żeby zdać sobie sprawę, jak go kompromituję wobec innych lekarzy” pociesza się Pola. Potem poraża ją przypuszczenie, że może Jakub, jej Kubuś, już widzi ją martwą, gnijącą, czaszkę i białe piszczele. Odsuwa jednak szybko niemiłą myśl, prawie ze śmiechem: „Jakub jest lekarzem, chwalić Boga, a nie poetą. Nie czepiają go się zmyśły, straszące w ciemnych pokojach. Im więcej jest się oswojonym z wiedzą o komórkach, tkankach, biochemią, tym łatwiej widzi się w człowieku osobę. Pola jest Pola, i zostanie zawsze Pola, nawet po śmierci”.

Profesora jeszcze nie ma, trzeba czekać. W poczekalni siedzą trzy kobiety. Pachnie, jak wszędzie, szpitalem. Jak wszędzie meble są olejno białe, i dużo kwiatów. Kwiaty na oknie i z kwiatów jest zrobiona nisza w kącie dla pokaznej figury Matki Boskiej w Lourdes. Za oknem krążą płatki śniegu. Pola usiadła bokiem, i patrząc w okno trochę z dołu, pod światło, widzi je ciemne, jakby kto szare pierze sypał. „Znowu śnieg?” Pola tak nienawykła do bezczynności, że podejmuje temat, jak kiedyś zadanie szkolne.



Było to zimą, w samym środku wojny. Z pomocą Anisi znaleźli przytułek w domu byłego sędziego, dwanaście kilometrów od Wilna. Żona sędziego z córką wyjechała przed wojną do Zakopanego, nie zdążyły wrócić. On sam w czasie okupacji sowieckiej jakoś dał nura, uniknął aresztowania i deportacji, po wkroczeniu Niemców wrócił do domu, wysiadał z łatwością rodzinę czerwonego milicjanta, co się u niego zagnieździła, pędził samogon. Pozwolił Majewskim (tak się wówczas Mayerowie nazywali) mieszkać u siebie w zamian za utrzymanie swoje, psa, kota, i kilku kur, a także utrzymanie domu i obejścia w porządku. Nie byłoby to złe, zwłaszcza, że sędzia był człowiekiem łatwym w pożyciu, gdyby ceny nie rosły zawrotnie. Jakub przystąpił do samo-

gonowej spółki, ale przypadająca na niego połowa zysków nie mogła wystarczyć na utrzymanie ich wszystkich. Pola planowała, że z wiosną zabierze się do uprawy ogródka, może kupi wieprzka. Na razie była zima, dom stał w śniegu. Z lotu samolotu wydawałoby się raczej, że wybiegał jak kogut przed gromadkę przytulonych do siebie chałup-kur, i zanurzał się w las sosnowy, niby tam czegoś szukając. Szukali rzeczywiście przykrycia przed okiem złych ludzi, jacy byli nienajmniejszą plagą obu okupacji.

Weranda i okna wychodziły głównie na wschód i południe. Toteż, gdy po obiedzie zapadał zmierzch, tyle było tylko światła, co z odbicia od śniegu. A śniegu było mnóstwo. Padał, nie jak w tej chwili drobno-gęsto, ale sklejoną watą, chyba po dwadzieścia płatków w jednym. Od ciężaru gałęzie sosen były jak rozczapierzone łapy białych niedźwiedzi, wisiały nad samą ziemią, zalepiając wszelki widok. Pola zapominała wówczas o rachunkach, rezygnowała z wytyczania przyszłych grząd; co tam marchew-kapusta, żeby tak przez całą wojnę! Domu z drogi nie widać. Żadnych śladów. Jeśli Jakub był gdzieś blisko, to go wołała, pokazywała z zachwytem:

„Ach, jak ślicznie! Bezpiecznie, jak w barłogu. Nie, Kubuś?”

Czy to było „krakanie”? Jakub w tamtym czasie nie lubił żadnych aluzji do ich zagrożenia.

„Dlaczego miałoby być niebezpiecznie. Po co takie rzeczy gadać!”

Patrzył w śnieg, ale nie widział w nim ani nic z przeszłości, ani przyszłości. „Będzie świetnie radio słyhać. W takiej wilgotnej aurze powinien być dobry odbiór” konstatował krzepko.

Codziennie około godziny piątej po południu zbliżały się po zaśnieżonej drodze, obojętnie na pozór, sunące sylwetki. Przychodził pan Zygmunt Dowasiński, były asesor Dyrekcji Kolejowej, zawsze kurcząc się w sobie, z nosem wsuniętym w kołnierz miejskiej jesionki; przychodził pan Aleksander Marynowski, były naczelnik wydziału ruchu tej samej, z czasów polskich, dyrekcji; przychodził pan Karol Syn (takie miał nazwisko), były leśniczy prywatnego majątku. Pies obszczekiwał ich równomiernie, każdego z osobna, po czym wlaził do budy, pomrukując z zadowolenia do słomy, którą mu kupowała Pola, i ze spełnionego obowiązku. Później zamykało się furtkę na klucz. Ktoś z do-

mowników stawał przy oknie. Światła nie zapalało się. Zapalało się radio.

„Pu, pu, pu, pu-pu, pu, pu — Tu mówi Londyn. Dobry wieczór państwu”. Karol Syn wycierał nos. Skarcony spojrzeniem szeptał nagle: „Ach, przepraszam” i patrzył z miną szczerze zakłopotaną na wielkie kałuże, które powstały od stającego z butów śniegu.

„Cccccicho!” syczał Dowasiński.

Pan Aleksander, najstarszy zarówno wiekiem jak i rangą urzędniczą, przyłożeniem zgiętej dłoni do muszli ucha dawał do zrozumienia, iż wszelkie sprawy wyłącza się wtedy, gdy włącza się radio.

A za oknem był śnieg. Nic, tylko śnieg.

Po skończonej audycji rozpoczynała się dyskusja. Każdy słyszał inaczej, i z usłyszanego wyciągał odmienne wnioski, zależnie od indywidualnej predyspozycji psychicznej.

„Przepraszam państwa, że ośmielam się zapytać”, zagajał z pochrząkiwaniem pan Syn, „ale czy mi się to zdawało, czy też rzeczywiście w dzisiejszej pogadance Pana Ministra Strońskiego zauważyłem jakoby jakieś akcenty antysowieckie? Oznaczałoby to, że już na Zachodzie...”

„Pan także?”, przerywał mu Sędzia, „bardzo się cieszę, bo mnie się także coś podobnego zdawało! Jak on to sformułował?... mniejsza z tym”.

„Nic podobnego! wręcz odwrotnie!” zaprzeczał Dowasiński. „Profesor Stroński powiedział dziś, że Polska nie ustanie w wysiłkach nad ułożeniem dobrosąsiedzkich stosunków z Sowietami”.

„*C'est le ton, qui fait la chanson*”, niecierpliwił się Sędzia. „Myśmy z panem Karolem to inaczej zrozumieli. Wiadoma rzecz, że dobre stosunki z Sowietami nie zależą od Polski, ale od Sowietów, czyli są niemożliwością. Profesor Stroński dał to dziś jasno do zrozumienia. Czy nie tak, panie Jakubie?”

Do Poli w takich razach nie zwracano się o rozstrzygnięcie.

„Drodzy panowie”, perorował Sędzia. „W gabinetach ministerialnych na Zachodzie nie siedzą przecież dzieci! Dano Sowietom pomoc, niech się Iwan bije, wykrwawi, owszem, ale na tym szlus! Z Niemcami Alianci dadzą sobie sami radę, a po co by mieli wpuszczać sowiecką zarazę do Europy? Panowie!”

Zazartą debatę mógł przerwać tylko szczek psa za ścianą.

Zamykało się okiennice i zapalało światło. Gości nikt nie częstował. Zwyczaj wyszedł z obiegu.

Poruszenie, przebiegła siostra. — Profesor już jest, zaraz zacznie badać — oznajmia. „Jak zacznie, to zacznie” Pola przymyka oczy. Na razie przeszkadzają jej podniecone tony w szeptach czekających kobiet. Za chwilę jest to już tylko nieartykułowany szmer, a na ekran pamięci, jak gdyby powieki mogły być ekranem, powraca tamten film. Więc jak to było? Pola się uśmiecha.

Zazwyczaj koło szóstej pan Aleksander wyciągał zegarek. Bardzo często od tego zegarka schodziło się na bezpoczątku miniony czas. Zegarek był nie tylko stary, ale i pamiątkowy. Historię jego znał każdy na pamięć. Bo ktoś mógłby nie wiedzieć, że pan Aleksander był bardzo wysokim urzędnikiem kolejowym jeszcze za carskich czasów! Teraz się tylko starzał. W tamtych czasach żył. Słowa: „Podano mi salonken” (pan Aleksander wymawiał „en” zamiast „ę”, taki był podobno szyk urzędniczo-regionalny sprzed pierwszej wojny) wypowiadał niby to mimochodem, ale w taki sposób, że tego pasażu nie mógł nie zauważyć nikt. Wtedy pan Zygmunt, młodszy wiekiem i rangą, chmurzył się, skręcał tytuł własnego chowu, i mówił o tym, co będzie po wojnie. Liczył, ile mu zapłacą zaległych pensji, bądź emerytury. Gdzie za nią pojedzie. Karol Syn słuchał i wdychał. Patrzył po wszystkich po kolei rozmarzonymi oczami, aby się upewnić, że istotnie wszyscy są przeświadczeni o powrocie do normalnego życia.

„Nadzieja!” uśmiecha się znowu Pola. Niezgorsza była dla nich tamta zima. Kiedy budziła się nagle nocą, i stwierdzała, że to nie żaden hałas ją obudził, ale wielka cisza, projektowała sobie nie tylko kupno prosiaka, ale dwóch-trzech uli, i może plantację tytoniu...

Na tle białego śniegu, czerniejącego parkanu, i żółciejącej nieco ścieżki pojawiała się okresami postać pana Ryszarda Bachtowicza, syna Jana Bachtowicza i S-ka, sklep narzędzi ogrodniczych w Wilnie. Był to typowy młodzieniec, co to, nie rokując przyszłości w otoczeniu, tym wspólniejsze roztaczał perspektywy przed sobą. Arogancki, niedokształcony, gustujący w grubowatości, wódce, i tak zwanych „dziewczynkach”, udawał, że więcej jeszcze pije i

hula, niż to czynił w rzeczywistości. Na świat machał ręką, na wojnę wydymał wargi, a radia przychodził słuchać dla tego rzadko, ponieważ zawsze wiedział lepiej i więcej, niż speaker londyński.

Bachtowicze tkwili w swym wiejskim domku, otoczonym dużym i ładnym ogrodem, w niedalekiej miejscowości letniskowej. Kiedy Majewscy przechodzili tamtędy do wsi Telechowicze szukać maki, czy słoniny, widywali czasem, jak pan Ryszard, stojąc na ganku, ziewał z nudów. Musieli przystawać, skoro ich spostrzegł. Dołączał do nich, potem zostawał we wsi. Pił z chłopami dzień, dwa. Później opowiadał, że dwa tygodnie. Jedynie matka jego, wysoka i sucha kobieta, sucha dla wszystkich w otoczeniu, kiedy patrzyła na syna, to jakby jej na oczach śnieg topniał.

To był jej pierworodny. Ojciec, niby to zagniewany, ale widzieli ludzie, jak mu się ręce trzęsły, gdy przyszła wiadomość o werbunku kilku roczników. Później nastąpił ciągle na nowo nekające wszystkich branki na roboty do Niemiec. Sołtys ciągnął z tego nie byle zyski. A któż miał mieć pieniądze, jak nie stary kupiec? Nie chce syna wysłać do Niemiec, to niechże udowodni, że nie chce! I stary udowadniał. Płacił łapówki. Raz szeleszczącymi papierkami, po kursie marka — dziesięć rubli, raz kupowanym u Sędziego samogonem. Wzdychał.

„A przecież Rysiek chory”.

„Na co?”

Odpowiadał niechętnie, wymijająco. Kiedyś przecież wyznał: „Na cukrzyce”.

„Nie widać po nim”.

„No właśnie”.

Tymczasem chory-niechory wylegiwał się do jedenastej w południe w łóżku, nudził coraz bardziej po pańsku, coraz kolorowsze opowiadał zdarzenia z okresu złotej młodości, a gdy wyczerpał wspomnienia, roił o przyszłości. Później to weszło w manię. Doszło do tego, że w środku wojny i biedy naciągnął ojca, by mu zaczął w ogrodzie budować „kawalerkę”. Wymyślił sobie plan fantastyczny, i przeglądał stare katalogi sklepowe, podkreślał okucia, rysował drzwi. „Po wojnie” mówił „zniosę te parszywe sztachety, a postawię ten oto parkan”.

Pola drgnęła. Otworzyły się drzwi, wyszła za nie pierwsza z czekających kobiet. Po co dobiegać do pointy? Chętnie porzuciłaby watek, wpięła druty na krzyż, odłożyła na po-

tem, jak kiedyś, gdy próbowała zrobić Jakubowi sweter, ale nic z tego nie wyszło, za dużo było prucia. Potem żałowała motków wełny, porzuconych z całym dobrem w ich mieszkaniu, które były tak potrzebne w długie wojenne wieczory.

Pewnego wieczoru pies zaszczekał po raz czwarty. Przyszedł młody Bachtowicz. Podczas audycji bawił się z kotem, ciągnąc go za ogon. Kot wprawdzie nie zamiauczał, ale w każdej chwili mógł to zrobić. Wskutek tego oczy wszystkich przykute były do toku tej zabawy, która w znacznym stopniu rozpraszała uwagę i przeszkadzała w słuchaniu. Wreszcie pan Aleksander podniósł się, odwrócił ostentacyjnie od Bachtowicza, i stanął przed radiem wyprostowany, jakby „Philips” był co najmniej prezesem Dyrekcji Kolejowej. Po wyłączeniu radia zaś musiał się pożegnać bez dyskusji, gdyż lekceważące uwagi Bachtowicza obniżały jej poziom. Pan Aleksander wymawiał zamiast „ę” — „en”, powiedział tedy:

„Pójdę już”.

Po jego wyjściu Bachtowicz opowiadał o Gdyni, i zamiarze zbudowania łodzi, własnego pomysłu, żaglowo-motorowej.

„Och, kiedy my będziemy mogli myśleć o tym” westchnął pan Karol.

„Jestem pewien, że najwyżej za rok pływać sobie będę do Szwecji”.

„Coś pan tak opuchł?” zapytał Dowasiński.

„Przepiło się trochę”.

Przyszedł jeszcze raz o godzinie piątej, gdy zbierało się już na wiosnę, i śnieg tajał na drogach. Koleiny po płozach były wytarte aż do zgrudziałej ziemi, żółto rozpaćkane od zwilgłego końskiego nawozu. Nad sosnami stała przejmująca mgła, łącząc się na nieokreślonej wysokości z białym niebem.

„Co za parszywa pogoda w tym kraju!”, mruczał Bachtowicz, wydrapując w sieniach kawały brudnego śniegu spod obcasów. „Zaraz po wojnie wyjadę gdzieś do Włoch”.

„Wybierał się pan przecież do Szwecji jachtem”, zaszydził Sędzia.

„A do diabła ze Szwecją!”

Był to ostatni raz, gdy słuchał radia. Ostatni raz, gdy zepsuł dyskusję i humor panu Aleksandrowi. Więcej nie przyszedł.

Pola wybiega na korytarz sprawdzić, czy nie ma Jakuba. „Że też mi to wcześniej nie przyszło do głowy!” Biegnie do zakrętu, patrzy: jest! Przywołuje go, śpiesząc mu na przeciw, rzuca mu się na szyję.

— Prędko, prędko, Kubuś. Długo na mnie czekasz? Ja muszę czekać tam, na badanie. Wyobraź sobie, już trzecie, uff! Profesor Rieger będzie mnie teraz tarmosił. Ależ masz zimne ręce! Gdzie rękawiczki, Kubuś? Zgubiłeś? O, Boże drogi, musisz sobie zaraz kupić nowe. Zaraz, pamiętaj. Pokażesz mi jutro, dobrze? Więc słuchaj: ja jestem, zdaje się ostatnia w kolejce, tu mi nic nie mówią, więc ty zaczekaj na profesora, i spytasz. Ale rękawiczki, Kubuś, kup sobie ładne, ciepłe rękawiczki, niech to się liczy, że prezent ode mnie! Nic nowego?

— Anisia przyjeżdża. Przyniosłem ci depeszę.

— Anisia przyjeżdża? Co ty mówisz!

Jakub nie mówi nic. Jest zdenerwowany, poszarzał jakos, szuka w teczce telegramu. Pola ma ochotę go zaraz odczytać, ale ze względu na Jakuba wsuwa złożony kremowy papier do kieszeni. Już są przed drzwiami poczekalni, teraz Jakub ją pili, żeby weszła, spokojnie czekała.

— Jedną może badać pół godziny, a dwie pięć minut. Ja mam czas. Zwolniłem się ze szpitala. No idź już — popycha ją w drzwi.

— Jak to „zwolniłeś się”, Kubuś?

— Wziąłem urlop. Później, później, no, idź już, Pola, idź! — wpycha ją lekko do pokoju.

W poczekalni jest już tylko jedna. Pola siada na swoje krzesło pod oknem. Dlaczego jej Kubuś nie chce na nią patrzeć, tylko rzuca skośne spojrzenia spod oka. I zgubił rękawiczki... „Biedny, biedny Jakub, on się tak wszystkim przejmuje!”

Chorobą Bachtowicza przejmował się tylko Jakub. Ale sytuacja jego jako lekarza, była rzeczywiście nieprzyjemna. Ze względu na ich bezpieczeństwo zatajali konsekwentnie przed wszystkimi zawód Jakuba. Były urzędnik, uciekinier wojenny — tak głosiły papiery, i tej wersji się trzymali. Okolicznością łagodzącą był fakt, że Bachtowicze ukrywali chorobę syna, a on sam wręcz jej przeczył. Wiadomości jednak przenikały plotką, i te były złe. Sołtys podobno, który zaszedł do starego kupca, spojrzawszy na pana Ryszaręda tylko głową pokiwał i zawrócił od ganku bez słowa.

„Siedzi” opowiadał potem „bez butów, a nogi to u niego taaakie, spuchły tak, znaczy sia”.

Przyszła wiosna. Sędzia twierdził w styczniu, że wojna skończyć się winna w marcu. Gdy przyszedł kwiecień, i nic się nie zmieniło, nikomu nie przyszło do głowy mu tego wypominać. Pola natomiast nie wytrzymała: „Co wy sobie myślicie, że ja pół hektara sama skopię! Dużo ja mam z tego waszego samogonu, na mleko i chleb ledwo starczy! Dwadzieścia złotych dolarów i złoty zegarek zjedliście w zimę, co ja złoto w lesie kopię?! Muszą być swoje jarzyny, muszą być swoje kartofle, musi być wynajęty koń z pługiem, muszą mi panowie pomóc!” Pomoc to była kiepska, ale była. Jakub robił, co mógł, ale naprawdę nie miał talentu ani do pługa, ani do piły, ani do siekiery. Sędzia ostentacyjnie nie podejmował się żadnej gospodarskiej czynności, chodziło mu najwidoczniej o podkreślenie, że umowa jest umową: ważna. Ale pomagał Jakubowi, niby po koleżeńsku. Dnie wydłużały się, za dużo było siania-sadzenia, żeby słuchać radia. Pan Aleksander się przeziębiał. Karol Syn poszedł gdzieś na roboty. Tylko Dowasiński kiedyś zaszedł, a po wysłuchaniu audycji, z której dowiedzieli się o walkach w warszawskim getcie powiedział, że był u Ryszarda Bachtowicza.

„No i co?”

„Fatalnie. Spuchł cały. Pytam, jak się czuje? Odpowiada, że go zęby bolą. Mnie też, mówię. No to czujemy się jednakowo, on do mnie”. Dowasiński zaśmiał się krótko, bez wesołości. „Ja dziękuję bardzo, ja wcale nie chcę umierać!”

Jakub wstał bez słowa, i wyszedł. Pola wybiegła za nim po chwili, zaalarmowana. Ale nie, stał po pas w jamie, wykopywał śmietnik na kompost pod ogórki. Kto wie, może by go wolała doganiać na ścieżce przez las, namawiać, by zawrócił... Podeszła, zagadała o powstaniu w getcie. Nie patrzył, nie odpowiadał. A potem nie można go się było dowołać na wieczerzę. Zgubił kapciuch z tytoniem. Szukał.

„Bez winy są tylko ludzie bez sumień”, wzdycha Pola.

Nazajutrz o godzinie 12 minut 20 w południe, w samo południe wiosenne, gdy było bardzo ciepło i śnieg już zniknął nawet z rowów leśnych, Ryszard Bachtowicz zmarł. Bez sakramentów, bo księdza nie było w pobliżu, bez lekarza, bo lekarza też nie było w pobliżu. Nie od bomb, nie

od kul, nie w obozie koncentracyjnym, nie na froncie, nie z ręki band sowieckich, które szalały wtedy w okolicy.

A wieczorem przyszedł pan Jan Bachtowicz. Nie do Sędziego, ale do nich, do Majewskich. Przyszedł zapytać, czy nie mogliby mu pożyczyć trochę pieniędzy. Wszystko, co miał odłożone na czarną godzinę, mówił, wydał. Od miesięcy już. Insulina kosztowała majątek, mówił, ale nie chciał rozpowiadać. Teraz pogrzeb, koszta...

Jakub, nie spojrzawszy nawet na Polę, obiecał mu te pieniądze. Nie od ręki, musi coś sprzedać, jutro pójdzie do Wilna, więc jutro.

Po odejściu Bachtowicza milczeli. Myśleli o tym samym, że trzeba będzie stąd się wynosić. A Pola tydzień temu kupiła parsiuka, kartofle nasienne wymarży prawie wszędzie w tym roku w okolicy, więc zapłaciła za nie też nie lichy. I tyle pracy, tyle nadziei...

„Może to nic nie znaczy, Kubaś. Nie miał do kogo się zwrócić, to przyszedł do nas”.

„A co to my, bankierzy? Kto prosi o pożyczkę biednych uciekinierów, których dwa razy w życiu widział! Żeśmy też nie zwrócili uwagi, że już od miesięcy nikt z nich nie poruszał tematów żydowskich. Przedtem, pamiętasz, stałe było. A to, że AK nie przyjmuje Żydów do oddziałów, a to, że Żydzi pomagali bolszewikom, po coś ty wtedy wdawała się w dyskusję!”

Pola wzrusza w odpowiedzi ramionami. „Może Sędzia?”

„Sędzia nie głupi, żeby się sam narażać. I akurat nie miałby komu się zwierzać, tylko temu młodemu błaznowi...”.

Jakub zawstydził się słowa, więc aby pokryć zażenowanie mówi szybko: „Sędziemu powie się, że stary prosił nas na pogrzeb. Nie trzeba go przestraszać zanim nie znajdziemy jakiegoś wyjścia”.

„Grunť że po chałupach się jeszcze nie rozeszło”.

„Skąd wiesz?”

„Prawem dedukcji. Właśnie wczoraj Woronkowa, co przynosi mleko, opowiadała mi takie antysemitckie bujdy. Mówi: Pani Majewska z Żydkami trzyma a ot, z puszczy, w jakichś tam Psikiszkach, czy Michaliszkach, wyskoczyła banda żydowska na pastucha i, mówi, wsadzili mu kij do kiszki odbytowej, i kręcili nim młynka aż go na wylot przebili. Więc widzisz, gdyby ona podejrzewała, że my Żydzi, to by takich głupstw mi nie mówiła”.

„Więc ty, Pola, nie możesz się nawet powstrzymać od

dyskusowania z chłopkami”, zapienił się Jakub. „Co znaczy: 'Pani Majewska z Żydami trzyma'? Po cholere ci wdawać się w takie rozmowy!” Wyszedł wściekły.

Głupi, biedny Jakub. Jeśli ich kto rozpoznawał, to zawsze jego, a nie ją. Dlaczego nie miałyby mówić jak z ludźmi, z ludźmi, których polubiła? Nie byli źli, byli ciemni. Tej samej Woronkowej wytłumaczyła zaraz, że całe to jej opowiadanie jest brednią. Kilka tygodni temu spędzono z getta do niedalekich baraków byłego folwarku partię rodzin żydowskich do kopania torfu. Chodzili po chałupach szukać żywności. Pola oburzała się głośno, że gospodarze, którzy z niej drą po 30 rubli za kilogram chleba, od Żyda biorą 60! Groziła im Panem Bogiem, po chrześcijańsku. Może doraźnie nic nie wskórała, ale kto wie... Nie byli źli, byli ciemni.

U Bachtowiczów weranda była oszklona, i po szybkach, w słońcu, spacerowały pierwsze muchy. Dzień był znowu słoneczny. Po niewyjeżdżonych jeszcze koleinach wjechała chłopska furmanka. Koń gniady, stary. Wyniesiono trumnę i umocowano ją na wozie wymoszczonym jedliną. Stary Bachtowicz, mały i krępy, kręcił się dyrygując i wymachując laseczką, jakby załatwiał jakiś interes kupiecki. Wysoka, sucha Bachtowiczowa włożyła na głowę czarny szal. Zebrało się ze trzydzieści osób, przyjechał młody wikary z Rukomian. Ktoś poniośł krzyż, orszak ruszył drogą przez osiedle. Było południe. Skowronków tyle, że nikt ich dawno nie słuchał. Ziemia świeża po zimie. Kurzu brak. Wóz się przechyła, trumna kołysze się z boku na bok.

Minęli tor kolejowy, poszli w las. W jednym miejscu duża nie wyschnięta jeszcze kałuża rozlana była na całą szerokość drogi. Odprowadzający zeszli na bok, grzęznąć w wysokim wrzosie. Środkiem przejechał wóz, i poczłapał za nim, klnąc konia i porządek pór roku, woźnica.

Skręcili w boczną drogę, ciągle w las. Po prawej stronie, ogromniastymi polnymi kamieniami obgradzony, stał wiejski cmentarzyk. Wesoło w nim o tej porze roku, jak w całym lesie. Pstro od drgających świateł, ptaków dużo, a gdy spuszczano trumnę, z drzewa na drzewo skoczyła wiewiórka. Ksiądz odprawił modły, wrzucono po grudce ziemi. „A tu jeszcze zamarznięta” mówi chłop łopatą wskazując mieniącą się płachtę ziemi pod korzeniem sosny. „Acha”, odpowiedział ktoś.

Jakub chciał zasięgnąć rady u wikarego. Wymanewrował więc tak, aby po wyjściu za ogrodzenie znaleźć się koło

księdza. „Czy ksiądz pali?” spytał, wyciągając z kieszeni paczkę kupionych wczoraj w Wilnie „Draugai”. Ksiądz zatrzymał się, przyjął papierosa, zaciągnął się dymem, podziękował. Ruchy miał energiczne, włosy gęste, i tonsurę świeżo widać poprawioną. „Skąd to się tu wzięły właściwie te śliczne cmentarzyki po lasach, albo w ogóle z daleka od osiedli i kościoła?” zagaił Jakub.

„O” odparł uczenie ksiądz „to jeszcze za czasów Napoleona. Trupów było tyle, że dla zapobieżenia zarazie kazano je chować z dala od osiedli, i wtedy powstały te cmentarze”.

— Pani Mayer. Pani Mayer! Siostra Urszula wbiegła aż na środek poczekalni, zgorzonna, że Pola nie poderwała się na uchylenie drzwi. Zawracając także biegiem, zdaje się wskazywać Poli tempo, w jakim należy się ruszać, gdy w grę wchodzi profesor. „Dla niej profesor to następna osoba po Panu Bogu”, mruczy Pola.

Wysoki profesor Rieger stoi w otoczeniu białych fartuchów rzeczywiście jak w chórze aniołów. Zwyczajem niemieckim przedstawia się Poli, ściska jej rękę. Na tym kończą się ceregiele. Rozpoczyna się badanie rzeczowe, szybkie, pod adresem Poli nie pada żadne pytanie, wydaje jej się, że służy li-tylko dla demonstrowania profesorskiego wykładu. Oczy młodych lekarzy skupione są na rękach profesora, jego słowa notuje jednocześnie taśma magnetofonowa i stenotypistka. Pola uświadamia sobie, że nie przeczytała jeszcze depezy od Anisi.

— Dziękujemy pani. Do widzenia. — Profesor znowu wyciąga rękę.

— Panie profesorze. Mój mąż czeka w korytarzu, chciałby...

Nie dokończyła. Profesor olbrzymimi białymi susami niknie już za drzwiami na korytarz. „Oni się naprawdę śpieszą”, myśli Pola w pośpiechu wkładając szlafrok. Podchodzi do niej młody lekarz, ten co ją przesłuchiwał z rana.

— Stary jest za operacją — szepcze.

— To dobrze?

— No chyba!

Anisia zapowiadała swój przyjazd „natychmiast” z dodatkiem „jak tylko zdążę”.

— No i co? — pyta Pola Jakuba, kiedy idą korytarem wolno w kierunku jej skrzydła.

— Usiądźmy tu na chwilę, jeśli nie masz nic przeciw temu, zapalę papierosa.

— Kubuś! Znowu zacząłeś palić?! No dobrze-dobrze — łagodzi, spostrzegając jego zdenerwowanie. — Zapal sobie, ale nie tu, a przed moją salą. Bo znowuż naskoczy na mnie ta wściekła siostra Urszula, że się włóczę. Powiadam ci, rano złapała mnie tu, o tu, przy tym oknie, i z pyskiem, że ja nie na sali. Bo wiesz, że u nich tu obiad o dwunastej. A jak u was? Ach prawda, Kubuś! Dlaczegoś ty wziął urlop?

— Pola. Przejdź na pierwszą klasę.

— Ani mi się śni. Jest mi świetnie! Więc co powiedział ci profesor?

— Profesor powiedział, że jego zdaniem wskazana jest operacja. Takie jest zdanie profesora Riegera. Bo profesor Parcus twierdzi, że operacja jest niepotrzebna. Rozstrzygnię o tym profesor Heym, dyrektor kliniki. Dziś jeszcze pewno, po wykładach, będzie cię badał.

— O Boże! Ale ja tu jestem jak w młynie z tymi badaniami i badaniami...

Usiedli na ławeczce niedaleko drzwi „piątki”. Zaledwie jednak zaczęli rozmawiać, w dalszym ciągu chaotycznie, bardziej rozdzielając się słowami, niżeli porozumiewając, kiedy pielęgniarka z termometrami w kubku zagoniła Polę do łóżka dla mierzenia temperatury.

— Pan też może pójść z żoną na salę, panie doktorze — zawołała do Jakuba, widząc, że ten się zbiera do żegnania.

— Dziś nie dzień przyjąć.

— U nas się na to patrzy przez palce. — Zawróciła, i namawiała Jakuba do pozostania: — Żonie będzie przyjemniej, jeszcze nie zadowolona. Po co stosować się do zarządzeń, które nie mają sensu? — wzruszyła ramionami.

Jakub dał jej pięć marek.

Rozmowa z Jakubem nie była przyjemna. Przede wszystkim — naleganie, by przeniosła się do pierwszej klasy. W pewnej chwili Pola zrozumiała, że poza „jej dobrem” wchodzi w grę prestiż Jakuba. „No, pogrzeb to mi mój Kubuś wyprawi pierwszej klasy”, ironizowała w myślach. Zmartwiła ją wiadomość, że zwolnił się ze szpitala. Wprawdzie ma rację, że utrzymanie prywatnej praktyki więcej

znaczy, ale Pola nie widzi racji dla jakiegokolwiek zmiany w trybie jego życia.

— Gdzieś jadł obiad, Kubuś?

— Jeszcze nie jadłem.

Jest wprawdzie dopiero godzina wpół do trzeciej, ale po salach już roznoszą kawę.

— Przyjedzie Anisia, to ci chociaż obiady będzie gotować — mówi z westchnieniem Pola.

— Nie potrzebuję, by mi Anisia gotowała obiady. Z góry to zapowiadam: nie chcę.

Pola odwraca głowę, i spotyka ciekawą twarz Anny. Uśmiecha się więc do niej, jakby odwróciła głowę po to, aby się do Anny uśmiechnąć. Bo jak? Anna, spłoszona w pierwszym mgnieniu przychwyceniem na gorącym uczynku niedyskrecji, aż krasnieje z radości w odpowiedzi.

— Ta chłopka obok jest dla mnie bardzo uprzejma. Po tylu latach, Kubuś, mógłbyś jej chyba przebaczyć.

— Nie o mnie chodzi — Jakub patrzy uparcie w zielone linoleum między trzewikami.

— Co ty tam widzisz na podłodze, Kubuś! No, spójrz choć na mnie. Było zrozumiałe, że w tamtych czasach egzażerowaliśmy winę Anisi. Czy ona jednak była winna? Winna była ta stara wiedźma, zresztą kto ją tam wie... Anisia kochała Marcina więc musiała opuścić tamten dom.

— Kochała, kochała — przedrzeźnia Jakub. — Który to ona raz wychodzi za mąż, Anisia? czwarty czy piąty?

— Trzeci — śmieje się Pola. — Kubuś, ja cię proszę, bądź dla niej dobry, jak przyjedzie. Zrób to dla mnie. Ja bym dla ciebie też porzuciła Anisię — kłamie, by go udo-bruchać. — A teraz ona przyjeżdża dla mnie, i to skąd? z Australii!! No? Będiesz dla niej dobry, prawda. I idź już na obiad, i kup sobie zaraz rękawiczki, a ja wieczorem do ciebie zatelefonuję.

Pola odprowadza spojrzeniem Jakuba do drzwi, i myśli, jakby go już chętnie nigdy nie widziała. Nigdy w tym życiu. Niech by kiedyś, potem, inaczej, w innym znaczeniu... Z dala od powszednich kłopotów. Czyż nie należy jej się od nich wypoczynek?

— Pani mąż — mówi młoda umalowana blondynka z ciążą pozamaciczną — jest bardzo przystojny. Czy nie jest śpiewakiem? Wygląda jak prawdziwy tenor włoski.

— Nie — śmieje się Pola. — Przeciwnie, nie ma zupełnie słuchu.

— Siostra mówiła Herr Doktor — odzywa się głos z dalszego łóżka.

— Tak — mówi Pola. I dodaje: — Filozofii.

— Uuujj!...

— A po jakiemu państwo rozmawiali? — pyta siwa kobieta z przeciwka.

— Po polsku.

— Po polsku? — dziwi się Anna. — A kto z państwa jest Polak?

— Oboje.

— A jak dobrze mówią po niemiecku — mówi Siwa do sali. — Zdolny naród.

— Czy to prawda, że wszyscy Polacy znają francuski?

— pyta młoda brunetka z łóżka najbliższego umywalni, na wskos przez całą salę.

— Nie, nie wszyscy. Kiedyś był to u nas język salonowy. Potem najbardziej rozpowszechniony w szkołach, jako język obcy. Jak dziś angielski.

— A ja myślałam, że państwo mówią po włosku... — powtarza blondynka, sięgając po lusterko.

— E, włoski nic nie podobny do polskiego! Weźmy *Gut Morgen*... — Pola na prostych przykładach wskazuje na pokrewieństwa i różnice fonetyczne między językami romańskimi, germańskimi i słowiańskimi. Pomaga jej w tym, często niezbyt trafnie, Siwa, która jest Niemką z Zagrzebia.

— Ach — westchnęła pani Grassel o fiołkowych oczach, sięgając po butelkę (fundowanego) piwa. — Tylu jest mądrych ludzi na świecie, a ja nawet gazet nie czytam. Nie ma czasu. A z języków to znam tylko plattdeutsch, hochdeutsch i bawarski.

Pukanie. W drzwiach staje kobieta w płaszczu z wielką papierową torbą. Pyta o Frau Mayer. Pola poznaje charakter pisma Jakuba. W torbie jest kilka pudełek czekoladek, pomarańcze, pompele i wiele torebek z cukierkami. Pola otwiera bombonierkę, podaje Annie, prosząc ją, by się poczęstowała, i podała dalej. Blondynka, która leży za Anną, wyskakuje z łóżka i obnosi czekoladki po sali. Jest wysoka, dziewczęca, bardzo zgrabna. Pola daje jej w nagrodę trzy czekoladki.

— Jak się pani nazywa?

— Mayer. Ilse.

— A więc będą dwie „Frau Mayer” na sali. — Pola nie sili się na entuzjazm.

— Nie, bo ja jestem „Fräulein”. — Przysiadła na łóżku

Poli w koszulce w kwiatkach i falbaneczkach, i zwierza jej się pełnym głosem ze swoich niepowodzeń matrymonialnych. Ma trzyletnią córeczkę, śliczną, pani Mayer ją jutro sama zobaczy. (Anna przytakuje, że śliczna). Ale co? Jej narzeczony zerwał z nią, gdy była w szóstym miesiącu. Mama i „Vati” bardzo się na nią gniewali, jak gdyby to była jej wina. Teraz ma drugiego narzeczonego. Pani Mayer go dziś zobaczy, przychodzi on co wieczór. Ilza jest ciekawa, jak on się Poli spodoba. Bo mamie Ilzy, owszem, on się podoba, ale „Vati” zrobił straszną awanturę, gdy okazało się, że Ilza ma tę ciążę pozamaciczną.

— Oj, Ilschen, Ilschen, czy nie lepiej było poczekać do ślubu... — wtrąca Siwa, zbierając się do odbandażowania swojej nogi z żyłakami. — Swędzi.

— Pewnie, że lepiej, gdyby można! Vati mądry, ale nie chce brać zięcia na mieszkanie. A do matki Stefana ja nie pójdę — mówi Ilza. — Żadna nowoczesna dziewczyna nie pójdzie dziś na mieszkanie do świekry. Lepiej czekać i zaczynać od własnego.

Anna jest innego zdania. — Dzisiejsze dziewczęta są niedobre — mówi.

Od uchylonego okna przy łóżku Poli wieje mróz, więc Ilza, wstrząsnąwszy plecami, wraca do swojej pościeli. Stamtąd pyta:

— Komu ja co niedobrego robię? Czy ja co złego komu robię?

Brunetka spod umywalki chciała coś odpowiedzieć, ale przeszkodziło jej pukanie. Subiekt z kwiaciarni przyniósł kwiaty dla Poli. Nie jeden, ale trzy bukiety naraz.

— Oj, skąd ja wezmę wazonów — zakłopotana się głośno.

— Od Siostry Urszuli się bierze.

— Ja przyniosę! — podnosi się z łóżka kobieta o kartoflanej cerze, najmniej rozmowna, i najmniej, z wyglądu, sympatyczna.

Pola dwa bukiety ustawia na swoim stoliku od strony okna, a trzeci na stoliku Anny. Jest to jedyny w sali stół bez kwiatów. Anna certuje się, a Pola jej tłumaczy, że te kwiaty będą miały przecież wspólnie, stół Anny jest lewą stroną Poli. Wówczas Anna wyciąga z szafki długą i pękatą butlę ajerkoniaku. Pola nie chce, nie daje się nakłonić. Oblizującą ze smakiem żółtą gęstą ciecz Annę przezywa „pijaczka”. Anna pod orlim nosem ściąga wąskie usta „w ciup”, zerka wesoło spod krzaczastych brwi niebies-

kimi oczkami. Gdyby nie miała skóry wyprawionej tak, że już spojrzeniem czuje się jej twardość, mogłaby być ładna. Góralka. Poli wydaje się, że takie typy spostrzegą kiedys, dawno w Zakopanem. Ach, mój Boże, niewiele wtedy brakowało, a zaręczyłaby się tam z kim innym, i wszystko potoczyłoby się inaczej. Właściwie brakowało tylko decyzji, aby zerwać zaręczyny z Jakubem. Potem dowiedziała się, że on w tym czasie romansował z Rebeką. Pola jest ciekawa, czy gdyby to nie ona, lecz Rebeka leżała tu, na tym łóżku, Kubuś tak samo leniłby się z wyborem kwiatów. Przysłał jej tulipany, goździki i róże. W trzech odcieniach tego samego różowego koloru.

Na rozmyślenia, nawet przyjemniejsze, brak jest jednak czasu. Ilza włączyła malutkie radio z jazzową muzyką, któraś czyta, któraś wychodzi, ale Pola nie może wyłączyć się z rozmowy, czuje się jak na przyjęciu, ciągle do niej mówią, czy dla niej mówią. W tej materii nie może być nieporozumienia, chociaż rozmowa jest ogólna. Mówią po niemiecku. Kiedy następuje bezpośrednia wymiana zdań z łóżka do łóżka, przechodzą na dialekt bawarski. Uprzejmość za uprzejmość: Musi więc dowiadywać się, a także zabierać głos w sprawach takich: Co robić, gdy się szef zaleca? czy 800 marek miesięcznie to dużo, czy mało? czy żylaki można wyleczyć maścią i zastrzykami? czy teściowej przysługuje prawo uczenia synowej gotowania? czy żona może odkładać w sekrecie przed mężem pieniądze? czy żołdatka, z rentą wdowią, popełnia grzech śmiertelny, jeśli żyje z mężczyzną przykładnie, aczkolwiek bez ślubu, bo biorąc ślub traciłaby rentę?... Każdy z tych problemów wpływa mimochodem z jakiegoś opowiadania, za sprawą uwagi, rzuconej z innego łóżka w poprzek wątku, spienia się w spór ogólny, zasadniczy, mitygowany wszakże konkretną szczególnością wypadku, na którymś z ośmiu łóżek.

Anna po chłopsku, godnie, jest powściągliwa. Wprawdzie w cudzych sprawach nie odstąpi od swoich świętych zasad, potrafi jednakże w porę zamilknąć. O swoich chce mówić tylko szeptem, i tylko z Polą. Wyszła za mąż za wdowca z dwojgiem dzieci. Mąż nawet niezły, choć zanadto już skąpy: 30 hektarów, osiem krów, świny, owce, a na posługę dać nie da, gdzie tam!, i słyszeć nie chce, a przecież Anna, aby coś dla siebie mieć, musi brać jeszcze letników na piętro, więc ma tej roboty a ma, Pola może sobie wyobrazić! Pola wyobraża sobie, współczuje, i pyta, czy ładnie?

— Ach, ładnie, to trzeba powiedzieć, że prześlicznie — rozpromienia się Anna. Wieś piękna, duża, dwa kościoły, ich dom na skraju, pod lasem, sadzik owocowy także jest, w dole zaraz rzeka, a z tyłu góry. A ptaaków! Anna cieszy się, że Pola wie, co to gil, i odróżnia ziębę górską od zięby zwykłej. Więc tych zięb górskich zleciało w tym roku całe chmury, wróżą ostrą zimę. Anna milknie, sówieje pod nastroszonymi brwiami, i wyciąga szeptem z zanadrza to, co ją gryzie: Pasierbica. Chłopak, mówi, owszem, miły, wesoły. A dziewczyna zła. Póki mała, Anna znosiła jej złe humory, „nie chcesz, nie trzeba”, nie zagaśniała do roboty, skoro chciała ona chodzić wilkiem po obejściu, to niech! Anna była za delikatna, by przymuszać siłą ją sobie do pomocy. Ale teraz nie wie, czy dobrze robiła. Bo dziewczynka ma czternaście lat, a już z chłopakami się włóczy. A jak się ma nie włóczyć, skoro ma czas, bo żadnych obowiązków. Tylko tyle, co koło siebie, łóżko, pończochy przeprać, bluzkę przeprasować. „Szkoda!” macha lekceważąco ręką na pytanie Poli. Szkoła jest do pół dnia, uczy się ona, prawda to, dobrze, czasami godzinkę coś popisz w kajecie w domu, częściej nic, i fiuuu! na gonionkę. Nie to, co Anna, która tyle ma pracy, że nie w każdą niedzielę ma czas zejść po mszy do karczmy na kufel piwa, porozmawiać z sąsiadkami. Ojciec na wszystko patrzy przez palce, a niech co złego wyniknie, to będzie wina jej, Anny, że nie dopatrzyła. „Przed Bogiem i przed ludźmi będzie moja wina”, waży solennie każde słowo, by ugiąć się pod ich ciężarem. Ale za chwilę słowa znowu skaczą wartką obroną, że jak może dopatrzeć, kiedy odebrano jej nawet obowiązek doglądania ubrań dziewczynki, nie zapytają jej, nie poradzą się, tylko Anna widzi nową sukienkę, nowe palto, nowe pantofle. I prawdy nie powiedzą, ile co kosztowało, skądże! Bo przecież dla Anny nie ma nic, tyle co koło tych letników sobie wybiega. Nie gospodyni ona w domu, ale darmowa sługa.

Pola stara się mitygować rozżalenie Anny, ale Ilza, podchwyciwszy jakieś głośniejsze uronione zdanie, obwieszcza głośno, że zawsze jest winna macocha. Rodzone matki często nie rozumieją własnych córek, bo „żyją z głową w swoich przestarzałych pojęciach”. — Jakież może być zrozumienie między pasierbicą i macochą, skoro obie nienawidzą nawzajem czasów, z których każda z nich wyrosła? A niech mi kto powie, że w a s z e czasy były lepsze! — rzuca wyzywająco.

Anna nie podejmuje wyzwania. Zaciśnięła usta, leży długa pod kołdrą, z oczami w przeciwległej ścianie; nie będzie swoich spraw dyskutować publicznie. Poli trudno jest ponad jej skamieniałą urazą rozmawiać z Ilzą. Zresztą czy warto? Zapewne powtarza zasłyszany młodzieżowy slogan, który ma znaczenie w murach uniwersyteckich, a obija się po ulicy, niby pusta ping-pongowa piłeczka. Pola nieraz sprawdziła, że to, co wydaje się jej niedomówieniem, jest po prostu jej przeczeniem. Jakie to było śmieszne nieporozumienie z panią Greiger! Pani Greiger wyglądała jak ideał hitlerowskiej Niemki. Rosła, czerstwa, bez śladu szminki, z jasnymi warkoczami lekko siwiejącymi, upiętymi wysoko w koronę. Takich kobiet nie widuje się dzisiaj często, a prawie nigdy w kawiarniach. A właśnie poznały się w kawiarni, wprowadziła takiej ze stolikami na chodniku, i w samo południe, pod wielkim kolorowym parasolem Coca-Cola. Był upał. Białe obłoczki zastygły wysoko w nie-ruchu. Pola piła oranżadę i przyglądała się tłumowi wyzywająco ubranych dziewcząt, sunących obok chodnikiem. „Dlaczego matki”, spytała kobiety która się do jej stolika przysiadła, „wychowane w rygorach spartańskich” (ach, ona była tak podobna do biednej pani Goebbels!) „pozwalają swoim córkom nosić się, jak prostytutki? Domyślam się, że te dziewczyny są studentkami, prawda?”

„Ach, to tylko pozór. Łudzająca powierzchownia. To są wszystko na pewno bardzo porządne dziewczyny”. Pola dosłyszała się w dobroduszej uwadze wymownej aluzji. Więc zrobiła to, czego nigdy nie robi: Przedstawiła się pierwsza: „Pani pozwoli, ale skoro tak mile rozmawiamy...”, wyjęła z torebki bilet wizytowy Jakuba, i wręczyła z komentarzem: „Żydówka z Polski”. Pani Greiger naprawdę się zmieszała. Wybąkała jakieś ubolewanie, pytała, czy nie mogłaby w czymś pomóc, ona czy jej mąż... „Już za późno, łaskawa pani. Pomoc była nam bardzo potrzebna w czasie niemieckiej okupacji”. „Wiem, wiem” pani Greiger chwyciła ją za rękę. „Niech mi pani pozwoli, że do pani zatelefonuję. Mamy taki ładny dom za miastem, ogród. Zresztą samochód, państwo nas odwiedzą prawda?” Pola się uśmiechnęła grzecznie, ale wypychając dolną wargę i unosząc w górę brwi. W mimice mamy oznaczało to „może-może”. Przy kolacji jednak rozmowa o pani Greiger doprowadziła aż do sprzeczki z Jakubem.

„No i czemu się tak podniecasz? Żeś hitlerówkę poznała? Mało to ich chodzi po świecie?”

„Wcale się nie podniecam, tylko jeśli zadzwoni, to chcę, żebyśmy do nich poszli. Przez ciekawość”.

„Oszalałaś!”

„A ty jesteś Niemców ciekaw tyle, co o nich napisze „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza”! Z Londynu”.

Uparła się w swoim zamiarze spenetrowania dzisiejszego życia prawdziwych hitlerowców. Jakub nie chce, to nie, zbiegła ze schodów na dzwonek w niedzielne popołudnie. Państwo Greigerowie zaproponowali jej małą przejażdżkę po okolicy, podwieczorek nad jeziorem, a wieczór u nich. Jakież było jej rozczarowanie, gdy dowiedziała się, że pani Greiger cały okres hitlerowski spędziła w Stanach Zjednoczonych! Jako polityczna emigrantka. Najpierw zresztą wyjechała do Sowietów, ale tam się szybko rozczarowała do „stalinizmu”, jak mówiła. W Stanach poznała swego męża, tam się pobrali, i tam urodził się ich syn, chociaż pan Greiger nie był emigrantem; jeździł za Ocean w sprawach przemysłowych. Nie ryzykował żony sprowadzać do Niemiec, była zbyt dobrze pamiętana ze swojej działalności na uniwersytecie.

„No, a co by było, gdyby wojna nie wybuchła?”, spytała Pola.

„Liczyliśmy na zmiany. Ja liczyłem się z tym, że będę zmuszony także czmychać do Ameryki. Właściwie powstrzymała mnie groźba wojny. Byłem oficerem rezerwy. Moja żona uważa, że to zbrodnia, ale ja uważam, że *right or wrong — my country*. Całą wojnę przesłużyłem na frontach”.

Dziwne to było małżeństwo. On katolik, ona komunistka. On właściciel odziedziczonych po ojcu fabryk, o których Pola dowiedziała się tylko to, że są na północy miasta; Greta Greiger nie lubiła o nich mówić, a u Greigerów mówiło się tylko na tematy, jakie ją mogły obchodzić. Pola nie zdziwiła się jednak nadmiernie, kiedy po kilku miesiącach dowiedziała się, że Greta jest akurat ogromnie zajęta, bo dzień w dzień jeździ do fabryki, aby robić z głównym buchalterem zestawienia podatkowe. Wiedziała już, że Greta codziennie robi rachunki, i to nie byle jak, a w specjalnie prowadzonych księgach. Świadomość tego liczenia była pierwszym hamulcem na drodze do bliższej zażyłości. Greta Greiger, jak Pola, wielbiła teatr. Ponieważ miała więcej czasu, zaskakiwała Polę faktem dokonanych: bilety do teatru były kupione, nim Pola zdążyła się zorientować, że sztuka warta zobaczenia weszła na afisz, że przy-

jechał teatr berliński, Comédie Française, czy nowojorski balet. Pokusy były silne, ale drażniła Polę świadomość, że figuruje w księdze błękitnie i czerwono liniowanej, w rubryce wydatków. Greta Greiger nie liczyła się z pieniędzmi, ale je liczyła. Syn ich studiował ekonomię. Nie wiedzieć po co. Czy aby objąć rodzinne przedsiębiorstwo, czy aby je likwidować w chwili „historycznej”. I on także wierzył w nieuchronność zwycięstwa komunizmu. Sprawiał wrażenie flegmatyczniejszego entuzjasty tej wizji, niż jego pełna animuszu, matka ale pewna, wyczuwalna, niemrawość mogła być wynikiem wysiłku uczenia się, a jednocześnie konfrontowania i naginania nabywanej wiedzy do „żywego marksizmu”. Greta pomagała synowi w przygotowywaniu się do egzaminów, i razem z nim pisała zadane referaty. Głowę miała naprawdę nie od parady: przedmiotem jej własnych przerwanych uniwersyteckich studiów była przecież historia. Na tej głowie pan Greiger, po odmówieniu krótkiej modlitwy przed każdym posiłkiem, rysował palcem znak krzyża. Pani Greiger odchylała się niby ze śmiechem, lecz nie tak, żeby mu uniemożliwić osiągnięcia jej czoła.

Zerwanie nastąpiło z inicjatywy Poli. Dyskusje polityczne zmieniały się w sprzeczki, a sprzeczki w otwarte kłótnie. Ostatnią z nich Pola zakończyła wystrzonym dawno zdaniem: „Dla mnie komuniści i naziści byłiby absolutnie tym samym, gdyby nie zasadnicza różnica, że naziści zostali pokonani, a komuniści nie. Gdy pierwszy raz jechałam do waszego domu, byłam przekonana, że jesteście byłymi hitlerowcami, czy po prostu już nieszkodliwymi hitlerowcami. Widocznie mi to nie przeszkadzało. Ale mimo szczerych wysiłków nie mogę pokonać odrazy, kiedy myślę o pani dzisiejszych związkach ze spiskiem morderców, ludobójców, oprawców, szubrawców, oszustów, szpiegów, szpicłów, porywaczy ludzi. Nie, nie, nie! Ja nie mogę z panią przy kawce, przy ciasteczku, przy telewizji prowadzić intelektualnych sporów. To, co dla pani jest dialektyką, dla mnie jest mordownią. W tej dokładnie chwili, ilu tam ludzi jest bitych, czy zabijanych? Pani brakuje wyobraźni, ja ją mam. I dlatego mi nasza znajomość cuchnie”.

Oczywiście po tej deklaracji trzeba było pożegnać się bez podania ręki. Ale kiedyś, wcześniej, Pola starała się wy dostać od Grety odpowiedź na kwestię, do której niby aluzję zrobiła Ilza. Jak to tak, za sprawą podmuchu bomb, można znieść wygląd ludzi i ich obyczaje? Gdzie są te „przykładne” Niemki gładko zaczesane, wyszorowane do

połysku, ciężkie i poważne? Nie zginęły chyba przecież wszystkie prócz Greta pod gruzami? Czy dlatego malują się tak jaskrawo, a zachowują frywolnie, aby nie być posądzone o hitlerowską przeszłość? Czy też upadek obyczajności jest skutkiem krachu wiary?

Greta Greiger nie mogła zrozumieć, o co Poli chodzi?

„No, myślę, że jeśli wierzyły, że nie paląc, nie pijąc, oszczędnością i pracą, praniem pieluch, cerowaniem skarpetek i wietrzeniem pierzyn budują cnotliwe społeczeństwo, to po otwarciu tych wszystkich krematoriów i kacetów mogły dostać szoku, nie?”

Greta zauważyła na to krótko, że wątpi, by kobieta, która paliła przed 1933-cim rokiem, mogła wyzbyć się nałogu papierosowego po dojściu Hitlera do władzy. Najwyżej nie robiła tego publicznie. Dla Greta styl życia w dzisiejszych Niemczech jest kontynuacją Republiki Weimarskiej. Na dowód wyciągnęła z szafy oprawne roczniki „Simplexissimusa”. Hitler nie mógł spowodować odrodzenia moralnego w Niemczech, gdyż jego „ład” był niemoralny. Mówienie, że Niemiecka Republika Federalna się „amerykanizuje” jest oczywistym nieporozumieniem. W rzeczywistości, to uchodźcy z hitlerowskich Niemiec przyczynili się w dużej mierze do ukształtowania współczesnych amerykańskich gustów, przywożąc ze sobą do Stanów Zjednoczonych abstrakcjonizm, ekspresjonizm i groteskę w malarstwie, idee Gropiusa w architekturze, Kurta Weila i Brechta w teatrze.

„I idee Marksa na uniwersytety amerykańskie?”, wtrąciła złośliwie Pola.

„W dużej mierze”, przytaknęła Greta. Jej zdaniem amerykańskie społeczeństwo stanowi zbyt świeży zlepek przyradowych układów, by stworzyć „bazę” dla kulturalnej „nadbudowy”. W imporcie europejskich idei pomógł w znacznej mierze nazizm, wyganiając do Stanów Zjednoczonych prawie całą, z ocalałych, niemiecką elitę twórczą. Doskonale się tam zaaklimatyzowali, ponieważ znaleźli identyczne warunki: ten sam kapitalizm w moralnym rozkładzie. Zdaniem Greta Greiger Stalin i Żdanow popełniają błąd, potępiając artystów Zachodu. Wymagają od swoich sojuszników tutaj, od elity twórczej, „realizmu krytycznego”. Jest to nieporozumienie. Sztuka Zachodu musi być taka, jaka jest, bo musi być wiernym świadectwem „bazy”. Musi więc być chaosem, dezintegracją, niepokojem. Realizm krytyczny był właściwym odpowiednikiem

społecznej bazy w okresie stabilizacji *anciens régimes*. Po Pierwszej Wielkiej Wojnie ten świat się zaczął walić. „Sztuka powinna być sejsmografem. Stalin, świetny teoretyk, przecenia rzeczywistość Zachodu. Nie zasługuje ona na realizm krytyczny, ale właśnie na atomizację rzeczywistości” mówiła Greta wycieczając swoim zwyczajem poszczególne słowa.

„I pani sądzi, że ci abstrakcyjni malarze, ci kakafońscy, gargeliści, obsesjoniści, obsceniści i temu podobni...”

„Spełniają swoją misję tu, jak niepotrzebni są tam”.

„Ach, co za szwindel!” uniosła się Pola. „I pani twierdzi, że kocha sztukę?! Ach, co za szwindel!”

Tymczasem Frau Grassel, ta z dziecinną twarzyczką i czworgiem urodzonych dzieci, a z piątym usuniętym chirurgicznie, aż usiadła na łóżku z podniecenia. Musiała zauważyć nieuwagę Poli, bo mówiła po bawarsku. Pola pięte przez dziesiąte pojmuje, że chodzi o rekonstrukcję jakiegoś wspomnienia z jej dzieciństwa: pijany ojciec, który stara się wypchnąć macochę przez okno trzeciego piętra, i dzieci, które go odciągają za nogi, i które on kopie. Olbrzymie oczy Frau Grassel rozszerzyły się jeszcze bardziej. Jest jedyna na sali w szpitalnej, płóciennej koszuli, przysługującej pacjentkom trzeciej klasy. Koszula, choć związana pod samą szyją, nie jest w stanie ukryć jej nie normalnej chudizny, ani prawem kontrastu zatuszować bladeści rozplatanych i splatanych rąk. Na obu zgięciach pod łokciami widnieją wielkie sińce. Ślady po zastrzykach, wskazujące, że żyły Frau Grassel są tak samo drobne, jak całe jej nedorozwinięte ciało. Przez jej opowiadanie czerwona pręga przesuwana się odmiana słowa bić; macocha biła dzieci, ojciec bił macochę, ojciec bił dzieci. Więc niech się nie dziwią, konkluduje, że wyszła tak młodo za męża i za człowieka chorego, bo jest delikatny. — Jest delikatny, jak pierwiosnek — powtarza, obsuwając się w biel pościeli. Zamknęła oczy, i zanurzyła się pod powłóczkę koca po samą brodę.

W ciszy, która zapadła, kołują prawie dosłyszalne myśli, uparte, ciężkie brzęczenie nad główkami wiosennych kwiatków, ważąc, czy los drobiazgu Frau Grassel będzie o wiele lepszy, niż był jej własny, skoro ten delikatny mąż jest już jedną nogą na innym świecie, a ona sama, jakby trzymała w ręku przewróconego asa trefla.

— Mój mąż jest katolik — podniosła się znowu Frau Grassel. — A ze mną było naprawdę dziwnie — mówi, obejmując rękami kolana. — Moi rodzice, jeszcze mama żyła, wystąpili z Kościoła katolickiego. Na rok przed moim urodzeniem. Po wojnie ojciec wrócił do kościoła, ale do protestanckiego. I mnie ochrzczili dopiero w 1945-ym roku, na protestantkę. Dzieci nasze są katolickie. I mój mąż chce, żebym także przeszła na katolicyzm, ale ja nie wiem.

Anna sięga do szafki, niby tam czegoś szukając, a po to, aby szepnąć Poli: — Głupia!

— Wizyta!

Kornety sióstr zakonnych, przypięte z tyłu agrafkami do równie twardo wykrochmalonych kołnierzyków, tworzą coś w rodzaju jarzma, uniemożliwiającego całkowite rozprostowanie karku i szyi. To dodatkowe umartwienie przydaje wyglądowni sióstr wyrazu pokory. Gdy rozmawiają, muszą bowiem wykręcać głowy bokiem, aby spojrzeć od dołu na rozmówcę. Wyjątkiem są chore na łóżkach. Każdy patrzy na nie z góry, także zakonnice. Siostrze Urszuli kornet wyjątkowo dokuczał. Była bardzo niska i bardzo żwawa. Mimo wielu lat wzwyczajenia, widać było, jak jej zawadza, i Pola, chociaż wolna od sympatii do niej, z przyjemnością odpięłaby fatalną agrafkę. Siostra Adalberta natomiast, wyższa i dużo młodsza, a także bardziej dystygnowana (co, niestety, musiało oznaczać, że i powolniejsza) płynęła pod rozpiętymi żaglami niczym egzaltacja z marzeń konfirmantek o poświęceniu i świętości. Na oddziale chirurgicznym była jeszcze Siostra Hilda, nowicjuszka, a więc bez kornetu, a także bez żwawości Siostry Urszuli i urody Siostry Adalberty; tęga, wiejska dziewczyna. Prócz nich dyżurowały liczne świeckie pielęgniarki, kuse, młode, i mimo szpitalnych mundurków, modne.

„Wizytę” zaanonsowała Siostra Urszula. Kornet załotał w lewo, w prawo, jak gimnastyczna chorągiewka, chore podniosły ręce do włosów, dotknęły dekoltów, potem zrównały linię kołder na biustach i wyciągnęły się równo, przybierając boleśnie ugrzecznione miny. Siostra Urszula przekłusowała przez salę do okna, zamknęła szparę, którą Pola ustanowiła już sobie, jako swój przywilej, zszarpnęła szlafrok Poli z okiennego zawiasa, zmieła go, i wsunęła pod Poli poduszki. Pola nie zdążyła nawet zaprotestować. Orszak białych kitlów stał już w drzwiach, i już koło drzwi kręciła się znowu Siostra Urszula, coś tam wy-

gładząc i poprawiając koło stołu. „Wizyta” wyglądała rzeczywiście imponująco, malowniczo i teatralnie: górował wzrostem siwy profesor Heym, dyrektor kliniki. Dwaj profesorowie, Parcus i Rieger, byli tylko trochę mniej okazali. Wszyscy natomiast lekarze w asyście, w sumie siedmiu, jakby z respektu dla naukowej hierarchii, dzielili się niższym wzrostem. A z boczku, z notesikiem, z wykręconą pokornie głową, drobniutka Siostra Urszula, jak gdyby reżyserka tego teatrum. Zbieg okoliczności był niewątpliwy, ale też niewątpliwie jej dogadzał. Pola nieraz notowała, że niezwykle zbiegi okoliczności dopasowane są w swym charakterze do osób, którym się przyrafiają. W tej chwili wierzyła, że zrządem, które upodabniało to gremium do średniowiecznych reliefów, kierowało z przeszłości, gdzieś-kiedyś poczęte, zamiłowanie Urszuli do hierarchii i porządku. Tym bardziej korcił ją szlafrok.

Wizytacja odbywała się w ten sposób, że profesorowie stawali u wezglowia łóżka, odczytywali notatki na karcie pacjentki, wymieniali między sobą półgłosem uwagi, co starali się usłyszeć lekarze z wyciągniętymi w ich stronę szczykami, a co, za sprawą cudu, potrafiła zanotować w notesiku, zepchnięta na biały koniec, Siostra Urszula. Jeśli padało pytanie, chorą wyřęczał szybko lekarz oddziałowy. Orszak przesuwiał się do następnego łóżka.

„Co jej do diabła przeszkadza, że wisi w kącie za firanką!” Pola wyskoczyła z łóżka, i powiesiła szlafrok z powrotem na oknie. Lekarskie grono stało już koło łóżka Anny.

Debata nad Poli kartą trwała długo. Lekarz dyżurny wyjął nawet z zawiasek, na których wisiała w metalowych ramkach, i profesorska trójca, cofnąwszy się na ile pozwalało miejsce, rozprawiała z ożywieniem, co raz to przenosząc wzrok z karty na Polę, jakby sprawdzając jej tożsamość. I Pola czuła, jak twarz jej układa się w maskę uprzejmego cierpienia. Pozowanie do rozmowy, która jej dotyczyła, a której nie mogła słyszeć, jakby ją uwolniło z jakichś więzów: choroba stała się demonstrowaniem choroby. Odetchnęła kiedy dyżurny lekarz wziął kartę z rąk profesorских i podał Siostrze Urszuli do przymocowania na miejscu. Ale oto profesor Heym, zamiast odwrócić się do następnego łóżka, kieruje kroki w stronę wiszącego szlafroka. Pola jest zdumiona, a Siostra Urszula purpurowa. Okazuje się jednak, że profesor nie zauważył szlafroka, chociaż w tej

chwili wydaje się on im obu bardzo długi i bardzo zielony, a zauważył nos Poli.

— Co za piękny, polski nos — oświadcza niespodziewanie, tonem diagnozy, ujmując jej rękę.

Pola musiała się zaśmiać. Jeszcze raz odwróciły się do niej wszystkie głowy na białych tułowiach. „Ma dobre wyobrażenie o polskich nosach” pomyślała, ale komplement zrobił jej dużą przyjemność, większą nawet, niż pochlebniejsza uwaga Ilzy, że ma nos „jak Liz Taylor”. Zapewne ze względu na Siostrę Urszulę, której w tym momencie kornet zasłonił twarz.

Do rozprawy o szlafrok doszło później, dopiero przy kolacji. Najpierw było jeszcze jedno badanie, zakończone decyzją: operacja pojutrze. Gdy Pola wróciła na salę, zastała tam już narzeczonego Ilzy, a także męża brunetki spod umywalki, i córkę Siwej z naprzeciwka. Kończył się dzień pracy, zaczynały nielegalne wizyty. Polę krępowało zdejmowanie szlafroka przy obcych, więc po przywitaniu z przybyłymi, którzy wstawali, podchodzili do niej, podawali ręce, czym się wielce zafrasowała, przewidując, że Jakub nie będzie miał ochoty na odwzajemnianie podobnych grzeczności, wyszła na korytarz. Po korytarzu przemykali przybysze z miasta, wszyscy z tą samą wiedzą w ruchach, że pora jest niedozwolona. Kłaniali się więc nieśmiało każdej napotkanej pacjentce, a uniżenie przebiegającym siostrą i pielęgniarkom. Dopiero pod rękę z kolorowym szlafrokiem, on lub ona, w zimowych płaszczach, obuci solidnie, i solidnie zdrowi, wyprostowywali się w swoich wełnach, nabierali pewności siebie. Choroba nie była tu upośledzeniem, ale panią domu.

Okno naprzeciw „piątki” wychodzi na ciasny dziedzińczyk, bez drzew. Ma jednak tę zaletę wieczorem, że znajduje się w najciemniejszym kącie korytarza, dzięki czemu widać przez nie trochę śniegu na dachach, i co się dzieje na niebie. W tej chwili jedną mrugającą gwiazdkę. „Anisia przyjeżdża”.

Poli wydaje się, że z Anisią łączyło ją więcej, niż z matką, a o wiele więcej niż z ojcem, do którego nigdy się nie przekonała, nawet na tym pogrzebie londyńskim. Był rzuconą w jej stronę garścią pieniędzy, które i tak poszły szybko na marne. Pola nie lubi wspominać siebie z tego okresu życia, i dlatego nie lubi wspominać ojca. „Wyjdiesz dobrze za mąż, a wtedy pomyślimy o Anisi”, mówiła mama. Anisia wyszła jeszcze lepiej za mąż, i to jej przypadła rola

wspaniałomyślniej siostry. Pola wolałaby, żeby mogło być inaczej.

Jakub jest niesprawiedliwy. Anisia przyjęła ich z niekłamaną radością. „Spadli jej jak manna z nieba”, mówiła tuląc się do Poli, chwytając Jakuba za ręce. Mąż jej nie wrócił z kampanii wrześniowej, szalała z rozpacz. Domu w lesie nie lubiła, bała się. Konto bankowe stało się fikcją. Fabryczki nie umiała uruchomić, kiedy po przekazaniu przez bolszewików Wilna Litwinom stała się na nowo jej właścicielką: administrator został aresztowany i wywieziony do Mińska; główny majster zadeklarował się jako czerwony cwaniak, a później gdzieś drapnął; część maszyn rozmontowano do wywózki; wiele surowca rozkradli okoliczni chłopci... Jakub, trzeba to przyznać, okazał się w tym czasie niesłychanie energiczny i zaradny. Jeździł do Kowna, płacił łapówki, uzyskiwał kredyty, pokonywał przeszkody — fabryka ruszyła. A Anisia chciała do Anglii... Poli wydawało się to absurdem, Pola pokochała dom w lesie. Dom ciepły, duży, jasny. Nawet gdy w styczniu, czy lutym, zjawili się nowi uciekinierzy: ciotka męża Anisi z córką, nie było im za ciasno, a przeciwnie jakby poweselało. Fabryka dawała dobre dochody. Krowa dawała mleko. Czarno biały szczeniak, pieszczoł Znajdek, stał się psem Poli, nie odstępował jej na krok, chyba, aby pogonić za kurą. „Anisia, pomyśl, rzucić to wszystko na stracenie, na zmarnowanie? No sama pomyśl, Anisia!” Od Jerzego przyszła pierwsza wiadomość gdzieś w maju. Przynaglał Anisię do wyjazdu. Więc Jakub znowu pojechał do Kowna, do konsulatu angielskiego. Ojciec Poli poczynił już tam był jakieś starania ze swojej strony, więc nie powinni długo czekać na wizy. Znalazł się kupiec, chciał kupić fabrykę, pan Katz z Litwy. Anisia nie wiedziała, czy powinna ją sprzedać, więc Pola znowu bombardowała ojca przynagleniami, by porozumiał się z Jerzym, i przekazał im jego wolę. A tymczasem w czerwcu 1940-go roku bolszewicy ponownie wkroczyli do Wilna, okupując tym razem całą Litwę. Przepadła fabryka i kupiec na nią, przepadły wizy, wszystkie plany.

Został dom. Jakub dostał posadę portiera w jednym z hoteli wileńskich. Anisia wyniosła się także do Wilna, ze względów na bezpieczeństwo. Jako była właścicielka nie powinna mieszkać zbyt blisko swej fabryki. Trzeba było oddalić służącą. W domu gospodarowała Pola.

Kiedy, gdzie Anisia poznała Marcina? Tego Pola nie dowiedziała się nigdy. Domyślała się, że w tym czasie, kie-

dy mieszkała w Wilnie i kelnerowała w kawiarni, w której usługiwały same śliczne panie i panny „z dobrego towarzystwa”, a młodzi ludzie tegoż pokroju handlowali tam spod poły biżuterią i walutami. W każdym razie po wkroczeniu Niemców wróciła do domu. Jakub wrócił także. O odzyskaniu fabryki nie mogło być już mowy, bo nowi okupanci wszystkie wywłaszczenia utrzymali w mocy. Ale też nie groziło im tutaj żadne niebezpieczeństwo, najwyżej to, co wszystkim, konieczność wysprzedawania się. Mieli „papier”, zasiedzieli byli, znani w okolicy, — siostra i szwagier „pani dyrektorowej” — nikomu by do głowy nie przyszło, że Żydzi. Co więcej, Jakub sam się dobrze zapisał w pamięci ludzkiej przez zaniechanie dochodzeń w sprawie rozkradzionego fabrycznego mienia, kiedy to mógłby napuścić dużo strachu i biedy, a machnięciem ręki rozgrzeszyć obciążone po trochu u wszystkich sumienia. „Potrzebny mi robotnik przy warsztacie, a nie biedniutki w turmie” miał rzekomo odpowiadać sunącym z donosami na sąsiadów, co nie mogło być w żadnym wypadku autentyczną relacją, ale tak to Poli opowiadano po chałupach. Dawnego właściciela wspominano z respektem, należnym przede wszystkim jego dawnej potędze, ale — może w celu przypodobania się Poli, reprezentującej czas teraźniejszy w obrotach handlowych między Domem a chłopskimi gospodarstwami — domagano się od niej zapewnień, że po wojnie tu pozostaną, a „pan Majewski” będzie znowu administrował fabryką. Ziemia była uboga, wykrojone spomiędzy lasów i podmokłych łąk, półka nie wystarczały w normalnych czasach, więc ludzie już kłopotali się o „zarobotki”, gdy te normalne czasy przywrócą ceny żywności, nienormalnie wyśrubowane w górę wojną, do zwykłego, a niesprzyjającego majorolnym, poziomowi. Przedwojenny administrator nie był popularny. Mówiąc o Jerzym, baby kołysały się z zachwytem, a mężczyźni rzeczowo wymieniali jego zalety, ale Pola usłyszała kiedyś zdanie, że „rozumiał maszyny, a na ludzi patrzył jak przez wodę”. Wszystkie takie pogaduszki, kończące się sakramentalnym westchnieniem: „Ach, oby tylko Bóg łaskawy pozwolił tę wojnę przeżyć!” utwierdzały w niej przekonanie, że mają tutaj szans na to przeżycie tyle samo, co każda sosna, każda chata, każda rodzina, zaryglowująca na noc drzwi i okiennice. Piorunów bano się bardziej niż bomb, bandytów bardziej niż policji, choroby bardziej niż kuli. Stanowiły ciągle realniejsze niebezpieczeństwo. I nie było przyczyn, by Jakub i Pola uchylali się

od tej rzeczywistości. Aż do dnia, w którym przyszedł Marcin.

Przystojny, ale ponury jakiś, Pola go się od razu prze-
raziła. Przyszedł po Anisję. „Przyszedłem po Anisję”, tak
to właśnie zaraz oświadczył jej przy furtce, bo to ona aku-
rat grabiła na podwórzu resztki wywożonego na ogród
nawozu, kiedy Fafik zaszczekał na łańcuchu, a Znajdek,
wybiegając z obory, zawtórował mu dyszkancim ujadaniem;
więc zawróciła po klucz wiszący w sieni na kołku i szła
otwierać, mrużąc oczy pod blask słońca, aby odgadnąć, kim
mógł być przybysz.

„Poszedł won!”, tupnęła na jazgoczącego Znajdka w
odpowiedzi na przywitanie.

„Przyszedłem po Anisję”. Nogi jej wrosły w ziemię,
kluczem nie mogła trafić do zamku. A jednak, pamięta, nie
była zaskoczona. Chociaż Anisia nic jej nie mówiła. Musia-
ła być wewnętrznie od dawna przygotowana na jakiś ro-
dzaj nieszczęścia.



— Więc będą panią operować?

Pola odwraca się niechętnie. Stoi przy niej ta, o kar-
toflanej cerze, co przyniosła jej wazony do kwiatów. Patrzy
w okno.

— Pojutrze.

— Szczęśliwa pani. Mnie już nie chcą. Jutro wracam
do domu.

— No, ja bym była szczęśliwa, gdyby mnie nie chcieli
— mówi Pola, i zdaje sobie jednocześnie sprawę, że to, co
było prawdą jeszcze wczoraj, jeszcze parę godzin temu,
jest już kłamstwem. Dlaczego? Chyba dlatego, że ten nie-
zwykle długi dzień dał jej na własność trochę czasu. Jakby
wytrącenie z trybów życia przywracało wartość życia.

Kobieta narysowała palcem jakiś znak na szybie, za-
śmiała się, i odeszła.

— Pani Müller, pani Müller! — Pola przypomniła so-
bie jej nazwisko, dogoniła, i nie wiedziała, co powiedzieć.

— Co pani ma?

— Raka.

— Ja także.

— Wiem. — („Skąd?” zastanawia się Pola). — Na
całym chirurgicznym oddziale jesteśmy my dwie. Jutro bę-
dzie pani jedna.

— Rak taka sama choroba jak inne.
— Dopóki ma się nadzieję. Mnie wycięli pierś trzy lata temu.

— Ile pani ma lat?

— Trzydzieści sześć.

Pola ukrywa zdumienie. — Szczeniące lata! — Szacowała ją na pięćdziesiątkę. — A rad, röntgen?

— Ech! — macha ręką pani Müller.

— Szkoda, że nie możemy pójść tu nigdzie na wódkę! — wzdycha Pola, a potem z nagłego impulsu ciągnie tamtą do okna. „Jest gwiazdka? Jest!” — Niech pani patrzy! — pokazuje. — Tam będziemy mieszkać. Nie wierzy pani? A ja mówię! Może niekoniecznie na tej właśnie, nawet na pewno nie na tej, brrrr! byłoby za gorąco, podejrzewam, że to czyjeś słońce... Ale jest miliony galaktyk na niebie, podobnych do tej, w której znajduje się nasz układ słoneczny. I miliony, zapewne, takich planet, jak nasza Ziemia. No, statkiem kosmicznym tam się nikt nie wybierze! Za długo by to trwało. Ale duszą? Dlaczego nie? — I Poli się robi bardzo smutno, że wyobrażenie, które sobie wypieściła, jako jedną z możliwych do wyobrażenia form innej egzystencji, gaśnie w słowach ciężkich i niewiarygodnych. Przypomniawszy jej się meteoryt, pokazywany w gablocie geologicznego muzeum. — Jak pani na imię?

— Linda.

— Mnie Pola. Niech pani słucha, pani Müller. Ja też długo nie pożyję, i doprawdy, mogliby mi tej operacji zaoszczędzić. — I Pola zaczyna jej opowiadać historię swojej choroby, tak jak nikomu by nie opowiedziała, i nie opowie, a Linda nie może się nadziwić: — Naprawdę nie chciało się pani żyć? Ale dlaczego, dlaczego?

— Dlaczego? — Pola wciąga głęboko powietrze: „Nie strącaj meteorów!” — Wszyscy umrzemy. Lepiej umierać wcześniej, dopóki ma się jeszcze tę jakąś duszę. Po co przeżywać siebie? Potem człowiek się zmienia w maszynę: do prania, gotowania, trawienia, mycia naczyń... Ja już funkcjonowałam jak taka maszyna. Z nawalankami na dodatek. Po co?

— Ale ja mam męża i dzieci! I ja ich kocham!

— Ja też mam męża. I też go kocham.

Ilza odprowadziła narzeczonego do schodów, i podchodzi do nich:

— Dziewczyna chciała wina, połknęła mysz, miauu! Co

za marnowanie czasu, ujj! Poszłabym gdzie potańczyć, miauu, miauu, miaaaaaau!!! — Zaczyna podrygiwać przed Polą, potem przed Lindą, a Linda, z nieobeschniętymi jeszcze oczami, też się poddaje rytmowi, i zaczynają rock'n'rolladę. Pola przytupuje, pstryka palcami, i śmieje się. Z głębi korytarza ściąga kilka chorych, patrzą. Siostra Adalberta, płynąca z wieżą nocników do ubikacji, też przystanęła, i też się śmieje. Przywołuje nawet pielęgniarkę, która właśnie wysunęła się z wózkiem z opatrunkami z którejś z sal, i Anna Maria robi orkiestrę, stukając w blachę wózka chirurgicznymi szczypcami.

Krępa Linda jest lepsza od długonogiej Ilzy. Oczywiście szlafroki nie są odpowiednim strojem, i od czasu do czasu brawurowy koziołek kończy się omotaniem głowy, i unieruchomieniem na pokaz majtkami opiętej pupy. Wówczas wesołość widowni się wzmacnia. Wywabione hałasem, wychodzą na korytarz mieszkanki „piątki”. Anna staje obok Poli, jakżeby inaczej! Ponieważ Pola się śmieje, ona się także śmieje, ale niechby Pola wyraziła dezaprobatę, Anna natychmiast odgięłaby łuk warg w kierunku pogardy. I Poli zaczyna nagle ciążyć obecność chłopki: „co ona mi tu powróz wtyka w ręce, niech sama się prowadzi!” Może to przypadek, a może Anna posiada delikatność istot zawsze odrzucanych, dość, że odchodzi. Linda zresztą kończy występ „szpagatem”. Niezupełnie udanym, ale na 150 stopni przynajmniej.

— No, pani Müller. Ja stawiam pani diagnozę: Zdrowa jak pestka!

Linda otrzepuje się, staje przed Polą zadyszana, śmierzdząca potem, uśmiechnięta.

— Jestem pewna — mówi Pola — że zwalniają panią, bo nic nie znaleźli.

— Tak mi powiedzieli, ale ja wiem, że kłamią.

Pola także wie, że kłamią. — Zapraszam panią na dziesiątą rocznicę mego pogrzebu.

— Och, nie! — protestuje Linda, ale widząc, że pociechę dobrze przyjęła.

Pola wolałaby jej już nie wachać. Zapach potu wprowadzie stygnie, ale raz podrażnione nozdrza uruchomiły cały system sygnałów alarmowych. Najnieznośniejsze w jej pracy z pacjentami Jakuba było uczulenie węchowe. Nos Poli był nie tylko przewrażliwiony, dysponował ponadto pamięcią i wyobraźnią. Robiło jej się niedobrze, gdy Jakub kazał pacjentowi na siebie chuchnąć. Postanawiała sobie wtedy,

że w nowym mieszkaniu będą mieli osobne sypialnie, a w stołowym pokoju długi stół, i zwyczaj hiszpańskich grاندów: jej nakrycie będzie z jednego końca, Jakuba z drugiego... Ale Linda zielenieje jej w oczach, i może za chwilę przestanie się uśmiechać.

— Niech mnie pani uważnie słucha, pani Müller. Kupi pani sobie zaraz taką roślinę, co się nazywa aloes. Nie w aptece, ale w kwiaciarni. Musi być spora. Tydzień jej nie podlewać. Potem obciąć liście i zielone łodygi, żeby był funt. Zemleć. Lepszy mikster, ale może być i maszynka do mięsa. Wziąć funt miodu. Pół litra czerwonego wina. Zmieszać. Wlać do ciemnego słoja, zawiązać papierem. Niech stoi przez pięć dni w ciemnym i chłodnym miejscu. Potem przez tydzień będzie pani brała trzy łyżeczki dziennie, przed jedzeniem, a po tygodniu — trzy łyżki. Jeśliby to bardzo pędziło, bo to trochę czyści, dokapie pani sobie po kilkanaście kropel waleriany. Ja to zresztą pani na karteczce napiszę. Tylko proszę usłuchać! Żyłam kiedyś — opowiada Pola — na takiej wsi, gdzie leczyli znachorzy. Niektóre lekarstwa mają bardzo dobre. To jest lekarstwo na raka.

— Frau Mayer — mówi Siostra Urszula, nakładając na talerz Poli dwa kartofle w mundurach, kawałek masła, pół kwaszonego ogórka i kilka kawałków wędliny. — Na pierwszej i na drugiej klasie są szafy na ubrania, a na salach ogólnych takich szaf nie ma. Dlatego zabieramy ubrania pacjentek do przechowalni, a szlafroki muszą być chowane pod poduszki.

— Siostro Urszulo. Odpowiedź na „musi” jest „nie może”. Mój szlafrok nie może być chowany pod poduszkę, bo się zemnie na szmatę. Komu on zresztą przeszkadza, wisząc w kącie?

— Frau Mayer. Gdyby każda chora chciała wieszać swój szlafrok koło siebie, sala wyglądałaby bardzo nieporządnie.

— Siostro Urszulo. Dlaczego mówić o wielu szlafrokach, skoro chodzi o jeden, mój, sukienny, który znalazł sobie szczęśliwie miejsce przy oknie?

— Taki jest przepis, i ja muszę panią prosić o przestrzeganie przepisów.

— Nie. Do tego przepisu stosować się nie będę. Jeżeli jest on tak ważny, że stanowi warunek przebywania w tym szpitalu, to proszę wydać mi zaraz moje rzeczy, i będę zmuszona szpital opuścić.

Siostra Urszula nie odzywa się już więcej. W milczeniu,

które zapadło, waży się prestiż obu. Siostra Urszula widocznie to czuje, bo niezwykle słodko zachęca Ilzę, Frau Grassel i Lindę do wzięcia po jeszcze jednym kawałku salcesonu.

— Kto mi sprzedaje kartofla za kawałek szynki? — woła Pola. — Inną wędlinę oddaję darmo!

— Czy pani nie lubi wędliny? — zatroskała się po chwili wahania Siostra.

— Nie z kartoflami. Ale kartofle lubię bardzo.

— To może twarogu?

Pokusa jest silna, ale Pola odpowiada: — Nie, dziękuję. — I od razu musi się wstydzić swojej małostkowości.

— Ona jest dobra, chociaż trochę szorstka — mówi później pojednawczo Anna.

— Na pewno jest dobra, i na pewno jest szorstka — potakuje Pola.

— Nie wiem czy jest dobra — oponuje Frau Grassel. — Do pani Krautman z „siódemki” powiedziała wczoraj, że skoro ktoś się leczy korzystając z „Fürsorge”, to nie ma prawa kupować sobie papierosów. Czy to jest dobroć wymawianie komuś biedy?

— Jej o te papierosy chodzi. Każda doniczka na korytarzu pełna okurków.

— To dlaczego nie postawi popielniczek? Na innych oddziałach są popielniczki, ale Siostra Urszula myśli, że odzwyczai ludzi od palenia, piekląc się o okurki w doniczkach.

— To jednak świństwo wrzucać niedopałki do doniczek — broni Pola swej pozycji sprawiedliwej. (Sama nie znosi popiołu z papierosów nawet w popielniczkach). — Co racja, to racja!

Dopiero po zgaszeniu światła przypomniła sobie, że Jakub czeka na jej telefon. Zegar na korytarzu wskazywał dziewiątą, nie było więc tak późno. Jakub wszakże powitał ją wymówkami. Gdyby leżała na pierwszej klasie, mówił, mógłby zatelefonować do niej sam o każdej porze. Na prawdę jej oszczędność przeszła już w manię skąpstwa! Głos Jakuba pieniał się w słuchawce, więc Pola odsunęła ją na długość ręki, czekając aż burczenie umilknie.

— Czyś kupił rękawiczki, Kubuś?... Jakie?... Czy jadłeś kolację?... Ilu było dziś pacjentów?... Kubuś, ja zapomniałam powiedzieć Simonie, jak ma podlewać kwiaty, więc proszę, powiedz jej... Co?... A tak! Będę operowana

pojutrze... Kubuś, proszę cię, nie bądź dzieciak! Oczywiście, że powiedziałabym zaraz, ale zapomniałam od tego twego krzyku... Nie, nie. Nie przeniosę się, jest mi tu bardzo dobrze. Ach, i strasznie dziękuję ci za cukierki i kwiaty!... Śliczne, śliczne, a wiesz ta ładna blondynka, wiesz która?... Och, Kubuś, jest jedna ładna blondynka na sali, jakiś ty niespostrzegawczy! Więc słuchaj: Ilza, ona jest Ilza, twierdzi, że jesteś bardzo przystojny. Wzięła cię za aktora, słyszysz?... Co powiedział profesor Heym? Wiesz, że oni mówią tylko do siebie. Do wiadomości publicznej podał tylko, że mam piękny nos. „Polski”. Słowo daję!... Ależ naturalnie, Kubuś, że jestem w dobrym humorze! Obawiam się jednak, że za chwilę będę w złym, bo czuję, że cię to drażni. Na pewno uważasz, że wypada, bym umierała jak Barbara Radziwiłłówna z warszawskiej Zachęty. Bardzo mi przykro, ale i w tym względzie spotka cię zawód!... Co?... No, już dobrze, dobrze, bardzo cię przepraszam. Jak z twoim sercem dzisiaj?... No więc widzisz, niepotrzebnie się przejmujesz... Dobranoc, pa! Pa, Kubuś, do jutra.

Po pustym korytarzu biegła naprzeciw Siostra Urszula. Pola chciała ją zatrzymać jakimś dobrym słowem, może nawet deklaracją, że rezygnuje z wieszania na oknie szlafrocka, ale Siostra Urszula skrzyła nagle, zniknęła za drzwiami którejs z sal. Nim Pola zauważyła czerwone światło nad łukiem staroświeckich oddrzwi, sygnał dzwonka, wyobraziła sobie, że Urszula chce uniknąć powiedzenia jej „dobranoc”. I drogą nieprawidłowych asocjacji ujrzała siebie na długich ruchomych schodkach stacji londyńskiej kolejki podziemnej Saint John's Wood, a naprzeciw niej zjeżdżającą powoli Jadwigę. Musiały się minąć i Pola chciała być dostrzeżona. Gdyby Jadwiga jednym gestem, jednym drgnięciem twarzy okazała jej radość ze spotkania, lub przeciwnie: zażenowanie, strach nawet, cokolwiek, Pola gotowa była jej przebaczyć, zatrzymać ją, zawołać, może nawet ucałować jak kiedyś. Była przecież tylu rzeczy ciekawa! Gdzie ciocia? co z domem? jak, kiedy, i co się stało z „jej” psem? Ale twarz Jadwigi skamieniała. Minęły się, patrząc sobie w oczy z odległości paru metrów, jedna bez uśmiechu, druga z gotowością uśmiechu zastygłego w grymas. „Oto żydowska wdzięczność” dobiegł Polę głos już z dołu. „Przechowujesz taką z narażeniem życia, a potem toto czeka, aż jej się pierwsza ukłoniśz”, mówiła Jadwiga głośno do faceta w powojkowym płaszczu, który jej towarzyszył. W kilku susach Pola była na górze. Kupiła bilet, zbiegła, zła-

pała tamtych, gdy już-już mieli wsiadać do pociągu. „Jadwiga” wyszarpała ją za rękaw z grupy osób, czekających na rozsunięcie się drzwi wagonu. „Jesteś podła nad miarę. Nie dość że pozbawiłaś nas schronienia, nie dość że naraziłaś nas na śmiertelne niebezpieczeństwo przez swoją brudną chciwość, ale śmiesz jeszcze przedstawiać siebie jako żydowską wybawicielkę?!”

„Niech się pani odczepi” zaszipiała Jadwiga „niech mnie pani puści, bo zawołam policję!”

„Policja tutaj to już nie Gestapo, żebyś mi mogła grozić policją, idiotko!” zawołała Pola.

„Zaraz, zaraz” wmieszał się pan. „Pani tu postawiła pannie Jadwidze bardzo ciężki zarzut wydawania, względnie szantażu wydawania Żydów Niemcom. Ta sprawa musi być rozpatrzona. Nazwisko pani?”

No, i odbył się ten jakiś „sąd obywatelski” zakończony naganą dla Poli. Za bezpodstawne i lekkomyślne formułowanie oskarżeń przeciw „dzielnej i zasłużonej działaczce podziemia”. W motywacji było wprawdzie wspomniane, że Pola, być może, miała pewne podstawy do rozgoryczenia względem oskarżonej przez nią osoby, ale były one natury prywatnej, wypływały ze skomplikowanych konfliktów rodzinnych, a nie wrogości rasowej. Jednocześnie pouczano ją, że jako polska Żydówka, zawdzięczająca przetrwanie okupacji poświęceniu i bohaterskiej postawie Polaków, winna jest raczej manifestować swoją wdzięczność zamiast łączyć się z wrogami Polski w szkalowaniu narodu, któremu zawdzięcza wszystko do życia włącznie. Nawet Jakub, rzadko solidaryzujący się z Polą, był oburzony tonem i sformułowaniami orzeczenia.

Pola przez trzy dni redagowała odpowiedź. Napisała, że do wdzięczności się nie poczuwa, ponieważ nikt jej nie pomagał za darmo, a za grube ryzyko równie grubo kazano sobie płacić. „Pozwolę sobie także zwrócić uwagę Panów, że wielkość tego ryzyka wzrastała proporcjonalnie do polskiego antysemityzmu. Nie tylko za przechowywanie Żydów groziła kara śmierci, ale tylko w tropieniu Żydów Gestapo korzystało z pomocy miejscowego społeczeństwa. Które, według mego rozeznania, nie składało się z samych Chińczyków”.

Pola była tak dumna ze swojej odpowiedzi, zwłaszcza z ironii zawartej w ostatnim zdaniu, że nie omieszkła odczytać listu Jakubowi. A Jakub zabronił jej kategorycznie i historycznie wysyłania go do Londynu.

„Co, darmo byś ich chleb jadła, mając pieniądze?!” unosił się. „Brali, bośmy im dawali, i bo sami nie mieli! Poza twoją rodzoną siostrą wszyscy byli dla nas dobrzy”.

Mogłaby, oczywiście, wyekspediować list poza jego wiedzę. Kiedyś, gdy była zakochana, pozwalala sobie na podobne intrygi za jego plecami. Ale z upływem czasu, im mniej Jakub interesował ją jako mężczyzna, tym więcej stawał się jej mężem. Mogła się z nim użerać zęb za zęb, ale szanowała jego zakazy. Bezkompromisowa lojalność, z przymieszką zarówno czułości jak niechęci, solidarność wobec świata z zewnątrz — składały się na treść jej małżeństwa. Nie nazywała tego miłością, ale była pewna, że niewiele straciła, wyzbywając się iluzji miłości. Czy stosunek Jakuba do niej był taki sam? — ani nie wiedziała, ani nie chciała się tym interesować.

Interesował ją natomiast stosunek Jakuba do Anisi. I teraz także Pola, układając się do snu, zadaje sobie po raz setny pytanie, dlaczego on tak nienawidzi Anisi? „Czyżby ją kochał?” śmieje się do poduszki, na wspomnienie swojej, kiedyś, zazdrości o siostrę. „Pomyśleć, żeby w tamtych czasach trzymały się człowieka takie głupstwa!... Kto go tam wie zresztą, a najpewniej i on sam nie wie, introspekcja nie wirus, Jakub nie filozof!”, konkluduje.

Anna chrapie. Pola wyciąga nogę spod kołdry i delikatnie ją kopie. Anna się przebudziła, siada na łóżku. Pola zdążyła schować nogę, udaje, że śpi. Nie śpi jednak, nie może zasnąć, czuje się rześka, wypoczęta. Najchętniej zabrałaby się teraz do pisania listów. Nie dlatego, żeby jej się chciało pisać (co to to nie!), ale chce jej się wykonać zamierzoną pracę. „Taki już parszywy stachanowiec zrobił się ze mnie, że mój rachunek sumienia składa się z obliczania urobków”. I z tym stwierdzeniem podpływa pod gardło Poli gorycz, że tak bezsensownie puste stało się jej życie. Wszystko, czego dotknąć pamięcią, albo boli i zawstydzają, albo jest szare i płaskie, jak chodnik pod stopami — krajobraz jej ostatnich lat. Jakub. Mają się rozstać po tylu latach, i co? I mniej żalu przy tym, niż przy rozstaniu ze Znajdkiem?

Sięgnęła po bloczek, i przy poświacie zza matowego okna pisze:

Kubuś Jedyny! Jesteś moim wszystkim, co posiadałam. Bądź dobry dla Anisi! Nie opuściłabym Cię nigdy dla nikogo, nie dlatego, że jesteśmy niepodobne (choć upierasz

się, że podobne) ale dlatego, że jesteś moim życiem. Mogę Cię opuścić tylko dla śmierci.

Anna znowu chrapie. Pola ją budzi: — Niech się pani położy na boku! — Anna posłusznie przewraca się na bok, ale pokazała przy tym minę zagniewaną. „Głupstwo! Wy tłumaczę jutro, że to dla jej zdrowia” myśli Pola, zaklejając kopertę. Na kopercie pisze: *T e s t a m e n t*, i wsuwa ją do szuflady. Teraz chciałaby zasnąć.

Uchyliły się drzwi, i bezszelestnie wsunęła się przez nie nieznanoma siostra. Podchodzi do każdego łóżka, sprawdzając czy śpią. Świeci sobie przy tym małą błękitną latarką, zupełnie niepotrzebnie, bo na sali jest całkiem widno od światła z ulicy, i nawet przez druciki jej staroświeckich okularów przepływa co chwila srebrny refleks. Pola udaje na razie, że śpi, ale kiedy staruszka pochyliła się nad nią zapachem czystych płócien i wełny prasowanej często żelazkiem, wraz ze wspomnieniem babki ogarnęła ją prze-można chęć swawoli. Więc chwyta palcami nogi fałdę sutej spódnicy, chwyta, i nie otwierając oczu, trzyma. Dopiero później następują chichoty, i widocznie kobiecie z pomarszczoną twarzą pod klasztornym kornetem też się coś przypomniało, bo gładzi włosy Poli, i lula ją w poduszcze, jak małą dziewczynkę. Pola wyspała jej do kieszeni garść mentolowych cukierków.

— Te cukierki wyrabiane są specjalnie dla nocnych siostr — szepcze.

— Śpij, śpij...

— To aniołki sieją na polach miętę, Siostra wie?

— Śpij, śpij...

— Anisia przyjeżdża, Siostra wie?

— Śpij, śpij...

Sen nie przychodzi. Po wyjściu Siostry Nocnej wysunęła się na korytarz brunetka spod umywalki. Mijają minuty, daleki zegar wybił kwadrans, Pola nie śpi, a tamta nie wraca. „Zrobiło jej się niedobrze, czy co?” Więc wkłada szlafrok, i idzie do ubikacji.

— Co to, raut?

— Cccciszej, cccciiszej... — Robią jej miejsce na drewnianej ławce, a kobieta, która ustąpiła jej miejsca, próbuje usiąść na wywróconym dnem do góry kubie. Grzechot blachy, stuk, śmiech, i uciszania: ciiszej, ccciszej!

— To nasz klub nocny — objaśnia Polę brunetka z „piątki”, zaciągając się papierosem — Siostra zajrzy tu dopiero za godzinę.

Już w dzień zauważyła, że przedsiónek ubikacji służy chorym za palarnię. Nigdy jednak nie było tu tak tłoczno. Widocznie zabawa polega na tym, by zbierać się wtedy, gdy powinny spać. Są rozbawione, paplą, i paplą po to, żeby uchwycić jakąś okazję do śmiechu, a potem ten śmiech uciszać udawaną paniką. Najlepiej robi to gruba, kudłata Frau Krautman w niebieskim szlafroku w pomarańczowe kwiaty. Oto znowu zatrzepotała rękami, wytrzeszczyła oczy, i pobiegła zatarasowywać się do ubikacji. Może dlatego, że się naprawdę boi. Frau Krautman jest tą, której Siostra Urszula zwróciła publicznie uwagę, że osoby żyjące z zasiłków społecznych nie powinny palić.

— Gdybym nie paliła, to bym w te drzwi nie weszła — tłumaczy Poli, gdy alarm został odwołany wybuchami głośniejszego śmiechu. Paliła zresztą cudze, i łatwo było spostrzec, że instytucja „nocnego klubu” służy zaopatrywaniu Frau Krautman w papierosy. Odwzajemniała się za to udzielaniem wszelkiego rodzaju plotek i informacji. W szpitalu była zadowolona. W ciągu ostatnich dwóch lat spędziła w nim w sumie osiem miesięcy, a teraz oczekuje na piątą z rzędu operację. Za czekoladkę, wygrzebaną z kieszeni, pyta, co Pola woli na śniadanie: bułki z wędliną, czy serem?

— Wasz pokój jest ostatni w korytarzu, i dostajecie, co zostaje. Pomagam smarować bułki i rozwozić śniadanie, więc mogę pani zarezerwować według życzenia. Dużo masła, czy mało masła?

— A chleb może być?

— Będzie chleb. Zrobione.



Wachlarzem rozsunięty się przed Polą długie dni, których na kalendarzu było zadziwiająco mało. Oto do Ilzy coraz rzadziej przychodził jej narzeczony, a coraz częściej wchodził na salę młody przystojny lekarz, aby Siwej, pani Grassel i Poli robić zastrzyki dożylnie, przecież widziało się wszystkim, że to dla Ilzy rozkładał tę czynność na raty, raz tej, raz tej, i znowu przychodził mierzyć ciśnienie, lub krew pobrać z którejś żyły do analizy. Ilza reagowała teraz na każde skrzypnięcie drzwi, i kiedy to on w nich się

pojawiał, naprawdę zakwitła na długiej szypułce szyi, i naprawdę była wtedy piękna. Za szybko jednak stała się wyzywająca, zbyt demonstracyjnie go kokietowała, aż stało się dla wszystkich widoczne, że go żenują jej półdrwiące zaczepki, że spudłowała. Ile czasu to trwać mogło? Trzy dni, cztery dni...? Na piąty zjawiała się na sali z zastrzykami młoda lekarka, a że była mniej zręczna w trafianiu igłą, gięła ją i obracała długo pod skórą, był powód do wyrzekania szeptem i zgorszeń. Chociaż nie były zupełnie pewne, czy to Ilza wypłoszyła miłego doktora z ich sali, czy też przepisy dla praktykantów przewidują tak częstą zmianę dyżurów.

Hildę, grubą Siostrę Hildę, Pola zobaczyła któregoś wieczora przy oknie korytarza, płaczącą. Płacząc i śmiejąc się na przemian, z oczami nieprzytomnymi, powiedziała Poli, że rozmawiała przed chwilą z Matką Boską, która ją, Hildę, bardziej lubi niżeli tamte obie: Urszulę i Adalbertę. A następnego dnia czyhała już wyraźnie na Polę w porze wieczornych telefonów do Jakuba, aby jej się zwierzyć, że schudła w pasie, a jak schudnie dostatecznie, to sobie stąd pójdzie.

Na pożegnanie Frau Grassel zrobiły składkę, i za pośrednictwem pielęgniarki kupiły jej perfumy. Najpierw jednak toczyły się długie debaty, urabianie opinii w kątach korytarza, bo początkowo większość była za „czymś praktycznym”, a Siwa przeciwstawiła się temu stanowczo, dowodząc, że trzeba kupić coś takiego, czego pani Grassel sama sobie nigdy nie sprawi. Spór rozstrzygnął widok z okna: perfumeria jest naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, więc najmniejszy z zakupem kłopot.

Frau Krautman oskarżona została o intrygę, której skutkiem były długie i hałaśliwe awantury małżeńskie na korytarzu z groźbami zabójstwa i samobójstwa, od czego zapierało dech w piersiach. Więc chodziła z podpuchniętymi oczami, i tłumaczyła po wielokroć, że fatalny list, przyjęty przez nią do wysłania, wpadł w niepowołane ręce nie z jej winy, ale właśnie z winy, oskarżającej ją, Siostry Urszuli.

Te i podobne zdarzenia wciągały Polę do życia, w którym wizyty Jakuba stawały się coraz bardziej uciążliwym obowiązkiem przypominania sobie pytań, jakie wypadało zadać, o dom, o jego zajęcia, o jego pacjentów, o posługaczkę. Każda odpowiedź była równie niepożądana, bo prawie fizycznie męcząca, jak przerywanie snu. Zaraz po przebudzeniu po narkozie, lekarz, który co dziesięć minut notował

jej puls i ciśnienie, powiedział jej, że Jakub czeka na korytarzu. Współprzymiotna zrozumiała to jako rozkaz, że ma się podnieść... A przyjemność sprawiła jej rozpoznana twarz Anny, cmokająca nad nią: „nnnu, nnnu...” I przyjemność sprawiło jej, że Siostra Nocna zaraz rozpoznała ją na sali pooperacyjnej, i gładziła jej włosy aż do zaśnięcia.

Sala operacyjna była największa, o zmiennej ilości łóżek. I w dzień i w nocy stale obecny był na niej albo lekarz dyżurny, albo siostra. „Takiej opieki nie ma, bo być nie może na pierwszej klasie” tłumaczyła Jakubowi, potem Anisi. Ale przedtem chciała się z tej sali wyrwać jak najprędzej. Lewatywy z parafiny, jakie aplikowano wszystkim pacjentkom o świcie, zostawiały smród nie do wywietrzenia. Po trzech dniach delegacja z „piątki” interweniowała u Siostry Urszuli i lekarza oddziałowego o przeniesienie Poli na dawne miejsce. Chore zobowiązywały się opiekować Polą, myć ją i czesać, a także podawać i czyścić jej basen. Dla zadokumentowania swojej siły Pola tegoż dnia wstała, i na nogach z włóczki powędrowała sama do toalety. Dopiero jednak na piąty dzień pozwolono jej wrócić do „piątki”. I właśnie piątego dnia po operacji przyjechała Anisia. W dzień przed pierwszym opatrunkiem radu.

Anisia, Anisia! Trwało sekundy, podczas których Pola patrzyła na nią jakby oczami sali, wyceniając, jakie na jej towarzyszkach zrobi wrażenie. Później już był tylko chaos wzruszeń, łzy, nie tyle przywitania, co pożegnania. Czyż Anisia nie przyjechała tylko po to, aby pożegnać siostrę?

Okazało się, że niezupełnie. Wyjazd Anisi odraczał rozprawę rozwodową, która miała się akurat odbyć w Sydney. Na początku wyglądało na to, że odroczenie rozwodu jest ze strony Anisi poświęceniem. Ona była przecież powódką. „Ach, mieć to wreszcie za sobą, wyjechać, zapomnieć!”, tak pisała w listach, i tak to mniej więcej pierwszego dnia wynikało z jej słów i gestów.

Pasowało to do opinii, jaką Pola wyrobiła sobie na podstawie wiadomości, które przez Anisine przyjaciółki docierały do niej od dawna. Sama Anisia pisywała rzadko i wstrzemięźliwie. O swoim rozwodzie powiadomiła siostrę równo w trzy lata od pierwszych pogłosek. Mówiły one, że Anisia zakochała się w kapitanie transoceanicznego statku; że Marcin nie zgadzał się na rozwód; że uprosił Anisię, żeby wyjechała na pół roku na wyspę Bali i w spokoju

skontrolowała swe uczucia (z tego okresu Pola ma zbiór prześlicznych pocztówek i fotografii); że Anisia powróciła do męża; że Anisia go rzuciła ponownie, kiedy kapitan zjawił się z własnym rozwodem i konkretną propozycją małżeństwa; że Anisia z córką przenosi się do Anglii. „Ładny numer z twojej siostrzyczki” mówił Jakub „ale ten Marcin to też lepszy dureń. Wyrzuciłby babę z domu zamiast pozwalać, by mu przyprowadzała rogi na cały świat długie!” Pola zacinała usta. Bronić Anisę oznaczało w tym wypadku usprawiedliwianie wiarołomstwa. Jakub na żadnym punkcie nie był tak drażliwy, jak na tym. Wierność kobiet była świętym postulatem, ważniejszym od wszystkich innych. Pola respektowała to jego przekonanie, rezerwując sobie prawo do atakowania owych wszystkich innych. Dziwiły ją tylko zaostrzające się z wiekiem rysy zazdrosnego męża w charakterze Jakuba, któremu nigdy nie dała powodu do zazdrości. Na wiadomość, że jej choroba pokrzyżowała plany siostry oskoczyły ją wyrzuty sumienia: oto ta, której ani słówkiem nie próbowała osłonić, po czterech latach szarpaniny, prawie u celu swoich dążeń, jeszcze raz decyduje się na zwłokę, z impulsu serca, dla niej.

Tymczasem już podczas drugiej, czy trzeciej wizyty Anisi, Polę zaczęły nurtować wątpliwości. Och, jest dla niej nadzwyczaj dobra i serdeczna, pewno nigdy w życiu Pola nie zaznała tylu czułości, co teraz od niej, ale czy przyjechałaby na pewno, gdyby wyjazd nie był pretekstem do odłożenia sprawy? — Tego Pola wcale nie była już pewna.



— Tę koszulę kupiłam ci na obstalunek Jakuba. Kazał najpiękniejszą, patrz! — Pola się nastroszyła, wyobrażając sobie, że z szelestu bibułek wynurzą się jakieś kokocie fortygalki, kosztowne i niepotrzebne, ujrzawszy jednak białe płócienko, ozdobione ręcznym haftem i przewlekaną błękitną wstążką, tak się zachwyciła, że zamiast mitygować niezadowolone, uważała za stosowne ochłodzić swój podziw.

— Ileś zapłaciła?

— Psik! Mężowski upominek. Ach, Pola, Pola, jakaś ty szczęśliwa. Wrócisz sobie do domu, do męża, żeby to tak mnie...

— To po co się rozwodzisz?

— Bo mnie w ten rozwód wrobił.

— Tadeusz?

Anisia, która stała koło łóżka, aż siadła. Musiała sobie wprawdzie przysunąć najpierw krzesło, ale zrobiła to w sposób efektowny:

— Jaki Tadeusz?! Marcin! Ach, plotki, plotki, ludzkie wściekle jęzory, domyślam się: Lena. Nie?

— Słuchaj Anisia. Tyś mi się nigdy nie zwierzała, wtedy z Marcinem także nie. Ja o to nie mam żalu. Niekoniecznie trzeba z siostry robić konfesjonał. Ja też ci wiele rzeczy nie mówiłam i nie powiem. Pod tym względem jesteśmy do siebie podobne. Ale to, co mówisz, mów szczerze!

Anisia zmieszała się, i opuszczała głowę. Poli wydaje się, że gdyby nie miała twarzy pokrytej cynobrowym makijażem, zaczerwieniłaby się jak kiedyś, mimo tych zmarszczek, które rysują jej się już na podbródku.

— Anisia. Wyglądasz, jak ta róża, co ci mówiłam, którą wzięłam z sobą na rad. Klaps! opadła jej główka. Śmieszne, że dopiero teraz zauważyłam, na czym polega ten twój charakterystyczny ruch: Ty nie pochylasz szyi, ale samą głowę. Tak było zawsze, prawda? Ale, zdaje mi się, żeś nabrała i nowych przyzwyczajeń. Nie zadzierałaś kiedyś tak głowy w górę. Wydajesz się przez to wyższa.

— To ze względu na zmarszczki. — Anisia, przeciągnąwszy palcem po policzku wzdłuż szczęki, podnosi oczy szklane łzami. — Nikt nie jest dla mnie dobry.

— Anisia!

— Nie, nie. Ty też nie. Jeden Tadeusz jest dla mnie dobry.

— Więc jednak.

— Co „jednak”? Tadeusz mnie kocha. Więc co z tego? Tadeusz wie, że ja go nie kocham, wcale nie mam zamiaru go oszukiwać. Ale że Marcin znalazł sobie tę bogatą pannicę, to mówi się, że ja romansuję z Tadeuszem. Ponieważ jest bogata, ponieważ dla Marcina oznacza karierę, wszyscy wolą z nim trzymać a przeciwko mnie. Przysięgam ci, że między mną i Tadeuszem nic nie było!

— Przecież wniosłaś o rozwód nim poznał tę pannę...

— Dewman. Bo był okropny. Pola! On mnie bił.

— Ale już wtedy oświadczał ci się Tadeusz?

— No to co?

— I chcesz przecież wyjść za mąż za tego Tadeusza, czy nie?

— Och, Pola... Ja nie chcę wyjść za mąż za żadnego Tadeusza.

Pola zamyka oczy. Tak jej przykro za Anisę. Pod powiekami jej obraz jest jeszcze ciemniejszy od tych farb na włosach, na twarzy, na paznokciach. „W tym rzecz może, że obie nie potrafiłyśmy się zestarzeć”.

— Co ci, co ci, Pola?!

— Nic. Daj mi może ten żółty proszeczek. — Zapijając, mówi: — Nie masz jeszcze czterdziestu lat, czego się boisz. — A odstawiając szklanę pyta: — A Halinka?

Anisia wzdycha nad składaną koszulą: — Jaka jest Halinka? — gładzi w zamyśleniu hafty — Ładna, zdrowa i materialistka. Wdała się w ojca. Czy ja wiem zresztą? Jest jak wszystkie australijskie dzieci. Tam są straszni ludzie, Pola, ty sobie nie wyobrażasz. Pieniądze, puczenie się, i plotki. Jedno jest może w tej całej mojej historii dobre, że zabiorę Halinkę do Anglii. Może zdąży nasiąknąć jeszcze jakąś kulturą. Ale czy ja wiem? On jej już obiecał, że gdy skończy szesnaście lat dostanie Jaguara! Ona przede mną udaje, że to ją nic nie obchodzi, ale wiem, że przechwala się tym przed koleżankami. To także jego sztylet w moje plecy. Kupuje ją, korumpuje, i pewnie kiedyś kupi. Gdy mama-mama przestanie być potrzebna do podcierania, przepierania, i robienia czekoladowych mazurków. A co Krzysiaczek, nie wiesz?

— Był już zetempowcem, był już i chuliganem.

Anisia westchnęła znowu:

— Jak ja go kochałam!...

— Czy ty myślisz, Anisia, że mama żyje?

— Wiesz, pisałam. Mogła starać się do Leningradu i po drodze gdzieś wpadła.

— Absurd.

— A pamiętasz, jak nam przysłała list z Warszawy pod okupację sowiecką, że mamy szukać krewnych jej ojca w Petersburgu? Nigdy nie umiałam jej wytłumaczyć, że to było niemożliwością. W jej pojęciu nic nie było niemożliwe. Wiesz przecież, jak w czasie wojny wybrała się do Wiednia, szukać dla was protekcji u brata twego ojca.

— Nnnnie?

— Co, nie wiesz?! Nie znasz tej historii?

— Wiem tylko o niej coś mi opowiadała. Nie widziałam jej przecież od przedwojny.

— Kiedyśmy przyjechali z Marcinem, to była już stara historia. Bo ona pojechała do Wiednia jeszcze w 39-ym, czy 40-ym, jak to zrobiła, już nie pamiętam, odszukać twego stryja, aby was ratował. Jej się zdawało, że jak on był

kiedys wielkim profesorem i „radcą”, to musiał nim zostać. Wiesz: mama i polityka.

— No i co?

— Co? — powtarza Anisia, pochylając się do szafki w nocnym stoliku. — Znalazła ich na Praterze, w bardzo jeszcze eleganckim mieszkaniu, ale z gwiazdą wybitą na drzwiach. Byli zupełnie bezsilni. — Po chwili odkłada koszulę znowu na łóżko i dodaje: — On tam jeszcze mieszkał na początku 45-go. A może tylko ktoś z jego rodziny. Od czego on był profesorem?

— Nie wiem — mówi Pola. — Ty więcej wiesz o rodzinie mego ojca, niż ja.

— Mama była wspaniała, żeś ty jej nie widziała w czasie okupacji! — zagaduje z przesadną żywością Anisia, bo wołałaby nie przyznać się Poli, jak to się wybrała na Schubertstrasse w styczniu 1945-go roku, i miała już rękę na dzwonku przy drzwiach parterowego mieszkania z mosiężną tabliczką, na której była wygrawerowana starannie pięcioramienna gwiazda Syjonu, ale ktoś zbiegał ze schodów, i ona spłoszyła się, uciekła, i bała zawrócić. — Zupełnie byś jej nie poznała, powiadam ci, Zofia Chrzanowska!

— Wyobrażam sobie — mruczy Pola. — Ona zawsze zmieniała życie w teatr.

— Ale była dobra — wstawia się Anisia.

— Nie tylko dobra, lecz doskonała! — I nagle, niespodziewanie dla siebie, Pola po raz pierwszy śmieje się do wspomnień z okresu „z nędzy do pieniędzy” i wydawania jej za męża. Dotychczas nie chciała ani sobie, ani matce darować owej gry „hochsztaplerskiej”, jak to nazywała, kiedy pod jej batutą odgrywała rolę, z której długo nie mogła się potem wyzwolić, a właściwie nigdy jej zdementować przed Jakubem, co jakby unieważniało jego do niej miłość. Dopiero teraz z perspektywy szpitalnego łóżka tamta przeszłość wydaje jej się już tylko komicznym epizodem. — Ach, Anisia! — krztusi się śmiechem — żebyś ty mamę widziała w roli podkomorzyny dla Żydów! Co za manieri, co za Ćwiklińska, i ach! nie mogę! — musi obetrzeć sobie oczy i napić się wody, skurcze śmiechu wywołują bóle pod opatrunkami. — Mama sprawiła sobie pokojówkę i pekińczyka. Pokojówka mówiła jej „jaśnie pani”, do mnie, na szczęście, tylko „panienko”, a pekińczyk miał łóżeczko z haftowaną pościelą.

— Wiem — uśmiecha się blado Anisia. — To łóżeczko odziedziczył Krzys. Pokojówka uciekła z pekińczykiem,

z mamy biżuterią i z futrem zaraz na początku wojny. Chwalić Boga bez śladu, bo mogło to się skończyć gorzej.

Pola poważnieje:

— Mama nie miała z tym nigdy kłopotów?

— Nie. Mimo, że nie była specjalnie ostrożna. Biedna mama.

— Kiedy ten ich Czerwony Krzyż nas powiadomił, że zginęła w powstaniu warszawskim, byłam pewna, że siedzi. Takie jawne łgarstwo! Łatwo mogli sprawdzić, gdzie była — zyla po wkroczeniu bolszewików.

— Eee, mogli tak odpisać przez zwykłe niechlujstwo. Co mieć pretensję? — mówi Anisia, zabierając się do porządkowania nocnej szafki. — Florka zaczęła szukać mamy dopiero po naszych przynaglaniach. Przez dwa lata to jej nie interesowało. Też wdzięczność!

— Wiesz, jaka tam była wędrownka ludów. Mama powiedziała, że jedzie do Warszawy, więc Florka myślała, że mama jest w Warszawie. Nie mogła znać mamy adresu, i wiedziała, że mama nie może znać jej adresu, kiedy zabrała się sama z Krzysiem z Krakowa do Wrocławia.

— Ale Florka otrzymywała paczki od twego ojca? Mogła pomyśleć, że i naszej mamie coś się z nich należy.

Pola wołałaby na to nie odpowiedzieć, ale ze względu na poczucie sprawiedliwości mówi: — Florka nie otrzymywała od ojca paczek. Ojciec nikomu nie wysyłał paczek. Ojcu tak do głowy uderzyła polityka, że uważał posiedzenie jakiejś rady narodowej za ważniejsze, niż troszczenie się o los rodziny. Co miał, sam zjadł. Nie zostało po nim żadnych pieniędzy, ani też śladu owych legendarnych amerykańskich interesów. Została natomiast korespondencja, z której wynika, że ojciec pod koniec życia ubiegał się usilnie o tekę ministra poczt, czy komunikacji, w emigracyjnym rządzie. Zważ: w roku 1947-ym! Jakub te papierki przechowuje z należnym pietyzmem, więc, jeśliś ciekawa, chętnie ci je pokaże.

— Bardzo żałuję, że nie znałam twego ojca — ujmuje się za nim Anisia. Następnie dodaje ciszej:

— Ale twój tatuś nie chciał być moim tatusiem, jak mój tatuś był twoim tatusiem.

Pola nie zauważa wymówki:

— To było może okrutne, ale bardzo ludzkie — ciągnie, nie domyślając się jaką sprawia Anisi przykrość słowem „może”. — Domyślałam się, że mama wyszła za ojca z wyrachowania, a rzuciła go bez skrupułów. Powróciła do

mego ojca także z wyrachowania, to przecież dobrze wiemy. I myślę, że on ją musiał naprawdę kiedyś bardzo kochać, skoro nas przyjął. Może dlatego, że ją kochał, postawił ten warunek wyłączenia ciebie.

— To była zemsta za to, że mama nie pozwalała mu się z tobą widywać.

— Może. W każdym razie to się da zrozumieć. Ale to wariactwo, by stary wytrawny kupiec zapominał o świecie bożym dla honoru mielenia patriotycznych sloganów, na to racjonalnego wytłumaczenia się nie znajdzie!

„Czego ja się po niej spodziewałam”, medytuje Anisia, klęcząc koło szafki, „nikogo nie kocha, nikogo nie kochała, a najmniej mnie”. Lecz spostrzegłszy, jak Pola, dźwigając się na łokciu, podciąga się skrętami bioder, aby znaleźć oparcie dla nowej pozycji, Anisia już się podrywa do pomocy, i ma przy tym wielką ochotę, pod pozorem poprawienia poduszki, wyściskać tę wymizеровaną, bezwzględna i bezsilna już wobec losu, Polę. Ale Pola ma jeszcze dość siły, ażeby ją osadzić niecierpliwym gestem:

— Daj spokój. U was tam słyszałam o takim kupcu drzewnym, Żydzie. Ni stąd ni z owąd, siadł, napisał scenariusz. Posłał do Hollywood. Ni stąd ni z owąd przyjęli, zapłacili 10 tysięcy dolarów. I kupiec przestał zajmować się swoim drzewem, a zaczął pisać scenariusze. Wszystkie szły do kosza, naturalnie, ale nic go nie mogło od szaleństwa powstrzymać. Dokładnie jak mój ojciec.

— Pola! — Anisia siada wyprostowana na krześle — To przecież nie jest porównanie. Jeśli twój ojciec rzucił interesy dla polityki, to z patriotyzmu! Jakub mówi, żeś ty się zupełnie zrobiła niepohamowana w nienawiści do wszystkiego, co polskie i żydowskie. Dlaczego, Pola?

„Ho, ho! Znaleźli przecież wspólny język”, Pola mruży oczy, ściąga usta, co przy jej wychudzeniu zwęża jej twarz w trókat ostry, jak grot lancy.

— Anisia. Mogłabym ci odpowiedzieć, że mnie, osobście, największe krzywdy spotkały od Polaków. Myśmy się nie bali Gestapo, myśmy się bali donosu do Gestapo. Myśmy się bali takich szlachetnych matron polskich, jak „ciocia”, jak...

— A Sędzia? Jakub wysyła Sędziemu paczki...

— Ja się na razie nie bałam. Mnie się zdawało tam w getcie, że Żydzi powariowali. Mnie się zdawało, że gdy wy-skoczę na miasto, to byle mnie SS-man nie poznał, jestem wśród swoich. Z czasem się przekonałam, że brakło mi tych

doświadczeń od dziecka, jakie posiadał każdy Żyd w Polsce. I tego „słuchu dla muzyki otoczenia”... „Jej brakuje słuchu dla muzyki otoczenia” — czy nie tak, Anisia, określałyście z mamą moją gruboskórność? Pozwól mi pożartować, Anisia! To zresztą było bardzo delikatna definicja. Można było inaczej: „żydowska hucpa”. Weszłam do kawiarni mimo wywieszki „*Juden verboten*”; myślałam naiwnie: rozporządzenie okupanta; zapewne przez wszystkich równie ignorowane; jeszcze dymiły zgliszcza Warszawy, i ten patriotyzm obrony. No, i tam usłyszałam: „żydowska hucpa”. Bardzo szczęśliwie dla mnie. Poprawił mi się słuch. Im prędzej nauczyłam się łowienia uchem odgłosu rodzimych tam-tamów, tym było bezpieczniej. Ale Jakub miał ten słuch lepszy ode mnie. O dwadzieścia cztery lata był dłużej Żydem niż ja. Mogłabym powiedzieć, że był tchórzliwszy. Nie, miał lepszy słuch. A teraz Jakub chce nie pamiętać. Jego prawo. Mówisz: wysyła sędziemu paczki. Jego prawo. Ale nie ma prawa przeinaczać prawdy. Jakub nie pojmuje, że w ten sposób wyrządza krzywdę zarówno Polakom, jak Żydom. Nie ma, Anisia, nieprawdy, która by komuś nie szkodziła. Czy ją głosić będzie pani Bełczyńska z pobudek „racji stanu”, czy pani Szapska, bo wszystko co polskie widzi jej się sielskie-anielskie, czy doktor Jakub Mayer, bo nie chce być „człowiekiem którego bito po twarzy”, nieprawdę trzeba tępić. Utwierdzanie takich jak twoja Halinek w przekonaniu, że wszyscy Polacy z wyjątkami „szumowin” pomagali gremialnie, ofiarnie i bezinteresownie Żydom, to jest nowe papu dla polskiego antysemityzmu. Bo niech się zdarzy Żyd, a zdarzają się, który jak ja nie ma ochoty kłaść uszu po sobie, to od razu: „co za parszywa niewdzięczność”! Ileś ty raz słyszała w czasie wojny, że „chwalić Boga Hitler rozwiązał nam kwestię żydowską”? No więc, ja mam taki sam nos, jak ty, i to samo nie jeden raz słyszałam. A gdy przypomniałam to, niedawno, jednemu tutaj, co dziś już przykładowie lewicuje, to facet, wprowadzony w błąd moim nosem, dowcipnie mruknął, i robiąc nawias z dłoni, ot tak, pochylił się i wycedził: Ale nie trzeba o tym głośno mówić.

— Biedna Pola. Nie denerwuj się, proszę. Kochana moja! — Anisia ma nowe łzy w oczach.

— Tylko się nie mazgaj. Dlaczego mam być „biedna”? W tej chwili jestem bardzo szczęśliwa, że mogę mówić o rzeczach, o których nie mogę mówić z Jakubem. Zaraz się zaczyna skakanie do oczu, dyskusja nie *ad rem*, ale *ad*

personam. Jeśli powiem, co jest dla mnie oczywiste, że nacjonalizm jest ideą czysto żydowską, przeszczepioną do Europy przez protestantyzm, bo od protestantyzmu zaczęło się pobożne rozczuływanie w Starym Testamencie — Jakub woła, że ja jestem antysemitką. Sam, oczywiście, nie miał Biblii w ręku, wie o niej tyle tylko, co od księdza katechety. A tyś czytała?

— Nie. Ale mów ciszej.

— Czekaj. Więc ten Stary Testament w wersji oryginalnej, począwszy od Genezis, jest najbardziej niemoralną historiozofią, jak istniała na świecie. Każde świństwo, które zrobił Żyd w interesie Żydów, było Bogu miłe. Abraham wsulił Sarę, swoją własną żonę, faraonowi do łóżka, okłamując go zresztą, że to jego siostra a nie żona, ciągnął z tego sutenerstwa zyski, a Pan Bóg zesłał na Egipt plagi, jako karę za cudzołóstwo faraona! W tym guście wszystko. Trudno. Jak kto chce dosłownie wierzyć w te bzdury, musi siedzieć w gettach! Hegel wykombinował, że przywilej „narodu wybranego” jest przenośny za sprawą Ducha Dziejów. Odtąd każdy naród mógł się czuć „wybrany”, gdy poczuł „wołę Bożą” — inaczej mówiąc — siłę do niszczenia innych. „*Deus sive historia*”, państwo jako absolut, najwyższy obowiązek narodu to dbanie o dobro państwa! Oczywiście, że ludzi z takimi przekonaniami powinno się zamykać w szpitalach wariatów!

— Ciszej — błaga Anisia. — Patrz, one wszystkie myślą, że ty na mnie krzyczysz — próbuje rozbroić Polę uśmiechem. — Wycisnę ci grapefruita, dobrze?

— Daj spokój.

— Powiedz, co Sędzia!

— Sędzia? — Pola zaciąga się ironią, jak dymem papierosa — Ach, bardzo miły człowiek! Czym chata bogata i: niech się pani tu rządzi, jak u siebie w domu. Tylko, gdy musieliśmy się od niego wynosić, wiosną to było, ani mu do głowy nie przyszło, że jest coś winien za te kartofle, które nasadziłam, nasiona, które posiałam, nie mówiąc o tym, cośmy się z Jakubem natyrali w tym jego ogrodzie.

Anisia patrzy na siostrę z największym zdziwieniem: „po tylu latach wypominać jakieś kartofle!”

— Pola, dlaczego ty sobie teraz to przypomniałaś? Gdy byłaś u nas w Rzymie, po wojnie, opowiadałaś o nim tylko same takie zabawne anegdoty?

— Dlatego że się zestarzałam! Co jednak nie znaczy, że zgłupiałam.

— Pola! Ale ty nie możesz siebie zatruwać! Nawet jeśli masz merytoryczną rację, to nie widzę żadnej praktycznej racji, żebyś miała zagryzać się o jakieś kartofle sprzed prawie piętnastu lat.

— Oni pędzili razem samogon. Jakub i Sędzia. Kupili worek cukru na spółkę, zużyli z tego, czy ja wiem? może dwadzieścia, może trzydzieści kilo... Co to był cukier wtedy? 120 rubli za kilogram. Z tym, że ci go w sklepie nie użyczyli. Więc, uczciwie: machlojki z kierowniczką kooperatywy, która ten cukier kradła i sprzedawała, były Sędziego. Co racja, to racja. Ale, wyprowadzając się, myślałam, że jeśli nie połowę, to jakąś prawie połowę, jakieś trzydzieści kilo będę mogła zabrać. Gdzie tam!... „Panie Jakubie, a z tym cukrem, niech mi pan pozwoli być wdzięcznym współnikiem. Co z niego wypędzę, zysk po dawnemu na połowę! Postanowione. Nie ma o czym mówić!” Więc Jakub mu jeszcze podziękować musiał za wspaniatomysłność. Jak się domyślasz, na tej wspaniałomyślnej deklaracji się skończyło. Jakieś, plus-minus, cztery tysiące rubli.

„Boże, jakim ona tonem wyśpiewała te cztery tysiące rubli!” — Pola, dlaczego ty nie chcesz na pierwszą klasę?

— Po co? Żeby płacić dwa razy tyle? — Pola patrzy na Anisę z drwiną bez uśmiechu. — Ty, Anisia, myślisz sobie: Ot, jaka! Pamięta cztery tysiące rubli, a nie pamięta, że uratowali jej życie... Otóż ja tej argumentacji przyjąć nie mogę. Ja nie mogę przyznać, że było w porządku „trochę” naciągnąć Żyda. Cztery tysiące rubli za parę Żydów? — Toż drobnostka! Tak, wychodząc z założenia, żeśmy powinni pójść do pieca, to rzeczywiście cena wykupu była niesłychanie przystępna. Ale jeśli by przyjąć inny punkt widzenia, że Żydzi nie powinni być mordowani, wówczas za ratowanie Żydów nie powinno się brać zapłaty. Ani wygórowanej, ani niskiej.

— Byli Polacy, co ukrywali Żydów, karmili ich, i nie brali ani grosza.

— No i co z tego? Zastanów się, Anisia. To, co mówisz, da się uogólnić w sąd: Nie wszyscy Polacy są dranie. Względnie: Bywają wśród Polaków ludzie porządni. Zgoda. I co z tego?

— A gdy leżysz tu z tymi Niemkami, to ci do głowy nie przychodzi...

— Owszem — przerywa ostro Pola. — Bardzo dużo mi przychodzi do głowy. To na przykład, że, rozmawiając z nimi po niemiecku, bardzo rzadko mi przychodzi do gło-

wy, że rozmawiam z Niemkami. Rozmawiam z chłopką, z ekspedientką, z żoną szofera, z chorą na raka, na wrzody, przed operacją, po operacji. A rozmawiając z tobą, z moją przyrodnią siostrą, rozmawiam z Polką.

Anisia nie odpowiada. Ogląda swoje paznokcie. Długie, owalne, polakierowane na kolor bzu. Usta też maluje sobie tego samego koloru szminką, na liliowo. „Nawet gdy ma rację, ona nigdy nie ma racji”, myśli.

„Gdybym jej opowiedziała mój koszmar sen” myśli Pola, „te drzwi, które otwierają się przede mną z dzwonieniem, wydeptana w nierówności podłoga, lada z odbitymi szczerbami w olejnej farbie, worki, beczki i sznury, i ja zaczynam mówić: 'Pani Pasieczna, proszę o dziesięć deko...', i urywam, uśmiecham się, i chciałabym wyjść, ale drzwi są za mną zamknięte, więc rzucam się w przejście za ladę, bo tam być muszą drugie drzwi, a tam stoi ten mężczyzna w cyklistówce...; gdybym jej opowiedziała, jak budzę się spocona z biciem serca, rozsypałaby się nade mną drobnym maczkiem. Sen-mara to wiara, rzeczywistość — zniewaga”.

Sięgnęła po skarpetki, Anisia podaje jej pantofle, szlafrok.

— Dokąd Pola?

— Idę się przejść.

Wymija Anisję, odchodzi, a gdy Anisia po momencie wahania podąży za nią, zatrzymuje się nagle przy ostatnim łóżku i wdaje w wesołą rozmowę. Anisia staje przy drzwiach, czeka. Uśmiech na wargach coraz więcej jej zawadza. Włączyć się w rozmowę nie może, nie pamięta już słowa po niemiecku. Otwierają się drzwi, i musi uskoczyć przed wózkiem z kawą. Teraz Pola zagaduje z kolei grubą Hildę. Bierze kubek, i krzywiąc się robi jakąś uwagę, co wywołuje ogólną wesołość. Anisia wychodzi.

Kobiety, które malują tuszem rzęsy, uczą się sztuki politykowania. Część spływa kanalikami do nosa, i nos od tego od razu się wzdyma i czerwienieje. Anisia szybko schowała puderniczkę, gdy drzwi trzasnęły, i spojrzeniem za siebie dostrzegła Polę. Pociągnęła więc jeszcze szybko nosem i odwróciła się tyłem do okna. Uczuła prawie wdzięczność, że Pola raczyła ją zauważyć, i szła ku niej przyjaźnie i raźnie. „Jakub przesadza, przecież ona wygląda chyba młodziej niż ja”.

— Chcesz kawy, Anisia? Wprawdzie zbożowa, ale gorąca.

— Ach, co do kawy to jestem tak pryncypialna, jak ty w swoich poglądach politycznych.

— To nie jest polityka — karci ją pobłażliwie Pola.

— Zawsze byłaś ode mnie mądrzejsza, tylko zawsze taka niecierpliwa. Pamiętasz, jak miś dokuczała przy odrabianiu zadań?

— Bo nie chciałaś myśleć. Miałaś łatwą pamięć, i wołałaś uczyć się na pamięć.

— Może — zgadza się Anisia, ujmując Polę pod rękę, bo zdawało jej się, że Pola się zachwiała. — Więc wytłumacz mi — prosi jak grzeczne dziecko o rycynę — jak mam wychowywać Halinkę. Na Polkę, czy na Australijkę?

— Reguła trzech? — Pola odwraca się do okna, i chwyta za kaloryfery. Walczy z zawrotem głowy, który chciałaby przed Anisią ukryć. — Skocz do mojej szuflady po cukierki!

Anisia zaprzeczyła pytaniu, ale korzysta z polecenia, by się po drodze we własny kołnierz pośmiać. Reguła trzech była jedyną kalkulacją arytmetyczną, którą pojmowała. Kiedy więc chciała udobruchać zagniewaną o coś Polę, wyciągała z szuflady pokratkowany brulion, i nabazgrawszy w nim na prędce jakieś zadanie, zaczynała się kręcić, jęczeć, wreszcie prosiła pokornie starszą siostrę o wytłumaczenie tej „nieszczęsnej reguły trzech”. Pola zabierała się do pomocy z surowym namaszczeniem, a Anisia, mogąc w tym jedynym wypadku okazać pojętność, odzyskiwała jej względy. Sposób na pojednanie działał, dopóki mama nie zapragnęła pochwalić Anisi za dowcip przy gościach (i przy Poli).

Tymczasem Pola, przesuwając dłońmi po ścianie, czepiając się blatu następnego okna, i znowu uważnie stawiając dłonie na śliskiej od olejnej farby płaszczyźnie, dobrnęła jakoś do ławki. Na ławce, jak na huśtawce, ma już w tym wprawę, i czuje się bezpiecznie. Przejdzie, musi przejść! Zbliżającą się Anisię widzi na razie potrójnie, raz z góry, raz na swoim poziomie, ale uśmiecha się naprzeciw, i nawet kiwa do niej ręką. Boi się jednak sięgnąć po cukierki, i gdy Anisia siada, opiera głowę na ramieniu siostry.

— Nie gniewaj się.

— Za co, Pola? — Anisia otacza ją ramieniem.

— Ty wiesz, ja wiem... Nie sądz źle, Anisia. Ja nie dla porachunków, ani złości. Spytaj, Jakuba... Wiesz, gdy przyszła wiadomość, że Sędzia aresztowany, spytaj Jakuba... Mnie właśnie wpadł do głowy ten pomysł, żeby Jakub

napiisał do niego list dziękczynny, obiecując paczkami spłacać dług wdzięczności za nasze przechowywanie. Bo jasne było, że listy do niego przejmowała Bezpieka. Ja to uważałam za nasz obowiązek.

Anisia kiwa głową: „Wysuszyła sobie życie tym drenowaniem dookoła Wojtek słuszność i obowiązek”. — Wiem, Pola, że ty jesteś dobra.

„No, przeszło!” Pola jeszcze chwilę pozwala się gładzić i tulić. Upewnia się, że wszystkie linie korytarza wyprostowały się w przepisowej perspektywie. — Co znaczy „dobra”? — uwalnia się z objęć i ruchem i tonem. — Dla ciebie, dla Jakuba, ja jestem niewątpliwie „zła”, bo myjąc zęby codziennie nie marzę, żeby iść z bębniem w pochodzie 3-go maja! — parska.

— Polu droga. Z jakim bębniem cię kto gdzie posyła...? — perswaduje Anisia. — A poza tym: czy ty zwalczając patriotyczne mity, nie wpadłaś sama w mit inny, mit pożyteczności? Jakub mówił, żeś ty przez ostatnie lata zapracowywała się nieprzytomnie, mimo że was stać było i na pomocnicę Jakuba i na służącą, ale tyś chciała wszystko robić sama i na medal.

„Ho, ho, znalazła się winna!” ironizuje w myślach Pola. „Kubuś spadł na cztery łapki, zręczny kotek”. W gruncie rzeczy z takiego obrotu sprawy jest zadowolona.

— Mity, mity. Od czasu wynalezienia komputerów i *cogito ergo sum* też jest mitem...

Anisia nie słucha. Wywody siostry szczerze ją nudzą. Niech się przecież wygada, skoro jej to sprawia przyjemność! Od czasu do czasu chwyta poszczególne frazy, tylko dla zrobienia odpowiedniej miny: „... możesz być miernotą, nicością, możesz mieć dziesięć lat, a już masz prawo się wypiąć: jesteś Polakiem... dyspensa od osobistej odpowiedzialności... nie chce lizać znaczków na pocztce, w sam raz na działacza narodowego... udzielnianie dorosłych... przywrócić popychadłom zdolność posługiwania się własnym sumieniem i wolą...” Anisia myśli, że z wiekiem i pod wpływem choroby kości policzkowe Poli stały się bardziej wystające a oczy jakby skośne... Mama mówiła, że Rosjanki mają wdzięk, ale te sowietki, co widziały... A co to mama o Poli?...? Acha, perfekcjonizm pierwszej w klasie, i że: ona nawet bał potrafi zmienić w ćwiczenie gimnastyczne...

Pola wstała: — Chodźmy!

Anisia przestraszyła się: — Ja, Polu...

— Chodźmy — powtarza łagodnie Pola. — Mignął mi

profesor Rieger, za pół godziny może być wizytacja. Ślicznie ci w tej szmaragdowej garsonce — odstępuje od Anisi niby po to, by ją lepiej obejrzeć, a dlatego, by nie iść pod rękę w odwróconej proporcji: ona, Pola, nagle niższa i szczuplejsza od młodszej siostry podwyższonej o obcasy i zdrowej. — Moja sala orzekła, że jesteś przesłiczna.

Na sali pali się już białe ostre światło.

— Czy źle się pani czuje? — pyta Anna.

Anisia, choć nie zrozumiała pytania, spostrzega to samo: twarz Poli jest blada, zryta cieniami, co ukrywał widocznie półcień korytarza. „Nie wolno dopuszczać do tych jej tyrad, do tego samojedztwa!”

Pola tymczasem, ułożywszy się na łóżku, zagaja na nowo:

— Czy słyszałaś, że istnieje taki kierunek filozofii, neopozytywizm to się nazywa, który twierdzi, że wszelkie zagadnienia etyczne nie są godne, uważasz, filozofii, ponieważ każde przykazanie moralne jest tylko propagandą. Ładny prezent dla naszych czasów! Słyszałaś?

— Skądże! Klimat australijski nie sprzyja filozofii, ani pożycie z Marcinem. — Anisia zauważyła, że na dźwięk imienia jej męża Pola milknie wyczekująco, przepuszcza ją przez próg rozmowy. — Marcina... — usadawia się wygodnie na krześle — Marcina, kochana Polu, interesują trzy rzeczy: pieniądze, dziewczki, wybacz, i sport. A właściwie jedna: Jego powodzenie w tych trzech dziedzinach. Wygodnie ci? Ja byłam zaprzężnięta do organizowania życia towarzyskiego tak, aby mu to powodzenie ułatwić. A więc ciągle *parties* — opowiada, krając pompele — oczywiście z myślą o jego karierze i stosunkach, ale także, by Marcin miał się z kim wyściskać po kątach. Tak-tak — sięga po łyżeczkę i cukier — z każdą moją przyjaciółką romansował, z tymi właśnie, które z mojej przyjaźni z Tadeuszem uszyły skandal na całą Australię. Jak nie *party* było na tapecie — podaje Poli na łyżeczce owoc wprost do ust — to jakiś piknik, raid, nocne konkursy tenisowe, albo pływanie, wszystko po to, aby Marcin mógł się popisywać gościnnością, fantazją, zręcznością, ubrany, rozebrany, w plenerze, na meblach. A ja byłam od tego, żeby mu stwarzać tło. Dopiero gdy się pojawił Tadeusz, nagle i mnie zauważono. I już nie tylko dla Marcina zarezerwowane były wszystkie pochwały, ale „jak ta pani Anisia ładnie tańczy, jaka ona

elegancka, jaki ma wdzięk”. Tego właśnie nie mógł on znieść, i jego damy dworu.

Anisia, która karmiła Polę przez cały czas opowiadania, przez zapomnienie zaczyna sama jeść. Orientuje się, kiedy skórka owocu jest już pusta.

— Ależ ze mnie! — sięga po nowego grapefruita. — Pamiętasz, jak mama opowiadała o sińcach, jakie wyszczypywał jej partner w dialogu miłosnym, bo był zazdrosny o jej grę? Takim moim partnerem był Marcin. „Nie szarżuj!” To za głośno się śmiałam, to miałam zbyt wydekoltowaną suknię, to zaabsorbowałam uwagę gości jakimś opowiadaniem podczas gdy Marcinowi udało się trafić z łuku *p r a w i e* w środek tarczy, i nikt tego nie uczcił wiwatem, to zepsułam gruchanie z panną Dewman. Mówię ci, coś niesamowitego! Stałam się jedynym nieproszonym gościem w jego domu.

— To dlaczego Lena pisała — Pola łyka machinalnie podany kasek — że Marcin był bliski samobójstwa, jak po raz pierwszy od niego uciekłaś? U niej przecież zamieszkałaś wtedy, nie?

Anisia obdarza Polę pobłażliwym uśmiechem: — Zgrywa. A poza tym obrażona ambicja: Taki doskonały mężczyzna, a żona odsuwa: „nie, dziękuję”. Jeszcze wtedy nie było tej bogatej pannicy na horyzoncie, więc mnie chciał zatrzymać. A Lena... Nie myśl, że Lena była wobec mnie lojalna. To ja patrzyłam przez palce na jej flirty z Marcinem.

— Co ty mówisz.

— A to. — Anisia wstaje, odnosi skórki do kosza, myje ręce, nóż, talerzyk, łyżeczkę. Wraca, odstawia na miejsce, siada. Otwiera torebkę, zaczyna czegoś szukać w szpargałach. Wraca do opowiadania wtedy, gdy Pola jest już pewna, że więcej się od niej nie dowie.

— Na imieniny Marcina zawsze urządzaliśmy bal. To było jeszcze na naszym starym mieszkaniu, pierwsze porządne mieszkanie po latach gnieźdzenia się po cudzych kątach, ale dość ciasne. W pewnej chwili myślę, co ten mąż Leny tak się do mnie przyczepił, jak osa do gruszki? Gada-zagaduje, a jak chcę się ruszyć, ciągnie mnie do tańca. Rozglądam się, gdzie Lena? Nie widać. Ktoś mnie wreszcie uwolnił od jego objęć i elokwencji, dopominając się o lód. Pobiegłam do kuchni, światło zgaszone, zapalam, aż tu w kącie coś się olbrzymiego, czerwonego rusza. Omal nie krzyknęłam. Poznaje Leny chiffonową suknię. Zasztyleował ją kto? zaśląbla...? No, wiesz, straciłam się. Wołać po-

mocy? podnosić? — nie wiem!.. A tu spod falban wynurza się marcinowy łeb. „Anisia kochana” bełkoce „ani-ani-ninini-siaa”.

Anisia sięga na stoliczek i z udanym zainteresowaniem ogląda ryngraf Matki Boskiej Ostrobramskiej, wpięty w aksamit skórzanego puzderka.

— Przywiozłaś?

— Nie. Znalazłam tu w antykwariacie. No i coś ty zrobiła? — Pola wybucha śmiechem.

Anisia wytrzymuje pauzę, ogląda z powagą futeralik, składa, rozkłada, zamyka pudełeczko, przygląda się srebrnemu monogramowi Poli na pokrywce.

— To prezent od Jakuba. I coś ty zrobiła?

— Co..? Zgasiłam światło. Wyjęłam łód przy żaróweczce z lodówki, wyszłam. Gdybym ja, droga Polu, robiła tragedię z każdego takiego intermedium, musiałabym już dawno zamienić się w trzy Furie.

Pola się znowu śmieje. Wie, że nie powinna, ale wie także, że Anisia lubi, żeby się śmiać z jej opowiadań, a i nie wierzy w anisine męczeństwo. Ma przecież w domu wszystkie jej listy z tamtego okresu. Przy czytaniu ich nie raz uczuła ukłucie zazdrości: „Nawet w jakiejś Australii można się bawić, a z Kubusiem i karnawał na Rivierze to będzie katar”.

— I po tym wszystkim tyś zamieszkała u Leny?

— Na drugi dzień zatelefonowała: „Przepraszam cię, Anisia, tak mi przykro...” Odpowiedziałam: „Nie ma za co, Lena, mam nadzieję, że ci wczoraj nie było aż tak przykro”.

— Robi pauzę, by dać się Poli wyśmiać. — Powiedziałam ci, pogryzła go tak, że przez trzy dni miał taki dziób. — I Anisia pokazuje jaki, i sama się teraz śmieje. — A gdybym nie przeniosła się do niej, lecz, powiedzmy, do hotelu, roztrąbiłaby na cały świat, że uciekłam z gachem. Tak, przynajmniej jedna z jadowitych żmij była unieszkodliwiona.

.....

— Moja siostra na razie myślała, że to dzieci. Że to dzieci zrobiły tę przesliczną altankę w lesie, na metr wysoką, splecioną z gałązek w okół pnia. Zastanawiała się tylko, jak potrafiły ją tak zręcznie zbudować? I czyje dzieci? Od osiedla było dość daleko, a altanka przyozdobiona była zupełnie świeżymi kwiatkami z sadów. Potem spostrzegła czerwona szczoteczkę do zębów. Wpiętą w gałązki też jak dla ozdoby. No, a potem... pomarańczowe pudełko z proszka-

mi nasennymi, które zginęło jej parę tygodni temu. Wszystko wydawało się tajemnicze i niesamowite. Później dowiedziała się, że natrafiła przypadkiem na altankę miłosną, budowaną przez samców „bowerbirds”, ptaszków, które żyją tylko w Australii i Nowej Zelandii. Niewiele większe od kosów. Altankę buduje pan Bower. Co roku ją odnawia, rozbudowuje, a przyozdabia codziennie. Zwiędną kwiatki — leci do najbliższego sadu po nowe, stare wyrzuca. Kiedy zwabi sobie samiczkę do tak pięknej garsoniery, zaczyna się długi flirt. Polegający głównie na tańcach.

— *O du liebe Zeit!* to coś dla mnie — woła Ilza.

— Piękna Ilzo, morał jest w tym ptasim obyczaju. Kiedy po flirtach, które mogą trwać i kilka dni, zależnie od zasad damy, Don Juan wreszcie dopnie swego, wyrzuca uwiedzioną z pięknego pałacu, odpędza ją, i biedna samiczka musi sama budować swoje skromniutkie gniazdo. Składa tam jajeczka i sama wychowuje młode.

— Coś podobnego, coś podobnego... — dziwią się kobiety z łóżek.

— A wie pani — mówi Frau Baker, która zajęła miejsce Siwej — nasz kos to musi pochodzić chyba także z Australii. — Bo wiosną zawsze obrywa kwiatki prymulek. Czyste utrapienie.

— Może je? — domyśla się któraś.

— Gdzież tam! Obcina i zostawia. Widocznie zapomniał, co z tym robić. Ja wzięłam się na sposób. Jak te prymule kwitną, przykrywam je siatką drucianą.

— Moja mama pieprz sypie.

— Tylko prymulki. A więc w porze, gdy one się żenią.

.....

— W Australii żyją najstarsze na świecie zwierzęta. Takie, co znoszą jaja, jak ptaki, i wysiadują je. Moja siostra mówi, że bardzo trudno je zobaczyć, kolczatka jest podobna do jeża i buszuje tylko nocą. Moja siostra widziała natomiast gniazdo takiego stekowca, co żywi się małżami z rzeki. Rozkopano je, i znaleziono dwa jaja. Ale i inne zwierzęta australijskie, to też dziwaki! Kangura chyba znacie? A która wie, jak kangur rodzi dzieci?

— Nosi je w kieszeni na brzuchu. Sama w Zoo widziałam!

— Rzecz w tym, że kangurzyca nie czeka na bóle porodowe, a mniej więcej po miesiącu ciąży jej embrion, ma-

lutki, jak koniec palca, wypęła z niej, i po wylizanej przez nią ścieżce pełźnie do tej torby, chwytając za sutek, i z tym smoczkiem w ustach rośnie.

— Och, dobry sposób! Żeby to nam tak, nie?

— Nie potrzeba by klinik położniczych.

— Cha-cha-cha! — Gwar na sali rośnie.

— Gdy młody kangurek podraasta, wyskakując sobie z maminej torby poszczypać trawki, a potem wraca. Są wśród nich jednak takie sprytne, że już same mają własnego oseska w kieszeni, a jeszcze wskakują do mamy possać trochę mleczka.

— U nas była jałówka — mówi Anna półgłosem i zwracając się tylko do Poli — co na pastwisku podsysała krowy. Roczna!

Anisia wyłączała Polę z życia „piątki” na kilka godzin dziennie. Tym bardziej o resztę była zazdrosna Anna. Co rano szła z nią Pola do kaplicy, potem do drugiego śniadania spacerowały po korytarzach, potem Anna odprowadzała ją na naświetlanie, potem warowała przy jej drzemce. Wieczorem, po wyjściu Anisi, Anna pozwalała opowiedzieć Poli coś z tego, co mówiła Anisia, ale korzystała z pierwszej okazji, by przejść z ogólnej rozmowy do takiej, którą się prowadzi z łóżka do łóżka. W stosunku Anny do Poli było dużo respektu („Chętnie bym tak i rok przechorowała, żeby z panią rozmawiać”) ale także i pogardy dla innych pacjentek. Wybrała sobie Polę na przyjaciółkę, bo uważała, że na sali tylko ona jest tej przyjaźni godna. 30 hektarów, 10 krów, nawet przy skąpym mężu, stanowiło większą wartość, niż „posada” w fabryce. Aż pewnego wieczoru Anna przyjęła proszki nasenne, a rano zastrzyk, białe pończochy i koszulę, wiązaną z tyłu tasiemką jak u lalki, i współprytomna odjechała na wózek operacyjnym. Kiedy wróciła po tygodniu na swoje łóżko w „piątce”, Poli już nie zastała.

Siły, które tak szybko zdawały się wracać po operacji, opuszczały Polę jeszcze śpieszniej pod wpływem naświetlań. Już po pierwszym traktowaniu radem straciła apetyt, a do mięsa poczuła nieprzeparty wstręt. Dokuczały jej bóle, zimno, męczyła słabość. Któregoś dnia poprosiła Jakuba i Anię, żeby nie przychodzili do niej przed 3-cią po południu. Jest za zmęczona. Jakub starał się tak siadać przy łóżku, by bez zwracania jej uwagi odczytywać wykresy na jej karcie. Jak by mogła nie wiedzieć, co tam jest! Szła z nią

przecież codzień, jak z legitymacją, na każde badanie i każde naświetlanie. Miała gorączkę, tętno wyżej stu, ciśnienie niżej stu, z każdym dniem coraz niższe. Zastrzyki, ciągłe pobieranie krwi do analizy... Kiedy na salę wchodził ktoś z personelu lekarskiego, Pola wiedziała, że do niej. Wreszcie, któregoś ranka, bez uprzedzeń, przewieziono ją na oddział radowy.

— Tam spokojniej, lekarze specjaliści, fotele na kółkach do przewożenia chorych na naświetlania, a łóżko też będzie pani miała przy oknie — powiedziała Siostra Urszula.

— Dziękuję, że Siostra pomyślała.

Stosunki między nimi jakoś się wyrównały. Po operacji Pola odnalazła swój szlafrok pod poduszką, zmięty i stwardniały, jak z *papier maché*, ale w sali pooperacyjnej naprawdę nie byłoby gdzie powiesić, bo chyba nie na stojakach z butlami do kroplówek i transfuzji. Anisia kupiła jej zaraz nowy, i ten nowy zawisł po staremu na kolbie okiennego zawiasa. Siostra Urszula raczyła go tam nie zauważać. Dopiero teraz sięgnęła po niego, chwaliła kolor i gładziła kaszmirową puszystość, po czym uważnie przewiesiła sobie przez ramię.

— Trzeba z fasonem, co tam na piechotę! — żartowała w odpowiedzi na gotowość Poli przejścia przez dobre znany korytarz na przeciwległą stronę gmachu. — Ludzie znakomici jeżdżą, a nie chodzą.

— Jak z fasonem, to odprowadzamy wszystkie! — zawołała Ilza, wyskakując z łóżka.

Nie wypadło to jednak zabawnie. Sły koło jej wózka, niosąc kwiaty, jej bukiety, a także składkowy z każdego wazonu na sali. Pola dziękowała, uśmiechała się, lecz tak samo jak jej towarzyszki nie wiedziała już o czym mówić. Była więc wdzięczna Siostrze Albinie, nowej swej opiekunce, za odprawienie eksportacyjnego orszaku od progu oszklonych drzwi „Bestrahlungen Abteilung”.

— Nie mamy się co żegnać! Ja do was przyjdę — obiecywała, czując już w tym samym momencie brak ochoty na dotrzymanie obietnicy. Przeszłość, nawet ta fizycznie najbliższa, zdawała jej się męczącym obciążaniem pamięci.

Zaskoczyła ją jasność, uradowały drzewa, przeraziła ciasnota, przygnębił widok staruch, które zdawały się reprezentować wszystkie deformacje procesu senilizacji. W nowym pokoju łóżek stało także osiem, ale na przestrzeni dwa

razy mniejszej, niż w „piątce”. Okna natomiast, aż trzy, wychodziły na południe, a także na starodrzew cmentarza. Z uwagi na to nie miały matowych szyb. Oprócz gołębi i dzwoniców, hałasujących już po wiosennemu w lutowym słońcu, żadne żywe oczy nie miały do nich dostępu. Tak to myślała sobie Pola, wieszając szlafrok na nowym okiennym zawiasie. Myliła się. O zmierzchu ściągały z krakaniem wrony. Odlatywały o świcie, przesuwając się przez siwe niebo w kierunku słońca.

Siedem staruszek poruszało się w jaskrawej bieli nader zwawo. Jak larwy w zoologicznym pudełku. Był czas największego nasłonecznienia i czas naświetlań. Pola ze zdziwieniem stwierdziła, że tylko po nią przyjechał wózek. Pokuśtykały same na ostatnie piętro, i tylko jedna, kulawa, czekała aż Siostra Beata otworzy windę dla transportu Poli, aby razem podjechać. Ale gdy Siostra Beata pobiegła korytarzem w stronę Siostry Albiny, która przywołała ją ręką, zostawiwszy Polę na czekanie, kulawa machnęła ręką, i sama ruszyła schodami pod górę.

Siostra Beata, jak wszystkie pielęgniarki świeckie na tym oddziale, miała przypięty do fartucha znaczek specjalności. Była uprzejma i rozmowna, więc chętnie poinformowała Polę, że należy do najlepiej uposażonej grupy pielęgniarek, ponieważ ryzyko skutków promieniowania jest dość duże.

— Trochę stąd, trochę stąd, żadna z nas nie wie, ile rado-godzin w sumie z latami uzbierała. Podejmując się tej pracy, godzimy się na bezpłodność.

Wyjaśniła także Poli, że reakcje organizmów na promieniowanie X są indywidualne, a starość przy tej kuracji nie pogarsza widoków na wyzdrowienie. Przeciwnie, im kobieta starsza, tym więcej ma szans uniknięcia tak przerzutów jak ujemnych skutków naświetleń. Pola miała nieostrożność podziękowania Beacie za informację. Powiedziała:

— Wszystko jest w życiu ciekawe, nawet własne umieranie mogłoby być interesującym doświadczeniem, gdyby obserwacjom nie przeszkadzało programowe wprowadzanie chorych w błąd. Po co, i jakim prawem? Czy człowiek nie jest właścicielem tak swego zdrowia, jak choroby?

Beata, zamiast przytaknąć, wyraźnie się spłoszyła: — Ja przecież nic takiego pani nie powiedziałam, prawda? Ja przecież nawet jeszcze nie wiem na co pani jest chora!

— Na raka — odśmiechnęła się Pola.

— Skąd pani wie?

„Ach, idiotka!” — Profesor mi powiedział. Przed operacją. Zdarza się przecież, że i lekarze nie kłamią.

I Jakub i Anisia musieli spojrzeć za okno. Nie mogli inaczej podejść do Poli, jak przeciskając się wzdłuż białej ramy z widokiem na cmentarz. Anisia zaczęła: „Ach, jak ładnie...” i urwała. Jakub zatrzęsł się, i wybiegł z pokoju.

Wrócił zgnębiony.

— Nie ma miejsc ani na pierwszej klasie, ani na drugiej.

— Kubuś, mnie tu zupełnie dobrze — mówi Pola. — Te staruszki wcale nie są takie straszne, jak wyglądają, naprawdę bardzo miłe. I karmię tu na parapecie gołębie. A ile tu słońca! W południe trzymałyśmy okno otwarte chyba godzinę. Nawet opalać będę się tu mogła.

W pokoju siedmiu staruszek Pola przebywała tylko dwa dni. Po badaniu, które musiało się odbyć pod narkozą, tak była już obolała i niecierpliwa, obudziła się w pokoju z jedną chorą staruszką. Anisia układała bieliznę w szafie z dużym lustrem. Było przestronnie i jasno. Drugie łóżko stało nie w równoległym szpitalnym porządku, ale daleko, w kierunku prostopadłym.

— Ile tu kosztuje?

— Ach, już się obudziłaś? — zawołała wesoło Anisia, odwracając się z rękami pełnymi koszul — zaraz ci dam kleiku. Nic więcej nie kosztuje, to także trzecia klasa. Ale prawda, że ładnie? Powiedz!

— Ładnie — mówi Pola, ale nie wierzy. Mówi także „Grüss Gott” do bardzo starej staruszki, która uniosła głowę z drugiego łóżka, i do młodej dziewczyny, która siedzi przy tamtej na fotelu. Potem zamyka oczy, aby Anisia nie karmiła jej kleikiem. Udaje, że śpi.

— Niech babcia już da spokój!

— Dobrze, dobrze, Nitie. Babcia da spokój. Ale ona na pewno umarła.

— Mówiłam babci, że Siostra Beata...

— Dobrze, dobrze...

— Ani z gruszki ani z pietruszki tak sobie by umarła?

— Była młodsza ode mnie, i wydawała się zdrowsza, Panie świeć nad jej duszą...

— Babcia taka uparta, co z babcią począć!..

— Babcia wie, co mówi, Nitie. Dlaczego by się ze mną nie pożegnała? Dlaczego Beata zabrała jej rzeczy z szafy,

a nie córka? Babcia wie, co mówi, moja głupia Nitie. Oj, oj!..

— Przepraszam — odzywa się Pola po niemiecku — czy to druga klasa?

Nitie podbiegła do niej: — Trzecia, proszę pani. Jedyny pokój trzeciej klasy tylko z dwoma łózkami, ale tu nie dałoby się wstawić więcej łóżek.

Pola przedstawia się, podaje jej rękę: — Moja siostra nie zna niemieckiego — wyjaśnia — a co dolega babci?

— Ach, babcia złamała nogę osiem tygodni temu. Ledwo zdjęli gips, jak dostała krwotoku. Biedna babcia zupełnie chodzić nie może. Dlatego kaprysi.

— Kaprysi-kaprysi — przedrzeźniło echo zza pierzyny. — Oj, oj!...

Siostra Albina potwierdziła także: trzecia klasa. „Jak to jednak miło, że one ten pokój ofiarowały na przedsiwonek śmierci” medytuje Pola, i powtarza wielokrotnie: ładnie.

Urodę i przestronność pokój zawdzięczał ośmiobocznemu wykuszowi, który wbiegał oszklonymi ścianami w sam środek wierzchołków drzew. W wykuszu mieścił się swobodnie duży owalny stół i cztery krzesła. Masywne, staroświeckie, a ze stołu zwieszała się frędzlami serweta. Architektoniczny przydatek, uniesiony stopniem ponad poziom podłogi, pozbawiał pokój właściwy jednej ściany, utrudniając szpitalne wykorzystanie przestrzeni. Pola jest jednak pewna, że pod zarządem Siostry Urszuli nie byłoby tu szafy, ani tych świeckich mebli, a już zwłaszcza tych trzech grubych foteli; na jednym z nich przesiaduje Nitie, i wówczas jej wąska spódniczka obsuwa się do połowy ud. Wzglówia dwóch łóżek patrzyły na świat za oknami, przecinając się spojrzeniem pod kątem prostym, każde na inny krajobraz. W panoramie Poli stroszył się rozłożysty czub kasztanu, i dwa strome wierzchołki topoli. Za nimi był już tylko czas. Leciwały obłoki, przesuwano się słońce, nadciągały zmierzchy i chmury, czasem bledziutki błękit rozjaśniał się w szafir, najczęściej biel ustępowała nowej bieli. Polę interesowały drzewa. Nigdy nie była tak blisko koron i gniazd. Gniazda były stare, puste. Ale na gałązkach huśtały się ptaki, obgryzając pracowicie jeszcze uspiwone pączki. Gile trzymały się parami: dwa, cztery i Pola nie mogła się nadziwić, dlaczego te względnie duże i jaskrawo opierzone ptaszki zauważa najpierw słuchem, po miłym, melancholijnym fletowaniu, zanim odszuka je wzrokiem, nieruchome,

jakby od dawna były. Dzwonice nadlatywały stadami, w różnym stopniu zielone i kłótlive. Od czasu do czasu zatrzymywała się w przelocie sikorka, zawołała przedwcześnie po wiosennemu, i jakby zdziwiona samej sobie, pokręciwszy główką, spadała w dół. A raz, na samym-samym szczycie topoli usiadł niebiesko brunatny kowalik, podparł się szerokim ogonem, i z dziobem, wyjątkowo dla swych typowych obyczajów zadartym w górę, śpiewał. Długo nie odlatywał, tak że Pola zdążyła wstać, i stać obok Anisi i Nitie przy oknie, i patrzeć, jak pulsuje mu białe gardziołko; był tuż.

— Pamiętasz? Tyle ich tam u ciebie w lesie było...

— Czyż tak — odpowiedziała Anisia.

Czas słoneczny i czas Poli rozłączyły się, rozminęły, pracowały w przeciwnych kierunkach. Pierwszy wydłużał dnie, drugi je skracał. Rozwożoną o 6-ej rano kawę piła w półmroku, ale nie trzeba było już zapalać świateł. Potem zapadała w nową drzemkę. Przed siódmą pukała folksdojczka z Łodzi, i pytała, czy Pola chce do kaplicy. Pola chciała. Przeczesywała się byle jak, siadała na wózek, i dawała się pchać. Po drodze dołączyła do nich gromadka z innych sal, czasem jeszcze jakiś fotel na kółkach. Zjeżdżały windą na pierwsze piętro, i sunęły korytarzami oddziału położniczego. Za ostatnim zakrętem był korytarz pierwszej klasy. Widocznie tu budzono później, bo przed drzwiami stały zawsze jeszcze z nocy wazon y kwiatów. Dla nich zwalniały, pokazując sobie co piękniejsze bukiety. Pola to lubiła, prosiła czasami, żeby dały jej powąchać jakieś specjalnie apetycznie wyglądające róże, albo koszyk konwalii. Lubiała także nabożeństwa, zapach kadzidła, ciepłe brązy w migotaniu świec i dzwoneczków, pochylone pod koronetami profile sióstr i ich melodyjne półgłosne pacierze. Nie, nie ulegała iluzji, że łagodny nastrój jest spływającą na nią łaską z Nieba. Brała pokornie to, co dostawała, nie nazywając innym imieniem.

Między powrotem i śniadaniem było około półtorej godziny. Częściowo był to czas spotkań. Folksdojczki z Polski, których dużo było w tym okresie na oddziale radowym, spacerowały lub zbierały się na ławkach korytarza-deptaka. Mówiły po polsku lepiej-gorzej, jedna wcale, ale i ta twierdziła, że lubi Polę słuchać. Pola jednak mówiła już niewiele, i nie to, co trzeba. Kiedy na przykład żałowały, że nie zna Łodzi, odpowiadała, że podobno Łódź była najbrzyd-

szym miastem w Polsce. Zgorszyły się, zafrasowały, toczyły po sobie wybałuszonymi oczami. Takie wspaniałe miasto, całą noc dzwoniły tramwaje, tyle życia, tyle świateł, kto mógł takie coś wybajdurzyć, że brzydkie miasto!..

— Chyba przed tym, nim premier Składkowski kazał wszystkie domy otynkować i pomalować na kolor kremowy — domyśla się któraś.

Wymieniają jakieś cukiernie, fryzjernie, westchnienia, jakieś adresy, jakieś daty... Jak tu żyją? Sama widzi, jak żyją! Jedna mówi:

— Są od nas tacy, co tu bardzo dobrze żyją... Kto miał pieniądze na drogiego adwokata, dostał od rządu odszkodowanie. Kto nie, czeka. Aż go święta ziemia przyjmie.

— Choćbym miała tyle pieniędzy — pokazuje kobieta o nazwisku Wilhelmczyk — oddałabym je wszystkie za tamte czasy!

— Za swoje młode lata każdy by oddał. Pani Wilhelmczyk, nieże! by jeszcze było mężczyznom w głowie pozawracać, nie?

— Cha-cha... He-he... Chi-chi-chi...

Takie babskie gadania, same głupstwa. Pola się dziwi, że jej to trajlowanie sprawia coś w rodzaju przyjemności, a jeszcze mniej wie, czego się spodziewają po niej, czyhając na jej wózek, i zatrzymując pytaniami o zdrowie. Nawet tej najłatwiejszej, kulinarnej, platformy z nią nie znalazły, bo stanowczo odżegnała się od barszczu z łązankami i kapuśniaku z pęczakiem. Wzruszyła ramionami: po raz pierwszy słyszy! Oczywiście, mogłaby i o kurczętach po polsku, i o mizerii, i zrazach w śmietanie, ale każda nazwa potrawy sprawia jej teraz przykrość, już i tak za dużo jest tego mówienia o jedzeniu z Anisią.

Siostra Albina, przebiegając kiedyś mimo ich grupy, zawołała:

— Jak się ma bebi?

Porównanie starej Poli do dziecka było w sposób oczywisty niedorzeczne. Utrafiało jednak jakoś w sytuację. Ranne rozmowy nad jej wózkiem, pół po polsku, pół po niemiecku, mogły przypominać, czego nie mogła pamiętać — rozmowy nianiek w Schönbrunnie, czy w Ogrodzie Saskim.

Raz tylko jeden dała wciągnąć się w temat. Kobiecie śnił się pies.

— Pies to przyjaciel.

— To był nasz pies. Biegł jakby polem, a ja nie mo-

głama go zawołać, bo zapomniałam, jak się nazywał. Niech pani pomoże. Nazywał się tak zwyczajnie po polsku.

— Burek?

— Nie Burek.

— Filut, Łatek...

Wszystko nie. Ani Ciapuş, ani Bobik, ani Łazik, ani Zagraj... Pola aż zmarszczyła brwi: — Cezar?

— To był zwyczajny pies ze wsi, proszę pani. I nazywał się też zupełnie zwyczajnie.

— Lord?

— Lord! Och, kamień mi spadł z serca... Że też ja mogłam zapomnieć!

Po powrocie z naświetlań Pola zazwyczaj już zastawała Anisię, już zajętą. Odnawiała bukiety, szperała w biblioteczce.

— Włóż dzisiaj tę koszulę, ta ładna! — Rozpocynało się mycie, czesanie, Anisia chciała nie zauważać, jak bardzo Pola jest wyczerpana. Daj, zrobię ci jeszcze pedicure! Poperfumuj się, Pola! Chociaż usta, Poola, proszę, nie bądź nudna! Nie, nie tę kredkę bierz, a tę jaśniejszą! Nie złość się, Pola, taka wieczna z ciebie złośnica, ja ci sama pomażę oczy! No, teraz; patrz! Lepiej się czujesz, sama widzisz, że lepiej?

Pola patrzyła w lusterko, przytakiwała, że lepiej, i obusowała się w bezbarwną drzemkę. Anisia tymczasem rozkładała się na stole z przyszykowywaniem surówek. Pola ich jeść nie chciała, poza kwaszoną kapustą nic jeść nie chciała, ale na punkcie surówek Anisia była równie nieustępliwa, jak na punkcie przystrajania Poli. Przychodziła Nitie, czesała babkę, wycierała mokrym ręcznikiem jej twarz, i dyskretnie zabierała zęby staruszki do mycia. Pola chciała jej nie raz powiedzieć, żeby umyła babce nogi, ale po trosze z osłabienia, a po trosze ze względu na Anisię, odkładała tę rozmowę na później, licząc i na to, że a nuż staruszkę ta noga zaświerzbi, i Nitie sama zobaczy, co z tymi nogami naprawdę się dzieje. Widocznie jednak noga nie swędziła w dzień, albo pani Jak-jej-tam oszczędzić chciała wnucze, czego nie oszczędzała Poli. Pola powiedziała raz Beacie: „Umyjcie wy jej te nogi, i dajcie coś na swędzenie!” Czyż Beata zresztą sama nie widziała tych nóg, gdy codzień naciągała na nie grube białe pończochy przed sadzaniem staruchy na wózek? Ale odpowiedziała, że nie ma czasu, i to było prawdą. Siostry zakonne dyżurowały od 6-ej rano

do 9-ej wieczorem, było ich za mało, na tym oddziale jedna. Świeckie pielęgniarki miały dyżury tylko po osiem godzin, ale i ich nikt nie widział nigdy na krześle. Oddział był przepełniony, już nawet tę część korytarza, którą poszerzał ryzalit w przestronny prostokąt, z oknami wzdłuż grzebienia attyki, zmieniono na salę z dwudziestu łózkami, przechodnią, bo inaczej nie można było. Personelu jednak nie przybywało. Więc Beata zrobiła tylko tyle: Przyniosła słoik z maścią, i krzyczała (nie wiadomo zresztą dlaczego, bo pani Jak-jej-tam miała słuch dobry): „Niech pani powie wnuczce, żeby wymyła pani nogi i natarła tym kremem! Niech wnuczka wmasuje pani krem w nogi!” Spod pierzyny zabełkotało dwukrotne potwierdzenie przyjęcia instrukcji, i na tym się rzecz skończyła. A w nocy wzdychania i jęki ściągały Polę z posłania. Przysięgając sobie, że jutro rozmówi się z Nitie, drapała nogę po ciemku, brzydziłaby się na to spojrzeć, od samego dotyku zbierało jej się na mdłości, takie skorupy czuła pod palcami.

„Błogosławiona moja, święta, Aniele dobry, łasko miłosierdzia, królowo...”

„Niech pani spróbuje zasnąć” przerywała te modlitwy Pola, niepewna do kogo są skierowane.

„Spróbuję, Aniele. Kwiatku biały, gwiazdeczko złota, perło...”

Czasami Anisia nie wychodziła na obiad. Wystarczyło jej to, czego nie udało się wmusić w Polę, a Pola uciekała się coraz częściej do zaciskania zębów, i odwracania głowy do ściany. „Pola znowu nie chciała dziś jeść” skarżyła się wtedy Anisia wchodzącemu Jakubowi, a Jakub zdawał się podwójnie niezadowolony, i z wiadomości, i z tego, że zastał Anisję. Siedział przy łóżku zasępiiony, odpowiadał z roztargnieniem obu siostram, robił wrażenie, jakby miał coś ważnego do zakomunikowania żonie, tylko żonie. Ale, kiedy Anisi nie zastawał, albo wypłoszył ją, nie mówił także nic. Nic takiego, co Pola przypuszczała, że chciałby powiedzieć. Nawet wtedy, gdy przestała już się silić na udawanie, gdy milczała. Głodził jej rękę, zapominał się, brał za puls, znowu głodził. Pola stwierdzała spod oka, że jest jak zawsze starannie ogolony, ostrzyżony, a kłapa marynarki, na której zauważyła niedawno plamkę, jest znowu czysta. W tym czasie Nitie żegnała się z babką, później z nimi, podaniem ręki. Pola myślała wtedy, że gdyby nie Jakub, powiedziałaby jej o tych nogach. Zaczynała się niecierpliwić,

kiedy Siostra Beata przyniesie termometry. Jakub wychodził po sprawdzeniu jej temperatury. Nie potrafił się kontrolować, i często wielokrotnie zerkał na zegarek; także czekał. Na odchodnym chwyciła go za ucho, i zmuszała, by spojrzał jej w oczy: „pamiętaj Kubuś!” Nie wiedziała, co miały znaczyć jej słowa, a więc i on nie mógł wiedzieć, lecz wydawało im się za każdym razem, że oszukując siebie wzajemnie, nawzajem się rozumieli. I oboje byli wzruszeni.

Zaczynała się pora wizyt lekarskich, zastrzyków, opatrunków. Pola nie lubiła, gdy Anisia była obecna przy tych zabiegach. Lubiła teraz pofolgować swojej niecierpliwości, a krępowała ją myśl, że Anisia tłumaczyć sobie będzie jej zachowanie przyrodzoną, rzekomo, kłótnością. Obiektem irytacji Poli byli zwłaszcza młodzi, praktykujący lekarze. Do nich należały igły. Żyły Poli chowały się od nadmiernej kłucia, a młodzi lekarze nie mieli dostatecznej wprawy. Więc protestowała sykiem, a nawet krzykiem, i nieraz kończyło się na tym, że wyganiała praktykanta z pokoju: „Dość!” Siostra Albina ze współczuciem wysłuchiwała jej zażaleń, sprawdzała, że Pola jest spocona, pomagała zmieniać koszulę. Potem zjawiał się doktor Weber, robił zręcznie zastrzyk i dawał coś na uspokojenie. Bunt się opłacał. Chodziło więc tylko o to, żeby nie robić scen przy Anisi. „Idźże do kina jakiego, przejdź się po mieście! Tyle lat nie byłaś w Europie i nic cię tu nie bawi? Idźże, Anisia, zobaczysz, jakie tu śliczne muzea, sama się rozchorujesz od sterczenia tutaj!”

Jeśli Anisia wychodziła, wracała jeszcze raz wieczorem. Najczęściej jednak upierała się, i zostawała. („Co ci szkodzi, Pola, że sobie tutaj siedzę przy oknie? Ty sobie śpij!”) O zmroku wracały wrony na cmentarz. Leciwały ukosem po dwie, trzy, w nierównych odstępach na tle ciemniejącego szybko od strony południowej nieba. Na ich krakanie Pola budziła się z drzemki. Anisia wpinała druty w robótkę, i schodziła od stołu na fotel przy łóżku. Światła nie zapalały, bo obie chore wołały leżeć po ciemku. Pola patrzyła na ekran za oknem, a Anisia w twarz Poli. Czasami Pola prosiła: „opowiedz coś!” Widocznie jednak Anisia była sama zmęczona, bo po pytaniu „co?” zapadało długie milczenie. Wiatr poruszał gałązkami przy szybach. Czarno-fiołkowymi przy pogodzie, niebieskawymi od światła z dolnych pięt, gdy spadł nowy śnieg, z kryształkami w kolankach — w odwilż, w złotym pyłe — w mżawkę. Deszcz zaczynał rzad-

ko od tej strony, a okapy od hełmu nad wykuszem broniły szyb. Pojedyncze krople, które zarzucił wiatr, błędziły po szkle powoli, z namysłem wybierając dalszą drogę, i haftując nowe wzorki pod pejzaż z gałęzi. Czy dlatego, że zapadanie nocy odpowiadało tempem i tematyką Poli, czy też odyskiwała o tej porze trochę ochoty do życia, dość, że przyglądała się temu z najwyższym zainteresowaniem, jak się patrzy na emocjonujący film.

— Co tam widzisz? — niepokoi się Anisia, kiedy Poli zaczynają drgać mięśnie koło nozdrzy.

— Ładnie. — Głos Poli jest jasny i zdrowy. — Ach, jak ładnie!

Wówczas Anisia zaczyna opowiadać. Są to wspomnienia, komponowane w zabawne anegdoty, pełne ciekawych szczegółów, daleki kraj obrasta w krajobrazy, zaludnia się, ożywia imionami, aż niby to niechący, niewołany — nieproszony, zjawia się Marcin. Anisia lepi jego kukiełkę szybko i zręcznie, z podobieństwa i nieprawdopodobieństwa, ubiera w szmatki-łatki i kłuje morderczymi sztychami. Potem, jakby się bała zostać przyłapana na gorącym uczynku czarnoksięskich praktyk, odbiega do innego tematu, zacierając ślady, wpada w wesołość, pobudzoną innym wspomnieniem. Lecz okazuje się, że zła kukła Marcina zastawiła tu na nią nową zasadzkę, zagradza groźnie drogę, i Anisia broni się, kopie ją, bije z furią, niszczy.

Pola się śmieje, ale nigdy nie przytakuje.

„Jest już niezdolna współczuć komu innemu, a tylko sobie” myśli Anisia. „Biedna, biedna Pola”.



Ktoregoś rana spostrzegła w kaplicy Annę. Po nabożeństwie Anna przeciska się do niej, witając potokiem niemieszczących się w kolejności słów. Więc pomaga sobie mimiką, i jednocześnie współczuje wyglądowi Poli, i ożnajmia, że jutro wraca do domu, wzrusza ramionami, i macha z rezygnacją ręką. Na „piątce” po odejściu Poli rej wodzą żdziry, ma dość wysłuchiwania ich sprośności. Próbowała kilkakrotnie odwiedzić Polę sama i z innymi, ale zawsze siostry odganiały je z korytarza. Więc jak to z nią jest?

Pola referuje oficjalną wersję. Musi wziąć 30 röntgenów i 60 radogodzin, to ją osłabia, ale jest konieczne.

Anna wzdycha. O tylu rzeczach miałyby jeszcze z Polą

do porozmawiania!.. Pola uśmiecha się i milczy. Udaje, że nie rozumie porozumiewawczych spojrzeń, namawiających ją do odesłania eskorty. Oczywiście, mogłaby pchanie wózka powierzyć Annie, lecz woli, żeby było tak jak codzień. Więc Anna mówi jeszcze tylko, że Frau Krautman leży w pooperacyjnej z płytkami metalowymi w brzuchu, ruszyć się nie może już przeszło tydzień, strasznie cierpi. Pola sięga do portmonetki, wyjmując banknot dziesięciomarkowy, i prosi, czy Anna nie mogłaby za to kupić jutro przed wyjazdem jakichś cukierków dla pani Krautman?

— Albo... Tak będzie lepiej! — Pola cofa dziesięć marek i daje dwadzieścia. — Niech jej pani szepnie, że to ode mnie na papierosiki, dobrze?

Przykro jest patrzeć za odchodzącą z niczym Anną. Na pożegnanie zrobiła gest, wyrażający chęć jej uściskania, ale wysoka góralka, do takich karesów nienawykła, pochyliła się tylko tyle, by spojrzeć Poli w oczy.

— Nu, do zobaczenia.

Epizod z Anną miał epilog z Anisią.

— Jeśli go kochasz, to napisz do niego, że go kochasz, i chcesz do niego wrócić — mówi Pola bez wstępów, bez chęci, a z wewnętrznego przymusu. Wróciła z naświetlania, trzęsie ją zimno, morzy zmęczenie.

Anisię zakreśliło, omal nie wytrąciła miski z rąk Nitie, chociaż miały się na przestrzeni, na jakiej można by manewrować i małym autem.

— Myślisz?... Sądzisz?...

— Sądzę, że tak powinnaś zrobić. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, nie będziesz sobie miała nic do wyrzucenia.

— To może ja bym zaraz napisała?

— Możesz zaraz.

List, który napisała Anisia, bardzo się Poli nie podoba. „Nie każde wiarołomstwo musi się kończyć rozwodem”. „Przebaczę ci dla dobra naszego dziecka”. „Wiem, że jej nie kochasz, czy sądzisz, że za pieniądze kupuje się szczęście?” Było to wszystko okropne, fałszywe, zdumiewająco trywialne. Ale Anisia siedziała z tym listem w ręku na fotelu przy łóżku, czekając, nie wiadomo jak długo, aż się Pola obudzi, a teraz patrzy na nią z wyrazem pokornej niepewności, więc Pola mówi tylko: — Czy ja wiem? Ty go musisz znać lepiej — i ułożywszy się do nowej drzemki, podczas gdy Anisia wkłada płaszcz, by zaraz wysłać list

ekspressem, pociesza się myślą, że to nie przed nią zapalały się same żarówki i wygładzały w sukno kamienie, że więc nie jej radzić w miłosnych sprawach.

Przez dwa następne dni Anisia opowiadała ładnie o swoim domu, o kwiatach, które hodowała w ogrodzie, o lasach eukaliptusowych, lotach nad pustynią, farmie ich przyjaciół, do których dojazd jest tylko helikopterem. Ale na trzeci dzień mowa już tylko była o przebijaniu się łokciami, intrygach, okrucieństwie, jadowitych węzłach, bakteriach tężca, trujących roślinach, wyschłych jeziorach i nudzie.

Reakcja Marcina wprawiła Polę w niemniejsze zdumienie, niż list Anisi.

Oddepeszował: Nienawidzę cię. Pola nie mogła sobie wyobrazić, jak mężczyzna może wejść do urzędu pocztowego, poprosić o blankiet, napisać takie dwa słowa, wypisać adresy, zapłacić, może pogawędzić wesoło z urzędniczką... Chyba rzeczywiście zdziczeli we współżyciu z tymi telefonami i telegrafami.

— Trudno — oddała telegram Anisi.

— Teraz sama widzisz. Nie pozostaje mi nic innego jak wyjść za Tadeusza.

— Musi ci przecież dać jakieś alimenty?

— Co mi po alimentach, Pola?

— Musisz myśleć praktycznie. Przykre to, ale konieczne. Masz zresztą córkę. Jakiego masz adwokata, Anisia?

— Co mi po alimentach? Przestanie mi przysyłać, i co? Będę szukała pieniędzy na procesowanie? Mój adwokat żądał 20 tysięcy funtów od razu, raz, i adieu! Stargowali na 15-cie.

— Piętnaście tysięcy funtów to są bardzo duże pieniądze.

— Nie takie, jak się tobie zdaje. Dlaczego wstajesz, Pola?

— Będę się dziś sama myśla!

— Lepiej się czujesz?

— Lepiej.

— Funt australijski ma mniejszy kurs, niż angielski. Poza tym wchodzi w to część utrzymania Halinki do osiemnastego roku życia; on będzie zwracał za szkołę i internat.

Zza parawanu przez szelest wody Pola powtarza: — To są bardzo duże pieniądze.

— Ależ ona jest córką właściciela kopalni, wyobrażasz

sobie?! Jak się Lena dowiedziała o tych piętnastu tysiącach, od razu powiedziała: „Ależ dałaś się tanio wyslizgać!”

Pola wraca do łóżka, i kategorycznie odmawia kosmetycznych zabiegów. Anisia nie wycofuje się jednak od razu:

— Chociaż usta, Pola, troszeczkę! Daj, sama ci pomażę... Fe, tyś mnie naprawdę uderzyła, powiedz, że nie chcący?

— Niechcący. Przepraszam. Ale ja naprawdę nie chcę dziś tego malowania!

— Przyniosłam ci świeżego ogórka, utrę z cytryną i żółtkiem.

— Też nie chcę. Gdybyś brała alimenty, to byś je straciła z chwilą ponownego wyjścia zamąż

Anisia odkłada kredki, przysiadła się koło łóżka. Wzdycha:

— Gdybym ja umiała chociaż szyc na maszynie... Myślałam, kupię dom w Anglii, będę wynajmować.

— Za te pieniądze możesz kupić trzy!

— I co, Pola? I latać po schodach ze szczotkami od rana do nocy, i czyścić po lokatorach łazienki, i denerwować się na nieporządki w klozetach, i sądzić ludzi po plamach na podłodze? Siostra Leny ma taki dochodowy dom w Londynie, obiecała mi pomóc przy kupnie i tak dalej... Ale dla niej kulturalny człowiek, to taki, co cicho drzwi zamyka, wyciera nogi przez pięć minut nim stąpnie na podłogę, gasi światło o dziewiątej, kąpie się rzadko i krótko, nie przyjmuje gości... Wiem, Tadeusz u niej mieszkał. Nie, Pola. Ja nie chcę na starość zmieniać się w megerę. Dużo od życia już nie żądam, bo nie mogę. Niech będzie tyle, żeby gotować i sprzątać tylko dla własnej rodziny. No, śpij, kochana moja! Jestem wstrętna, że cię takimi głupstwami zamęczam. Śpij.

— Tyle miałaś talentów, Anisia...

— Wymyśl mamy. A nawet gdyby były pieniądze, co dziś bym robiła z dyplomem szkoły dramatycznej? Śpij.

Pola miała na myśli inne talenty Anisi. Ową delikatność, wrażliwość, naturalną dystynkcję. Wszystko, co Pola musiała pojąć, wymusić na sobie, przebierać jak groch: to powinnam, tego nie powinnam, Anisia, dawna Anisia, wiedziała bez lekcji i bez zastanowienia. Była w sposób tak samo odruchowy szlachetna, jak niezawodny był jej gust. „Księżniczka” mówiły o niej służące, kiedy o Poli „bachor”.

— A jaki jest ten twój Tadeusz?

— Twierdzi, że był przystojny — odpowiada Anisia już zza stołu. — Masz teraz odpoczywać. Śpij.

Anisia karmi Polę jak dziecko. „Jeszcze jedna łyżka, jeżeli mnie kochasz”.

Przy kompocie Pola prosi: — Anisia. Zostań z Jakubem. Trochę nim się zajmiesz, a on pomoże ci wychować Halinkę. On tak lubi dzieci, ja nie mogłam urodzić, wiesz... Zostań z Jakubem, po co wychodzić za mąż bez miłości.

Anisia mimowoli musiała pomyśleć, że Jakub po śmierci Poli ożeni się po raz wtóry, kto wie, czy nie z tą samą ładną asystentką, która od paru tygodni wystukuje mu wieczory obcasikami wysokimi na pięć cali. Myśl jest przykra, więc Anisia prawie krzyczy:

— Co ty knujesz, Pola! Nie wolno ci, słyszysz!? Musisz chcieć żyć! Musisz chcieć wyzdrowieć! Powiedz zaraz, że chcesz!

Na tę scenę wchodzi Jakub z wizytą wcześniejszą niż zazwyczaj.

— Powiedz jej — zwraca się do niego Anisia — żeby nie rozmyślała o głupstwach. Ona od dziecka miała taką makabryczną fantazję, ciągle sprawiała pogrzeby to zdechłym kretom, to myszom, to wróblom. A ja musiałam iść za nią w orszaku, modlić się i płakać.

Anisia nawet pokazuje, jak Pola z odrzuconą w tył głową, zmarszczona, niosła na wyciągniętych rękach trumnę z pudełka, i Pola podziwia, jak ona świetnie umie w paru gestach wszystko pokazać. Jakub jednak nie okazuje zainteresowania.

— Przyszedłem wcześniej — mówi do Poli — bo mam zaraz spotkanie z doktorem Schulzem. Pamiętasz go? Więc zrezygnował z docentury i pracy w naszym szpitalu, otwiera własną klinikę.

— Już kiedyś o tym mówiłeś.

— To był projekt, a teraz jest fakt. Dr Schulz proponuje mi stanowisko naczelnego lekarza. Dla siebie rezerwuje chirurgię serca, co go najbardziej pasjonuje.

— Na jakich warunkach?

— Będziemy omawiać. Z góry jednak wiadomo, że połączone by to było ze zrezygnowaniem z mojej prywatnej praktyki.

— No, a ryzyko, że ci się praca z dr. Schulzem nie ułoży?

— Znam go dość dobrze, a on mnie. Poza tym w ta-

kiej prywatnej, drogiej klinice wyrabiam sobie także nazwisko. W klinikach uniwersyteckich nie tylko mniej płacą, ale pracuje się ad gloriam profesorów. Więc jak myślisz?

— Myślę, że w każdym razie to wielka przyjemność, że on cię taką propozycją wyróżnił. Zawsze wiedziałam, Kubuś, że ty masz skromniejsze o sobie wyobrażenie, niż inni, co cię znają. Resztę trzeba skalkulować z ołówkiem w ręku... — Połę ogarnia strach, że Jakub tu może wrócić za parę godzin, i zechce, by mu pomagała w tych kalkulacjach „z ołówkiem w ręku”. Dodaje więc: — Nie ociągaj się, Kubuś. Jeśli propozycja będzie pojętna, przyjmij!

— Śpieszę więc. *Cum grano salis* — uśmiechnął się nad czołem Poli, szukając w jej oczach aprobaty. Uszczypnęła go w ucho:

— Jesteś wielki, Kubuś.

Po wyjściu Jakuba Anisia zauważyła: — On mnie nie lubi.

— Jakub mnie skraca, rozumiesz: skracanie ułamków. Redukcja do najprostszej formy. Jakub stworzył sobie mój syntetyczny wizerunek, i nie lubi niespodzianek. Pogrzeb kreta! To nie pasuje do fotografii tej idiotki, która się śmieje na jego biurku.

— Nieraz myślałam, że jednak małżeństwo z Jakubem nie było dla ciebie dobre.

— Bo Żyd?

— Już się nastroszyłaś. Nie o to chodzi, że on Żyd, tylko że ty masz na tym punkcie kompleks.

— Ja też jestem Żydówką.

— Po mojemu nie. Ale mniejsza z tym. Chcesz, to sobie bądź, mnie to na pewno nic nie szkodzi. Szkodziły mnie i tobie różne kompleksy. Kompleks teatru. Przez ile to lat ja się wstydziłam, że mama była aktorką! Kompleks ubogiej krewnej. Tyś go nie miała, ja — tak. Kompleks śpiczastych kolan. Przecież te wszystkie krewne ojca nigdy nie powiedziały „ładne dziewczynki”, albo „jakie długie nogi” tylko: „co za śpiczaste kolana!” Nie pamiętasz? Nie pamiętasz, jak wyszliśmy wystrojone, trzymając się za rączki, i dygnęłyśmy tak ładnie, jak nas wyuczyła mama, a ta jakaś Ciotka Ela, którą skądś licho przyniosło, przysiępiła się na nas przez lorgnon, i „droga Maniusiu, dlaczego je tak kuso ubierasz, one mają takie straaasznie śpiczaste kola-

na!” Na prawdę nie pamiętasz?... Widzisz, Pola, tyś była mądrzejsza. Dla mnie to był koszmar na kilka lat. Śpiczaste kolana — bałam się, że na nich są te szpice, których ja nie widzę. Wstydziłam się, zawsze starałam stanąć z tyłu, gdy ktoś nowy wchodził, a potem cierpiałam męki, kiedy mnie wyciągano zza mamy spódnicy. Byłam pewna, że wszyscy litują się nad moimi kalekimi nogami.

— Wszyscy myśleli, że jesteś po prostu nieśmiała. Ja mówiłam, żeś tchórz.

— I miałaś rację. Ciągłe się czegoś bałam. Ciebie także. No, może byłam trochę nienormalna, przyjmijmy.

— Byłaś chorowita.

— Przyjmijmy. Wiesz, kiedy byłam naprawdę szczęśliwa? Po śmierci ojca.

— Która godzina, Anisia?

— Dopiero wpół do pierwszej. Męcę cię?

— Ależ nie! Chcę tylko, żebyś się nie spóźniła na obiad.

— No, a biedna babcia ze swoją niemożliwą endeckością...

— Ja ją bardzo kochałam — zastrzega Pola.

— Ja także. Ale to tylko pogarszało naszą sytuację.

— Moją — poprawia Pola z naciskiem.

Anisia przeczy głową, ale milczy. Jaka z tej Poli straszna egoistka! Bałowała sobie w najlepsze, kiedy babcia w wynajętym „przy rodzinie” pokoiczku dożywała ostatnią i ostateczną swoją samotność. Mama się usprawiedliwiała dobrem Poli, i planami na przyszłość, których babcia nie dożyła. A Pola wyobraża sobie, że to ona była ofiarą.

— Wiesz — mówi, skubiąc chusteczkę — ja się boję polegać na Halince. Myśmy były na pewno bardziej uczuciowe niż ona, a jak mało nawet wiemy o babci i mamie... Więc jakiej wyrozumiałości mogę się spodziewać po Halince, która od dziecka wolała boksować się z Marcinem na dobranoc, niż popieścić ze mną?

— Nieraz sobie myślałam, Pola, że gdybym znała ich losy, mogłabym jakoś swój własny wywróżyć. Będziesz się ze mnie śmiała, ale mi się wydaje, że ja, mama, i babcia ciągniemy za ten sam niewłaściwy koniec. Babcia była endecką... Od kiedy? Czy dlatego, że wyszła za mąż za Rosjanina, co nie mogło być dobrze widziane?... czy dlatego, że się mama rozkochała w Czechowie i uciekła z domu z jakąś wędrowną trupą czechowską? czy po jej wyjściu za mąż za twego ojca?... Nic nie wiemy, Pola, nic.

— Oprócz tego, co nam mówiła mama.
— Interesowałyśmy się za mało.
— Może to lepiej — Pola wzrusza ramionami. —
Mnie się zdaje, że nasz dziadek nie był żadnym Rosjaninem.
Nazywał się Bielski. Konstanty Antonowicz — niczego nie
przesądza. Inżynier kolejowy. Wielu Polaków budowało w
Rosji koleje i robiło na tym majątki. I wielu zostało później
wymordowanych jako burżuje.

— Czy masz jeszcze jakieś dane na poparcie swego przy-
puszczenia? — W głosie Anisi słychać urazę.

— Nic prócz zamięłowania mamy do mitów. Między rze-
czywistością a fantazją mama zawsze wybierała fantazję.

— Ty nie lubisz mamy, Pola; dlaczego?

— Dziecinna jesteś.

Teraz Anisia patrzy na zegarek, i Pola ubolewa, że ją
uraziła.

Anisia ubiera się, zbiera do wyjścia. Całuje Polę:

— Może ja dziś po obiedzie pobiegam trochę za spra-
wunkami, chcesz?

— Naturalnie, Anisia — i Poli jest smutno, że widocz-
nie Anisia ma jej wreszcie dość. — Jakub tu chyba wpad-
nie koło trzeciej, przyjdź koło piątej, a może pójdziesz raz
do kina?

Anisia zawraca od drzwi, i jeszcze raz całuje Polę: —
Bardzo cię kocham, wiesz? Uściskaj mnie mocno! Nie tak.
Porządnie. Mama mówiła, żeś ty się wdała w mego tatę.

— To chyba gdy była na mnie zła — odburknęła Pola.

Ostatnie zdanie siostry poraziło Polę. Jej cichą trage-
dią było to, że zbliżając się do śmierci, czuła zanik swego
istnienia od środka, swojej duszy. Traciła wiarę, kiedy ona
była jej najwięcej potrzebna. Więc pocieszała się: Nie może
już z całą pewnością powiedzieć, że j e s t, ale uczciwie wie,
że b y ł a. B y ł a tak oczywiście i wyraźnie, że nie miały
jej się kiedyś żadne wątpliwości. A skoro b y ł a to może
polegać na tym, że j e s t jakoś się odnajdzie i zmieni w
b ę d z i e. Albo ma prawo wyobrażać sobie, że ono gdzieś
na nią czeka, podczas gdy ona zatrzymana została sztucznym
podtrzymywaniem organizmu. A teraz dowiadywała się, że
była nieświadomie kopiowanym ojczymem. W dodatku ta-
jemnica ta leżała prawie na wierzchu, zwyczajnie, jak ja-
kieś zapodziane nożyczki, które odnajdują się na komodzie.
Wiedziała Anisia, wiedziała mama. Nie wiedziała tylko ona,
choćby tylko ona знаła tę prawdę, że kochała „tatusia”,
ojca Anisi, więcej niż mamę, że w domowych sprzeczkach,

których sensu jeszcze nie mogła zrozumieć, zawsze intuicyjnie brała jego stronę. Przez całe życie była mimem człowieka, który zapewne nie mógł jej nawet lubić. Ot, i metafizyka.

Pola wyciągnęła szufladę, długo w niej grzebie, wreszcie odnalazła kopertę z napisem „Testament”. Przedziera ją i dopisuje:

Kubuś! Anisia mi nigdy nie powiedziała, że nie może dla nas poświęcić swojej miłości. Nigdy mi tak nie odpowiedziała, bo ja jej o to nie prosiłam, jak Tobie wtedy nakładałam. Powinnam jej się przyznać, bo ona nie wie, dlaczego jej nie lubisz. Powinnam Ci może także wyjaśnić, dlaczego ją fałszywie oskarżyłam. Nie zrobię ani tego, ani tego ze względu na moją pychę. Halince zapisuję mój zegarek, a Anisi bransoletkę i pierścionki. Wszystkie moje ubrania odeślij Kowalskiej do Katowic. Napisz, że prosiłam, niech weźmie to, co się jej nada, a resztę odda biednym. Na pewno tego nie robi, ale tak napisz!

Nową kopertę Pola adresuje zwyczajnie Herr Jakub Mayer, ale jej nie zakleja. W tym, co napisała, odczuwa jakiś niedostatek, coś co trzeba będzie skorygować. Jeszcze więc raz wysila wolę i pamięć. Interesuje ją słuszność.



Jada — nazwała ją Anisia, a za Anisią nazywali wszyscy, oprócz matki, która pozostała przy zdrobnieniu „Jadwinia”. Matkę Jady nazywali, wedle jej życzenia, „ciocią”.

Ulubieńcem cioci był Jakub. Anisia i Pola podśmiewały się, że ciocia zakochała się w Jakubie. Wydawała im się bardzo stara, miała czterdzieści lat. Była z tych kobiet, które uznają niekwestionowane prawa mężczyzny do najlepszego kawałka mięsa z półmiska, do rozstrzygającego sądu w kwestiach spornych, do staroświeckiej mieszaniny troskliwości z uwielbieniem ze strony otaczających kobiet. Ciocia ustaliła hierarchię: Jakub, Anisia, Pola, Jada. Dla siebie rezerwowała sobie miejsce specjalne jak gdyby po drugiej stronie Jakuba. Powód do wesołych spojrzeń porozumiewawczych między siostrami, a nawet minek Jady.

Hierarchię tę podtrzymywała Anisia. „Proszę zapytać pana” odpowiadała służącej, kiedy była jeszcze służąca, lub

komuś z „ludzi”, gdy chodziło o oferty drzewa, paszy, czy roboty w podwórzu lub w ogrodzie. Jakub prowadził interesy Anisi, administrował fabryką. Było jednak śmieszne odwoływanie się do niego w sprawach domowych. Może jednak byłoby śmieszniej mówić: „Proszę spytać mojej siostry”. Rozstrzygała i tak Pola. Anisia pielęgnowała kwiaty, chodziła z psami na spacer i jeździła do miasta.

Jada ubóstwiała Anisję. Anisia była dla niej pierwszym i jedynym autorytetem w domu. Miała siedemnaście lat, kiedy z matką zjawily się u nieznanej kuzynki. Dla Jady Anisia była wyrocznią przede wszystkim w sprawach elegancji, i prócz tego w każdej innej. Jeśli Anisia nazwała deszcz ładną pogodą, a Anisia miewała takie humory, momentalnie Jada utrzymywała, że ona uwielbia także deszcz, i wychodziły razem na spacer. W parze z kultem Anisi szło lenistwo Jady. Jakub wieczorami przygotowywał ją do matury, i Polę drażniło, że dziewczyna leni się przyszykować do lekcji, które on z nią odrabiał po dniu pełnym zajęć. Leniła się także do każdej pracy domowej. Było to przyczyną wielu scysji między matką a córką zwłaszcza, kiedy trzeba było oddalić służącą. Gospodarstwo spadło na barki Poli. Ciocia pomagała jej w miarę swoich sił i niewielkich umiejętności; Jada wymigiwała od pracy pod byle pozorem. Pola z ciocią tworzyły wtedy solidny front.

Po odejściu Anisi z Marcinem układ się zmienił. Na razie linia podziału zdawała się przebiegać w ten sposób, że po jednej stronie była ciocia i Jakub sprzymierzeni przeciw Anisi, po drugiej Jada i Pola, niepokieszone po jej stracie. Ale życie biegło twardymi wojennymi koleinami. Była okupacja niemiecka, Jakub nie pracował. Ciocia z Jadą już od trzech lat żyły na koszt Anisi. Pola z Jakubem dopiero od paru miesięcy. Mieli wprawdzie zapas złotych monet i trochę biżuterii wszytej w ubrania, w których byli przyszli, ale Anisia nie chciała słyszeć o naruszeniu kapitału na „czarną godzinę”. Miała zresztą większy za sprawą przemysłności Jakuba. Nauczony doświadczeniem, co miesiąc kupował dla niej i dla nich złote dolarowe krążki, dopóki fabryka dawała jej dochody, a jemu zarobek. Nie uzbierało się tego dużo, ale było, i Anisia nie chciała słyszeć, by mieli coś z tego sprzedawać. „Mało rzeczy niepotrzebnych jest w tym domu? A ile ja mam ubrań?! I tak to będzie niemożliwe po wojnie, a idzie teraz najlepiej. Zresztą wy nie możecie łożyć na utrzymanie krewniaczek Jerzego”.

Anisia postanowiła, wykonanie, jak prowadzenie gospo-

darstwa, pozostało przy Poli. Ona wychodziła do chłopów i bab, którzy chętnie chcieli coś z domu dyrektora kupić, czy to porcelanowy serwis, czy parę prześcieradeł, czy nawet jakiś „podchodzący” obraz. Najchętniej jednak coś z ubrania. Na pierwszy ogień poszły ubrania Jerzego, chociaż mogłyby pasować na Jakuba. Ale Jakub nie chciał. Nosił szwagra kozuszek, długie buty i bryczesy, a więc ubranie, jakby związane z okolicą i okolicznościami, więcej nic. Pola, po pierwszym zapożyczeniu się u siostry, obsprawiła się sama, skąpo i niedbale. Ciocia z Jadą były od stóp do głów ubrane w rzeczy Anisi. Mimo to zostało tego jeszcze dwie pełne szafy, i Pola z tych szaf wyciągała jakieś palto, czy sukienkę, z rozmysłem, niechętnie, a potem targowała się ząb za ząb, do upadłego. Transakcje miejscowe przeprowadzała tylko na wymianę. Kiedy trzeba było trochę gotówki, posyłała Anisę z Jadą na wileński rynek starzyzny, zwany śmiesznie „tołkuczką”. Wracały rozbawione, ale Pola kręciła z niezadowolaniem głową: „Co? Tylko trzysta rubli? Zlituj się! Toż to dziesięć kilo razowego chleba!” Anisia była zmartwiona, zwała winę na pogodę: „Mróz taki”.

„Opowiedz, Anisia, no błagam cię opowiedz, jak sprzedawałaś tę bluzkę!” skamlała Jada. Anisia się droczy, ale po chwili zostawia Poli strapienie, a sama staje po środku pokoju, i przytupując nogami, jak dla rozgrzewki, niby to czymś potrząsa: „Bluzka po tragicznie zmarłej hrabinie, raz noszona, przedwojenny jedwab!”

„A od czego ona zmarła?” Anisia naśladuje podejrzliwą babę, i pokazuje jak ta palcami szczypie materiał, ogląda bluzkę, przykłada do wypiętego brzucha, i przewraca na wszystkie szwy i strony.

„Na ospę! syknął ten kosy konkurent z barchanami”, zaśmiewa się Jada.

Anisia robi godną minę, pochyla się niby to do ucha baby, i szepcze: „Serce jej pękło, gdy po nią przyszli”.

„Znaczy sia, sercowa”.

Po odejściu Anisi Pola nadal prowadziła gospodarstwo, ale nie była pewna, czy nadal ma prawo sprzedawać rzeczy z domu. Zjawił się kupiec po kredens, i Pola go odprawiła. Dawał za mało „i w ogóle”. Potem Anisia przysłała „człowieka” z kartką po rzeczy. Nie zabierała ich dużo, prosiła, żeby wydać tylko te, które wyszczególnia. „Resztę weźcie sobie” pisała. Do kogo odnosiło się to „weźcie” nie było jasne, bo list był do „wszystkich”. Poli o tyle to roz-

więzało ręce, że mogła na razie sprzedawać garderobę Anisi na ich wspólne utrzymanie. Własność Anisi była tu bezsporna, a prawa Poli do schedy po siostrze większe, niż kuzynek jej byłego męża. Jada lubiła się jednak stroić, i Jada coraz częściej chodziła do miasta. Piechotą, bo żadnych środków lokomocji już nie było. Chyba wprosić się na spotkaną po drodze furmankę, i trząść się po koślawych koleinach, podskakiwać na kamieniach polnych, lub grzbietach płytkich korzeni sosen, co było wprawdzie oszczędnością obuwia, ale niewielką oszczędnością czasu. Wybierając się do miasta Jada coraz częściej pytała Poli, czy może sobie to lub owo z anisinych ubrań pożyczyć. Pola odpowiadała „naturalnie”, ale kiedy zwroty stawały się nieregularne, dorzucała: „tylko nie zniszcz, wyczyść po powrocie i odwieś na miejsce”.

Zdarzało się, że Jada wracała w towarzystwie. Zdarzało się także, że po powrocie zapowiadała wizytę „chłopców”. Byli to lepiej lub gorzej wychowani młodzieńcy, mniej lub więcej nonszalanccy, mniej lub więcej przystojni. Mówili o sobie „my”. Wiadomo było, że należą do „organizacji”. Pola nie miała nic przeciw tym wizytom oprócz obliczeń, że młode apetyty rujną jej kalkulacje budżetowe. Zapominała jednak o tym po kolacji, i sama także chętnie tańczyła przy akompaniamencie cioci na starym fortepianie. Jeśli zaś młodzi ludzie przychodzili z półciem słoniny i fiaskami samogonu w kieszeni, Pola nie skąpiła wysiłku, by nastrój był jak najlepszy, piekła bliny z gryczanej mąki, a także uspokajała ciocię: „Co ciocia chce! Dziewczynka ma dziewiętnaście lat, musi mieć towarzystwo, musi się jakoś zabawić. Obyczaj jest taki jak życie. W jakich to salonach miała się ta młodzież uczyć dobrych manier?”

Młody człowiek, o którym Jada długo opowiadała, zanim się zjawił, nie sprawił na nikim dobrego wrażenia. Przyniósł samogon, przyniósł wianek kielbasy. Przy stole częstował, jakby był gospodarzem. Mówił dużo, a opowiadanie jego było pełne przechwałek, żenujących wszystkich prócz Jady. W pewnej chwili powiedział:

„Są tacy, co nie potrafią rozpoznać. Ale ja mam takie oko, że choćby był blondyn, choćby z zadartym nosem, spojrzę i wiem: Żyd. Odwołuję wtedy faceta na bok, i mówię: Wiem kto jesteś, bracie, i służę ci dobrą radą. Zmykaj, żeby cię tu po godzinie nie było! I co państwo

powiecie? Nigdy nie spudłowałem. Gudłaj ulatniał się nie czekając nawet godziny”.

Zapadło krępujące milczenie. Pola widziała, jak pęczniającą żyły na skroniach Jakuba. Odłożył nóż i widelec, i ręce jego zaciśnęły się w pięści.

„A pan dlaczego nie z nami?” spytał młodzieniec trochę zbity z tropu wyrazem twarzy obecnych. Nawet Jada spuściła oczy.

„Dlatego” cedził słowa Jakub „żeby nie natknąć się na takiego gówniarza, jak pan. Pańskie oko tym razem zawiodło. I teraz ja mówię: Zmykaj, bracie, stąd i żeby cię tu w dziesięć minut nie było!”

Stali teraz na przeciw siebie gotowi do walki. Jada zaczęła histerycznie płakać: „Nie masz prawa, Jakub! Gdzie on pójdzie w noc?!”

„Ten pan jest przyzwyczajony do lasu. Las jest naokoło”.

Jakub zamachnął się, i strącił butelkę ze stołu. Wyszedł, trzaskając drzwiami. Pola rzuciła się machinalnie do kuchni po ścierkę. Słyszała przez otwarte drzwi głos cioci:

„On taki Żyd, jak ja Nefretete. Jest tylko zawziętym filosemitą. Że też nawet ta straszna wojna nie pogodziła Polaków!”

Młody człowiek coś tam bełkotał o swoim oficerskim honorze. Może ciocia miała rację, że trzeba było tak mówić. Pola odłożyła ścierkę, a zdjęła z gwoźdźnia klucz od obory. Trzeba Karej zadać paszy, podrzucić ściółki. Z obory słyszała szczekanie psów. Kiedy wróciła, w stołowym nie było już nikogo. Zabrała się do sprzątania ze stołu.

„Czy mogłabym wziąć tę brązową sukienkę?”

„Którą?”

„Tę jerseyową. Mnie w niej tak dobrze”.

„Nie” odpowiada Pola. „Tę sukienkę wymieniam na pół wieprza”.

„Nie możesz innej? To moja ukochana sukienka!”

„Dlatego że jest taka dobra dostaję za nią pół wieprza”.

Jada jeszcze stoi, czeka, że a nuż Pola przystanie na jakiś kompromis. Wreszcie odchodzi, ale zatrzymuje się przy drzwiach i mówi ze złością:

„Zupełnie nie rozumiem na co ci pół wieprza. Mamie mięso szkodzi, a ja też mogę wcale mięsa nie jeść!”

„Ale my jemy mięso”.

Może, gdyby był obok Jakub, Poli złość wyładowałaby

się w pogroźkach i złorzeczeniach. Ale Jakub wbijał kołki pod zmurzałe słupy płotu na najodleglejszym krańcu ogrodu. Pola chciała do niego biec i właśnie, w największym nasileniu gniewu, które wezbrało po wyjściu Jady, kiedy sobie rozważyła sens i intencję jej uwagi, natknęła się na ciotkę.

„Ciociu” uderzyła z całego impetu „przed chwilą Jada ośmieliła się mi zarzucić gospodarowanie nieodpowiadające interesom pań. Wobec tego proszę przyjąć do wiadomości, że od dziś będziemy prowadziły oddzielne gospodarstwa. Jakub i ja mamy swoje pieniądze. Nie potrzebujemy korzystać z tego, co należało do Anisi z tytułu jej małżeństwa”.

Starsza pani zaoponowała słabiej, niż się spodziewała Pola. Właściwie tylko tyle, ile wymagało dobre wychowanie. Pola poszła do miasta i sprzedała pierścioneł. Po powrocie odliczyła ze zwitku banknotów dziesięć czerwonych i wręczyła ciotce. „Nie jest to dużo, ale takie są ceny sublokatorskich pokoi w Wilnie”.

„Ale co ty, Pola!... Proszę cię zaraz weź te pieniądze i nie mówmy o tym!”

„Dlaczego mamusi” wtrąciła się Jada, zabierając pieniądze. „Skoro Pola nam daje, mamy prawo przyjąć. Mamusia chyba wie, że jesteśmy bez środków do życia, a dom po Jerzym jest jedynym naszym oparciem. Gdyby nam się tak udało wynająć jeszcze ze dwa, trzy pokoje!”

Na drugi dzień Pola nie wstała do dojenia krowy. Z bólem serca słuchała myczenia Karej, dochodzącego mimo naciągania kołdry pod czoło. Wreszcie ulitowała się nad jej cierpieniem. Kiedy jednak wyszła na podwórze, już koło obory stała Jada, rozmawiając z przywołaną na pomoc sąsiadką. Po kilku dniach one sprzedały krowę.

Tak więc byli teraz sublokatorami. Wzajemne stosunki chłodziły z dnia na dzień. Jadali w swoim pokoju. Jada zdała maturę na tajnych kompletach i nawet nie powiedziała o tym Jakubowi. Tylko ciocia, która przecież jakoś tęskniła za „męską opieką”, zapukała do ich drzwi, żeby podzielić się ze szczęśliwą wiadomością a także podziękować Jakubowi. „Tyle mam teraz zmartwień z Jadwiną, to jedyna dobra nowina. Boję się o nią, bardzo boję. Ale cóż? Wyrosła, i to ona teraz mi rozkazuje. Daj Boże, daj Boże, żeby ta wojna już się skończyła...”

Nie podtrzymywali tematu. Jada zachowywała się teraz

arogancko nie tylko w stosunku do Poli, na co Jakub znajdował usprawiedliwienie, ale także w stosunku do niego. Ciotka powzdychała, powspominała, jak to im kiedyś było razem dobrze, i wyszła.

Ubrania Anisi spoczywały nietknięte w szafie. Ktorego dnia Pola wietrzyła je na podwórzu. „Po co te demonstracje” warknął Jakub, przechodząc obok, gdy szcztokowała tę właśnie brązową sukienkę. Ze złości kopnął nawet szyszkę. „Ty to jesteś taka: i sam nie cham, i drugiemu nie dam”. Rosyjskie przysłowia brzmiały w ustach Jakuba tak niezgrabnie, jak cała ich sytuacja. Jakub kiedyś na przykład korzystał z przyjemnością z biblioteczki Jerzego. Musiał przestać, kiedy ograniczyli się do używania tylko swego pokoju, przedpokoju, wąskiego przejścia przez stołowy i kuchni. Rzecz jasna, że kuchni i przejścia do kuchni używała tylko Pola. W słotne dni Jakub był prawdziwym więźniem.

Potem i to okazało się za dobre. Po tym jak ciocia poprosiła któregoś wieczoru Jakuba na rozmowę, i szlochając, prosiła ich, żeby się wyprowadzili. Jada, tłumaczyła, związała się z „organizacją”. Ich dom stał się „punktem”. Ona czuwa, żeby wszystko odbywało się jak najostrożniej, ale Jakub rozumie, jakim niebezpieczeństwem dla nich wszystkich mogłaby być rewizja.

Jakub odpowiedział chłodno, że nie ma dla nich bezpieczniejszego miejsca, jak tu właśnie. „Ale skoro p a n i (po raz pierwszy użył do niej zwrotu pani) wymawia nam mieszkanie, nie pozostaje nam nic innego jak się wyprowadzić”.

Było inne wyjście. Sprowadzić z powrotem Anisję. Pola wybrała się do niej, projektując sobie całe przemówienie. „Wojna się skończy za kilka miesięcy, czy tygodni. Przecierp tę trochę dla mnie, dla nas! Dla ciebie to kwestia tylko rozłąki, niezupełnej nawet, możesz się przecież z nim spotykać, a dla nas to kwestia życia”.

To przemówienie powtórzyła później Jakubowi, ale nic z tego nie powiedziała Anisi. Zastała ich w obskurnym pokoju, do którego wchodziło się przez zagracony korytarz ze smrodem kotów i nafty. W pokoju stało tylko jedno żelazne łóżko. Ponieważ krzesel było tylko dwa, Marcin przesiadał się na to łóżko, odgarniając najpierw walające się na nim ubrania.

Jego obecność krępowała Polę. Referowała ostatnie zdarzenia rzeczowo i spokojnie. Anisia słuchała zgnębiona i

przerażona. Łamała palce, i od czasu do czasu powtarzała: „Boże, Boże...” I to właśnie Marcin odebrał Poli wstępne zdanie z jej przygotowanej inwokacji. Powiedział: „Wojna skończy się za parę miesięcy, może tygodni. Chodzi o to, żeby państwo mogli ten czas bezpiecznie przetrwać. Czy też w tym parszywym kraju nie znajdzie się jeden uczciwy człowiek?!”

„Sędzia!” wykrzyknęła Anisia. „Marcin, przecież sędzia!” I zaczęła mówić szybko i bez składu: „Pola, to prawdziwe szczęście! Myśmy go spotkali... kiedy, Marcin?.. No, dosłownie kilka dni temu. Bardzo porządny człowiek. Baaardzo! I wiesz co mówił? Żebyśmy się z Marcinem do niego przenieśli, odda nam cały dom, mówił, żeby tylko mógł nie zajmować się gotowaniem i sprzątaniami. Za miskę zupy, tak powiedział, prawda Marcin? Naturalnie nie skorzystaliśmy, my, Pola, zbieramy się do Generalnej Gubernii. Czekamy na lewe przepustki, uff! Pola, co to nerwów kosztuje i pieniędzy! My z Marcinem nie chcemy doczekać się znowu bolszewików. Ale dla was, Pola, to przecież wymarzone! Dom w lesie, taki sam jak u nas” ugryzła się w język, poprawiła: „jak u was, może jeszcze ładniej, bo rzeka. Tyle, że po przeciwnej stronie miasta. Ach, Pola, szczęście w nieszczęściu, że to wam się akurat teraz zdarzyło!... Marcin? Wybierzemy się do sędziego zaraz jutro, dobrze?... Pola, to by was urządziło, prawda? Żywność droga, ale, ostatecznie, dwie osoby, czy trzy, nie taka znowu różnica”.

Pola była zrazu uradowana, ale wracając długą drogą przez przedmieścia, potem w górę kawałkiem szosy, potem przez las za fabryczką, na przełaj przez pola aż do ich lasu, utwierdzała się w przekonaniu, że udało się raczej Anisi, niż jej. „Udało jej się wykręcić sianem” powtarzała ze złością, maskując żal, że Anisia odjeżdża sobie, porzuca ją, jakby bezpieczne schronienie było wszystkim, co Poli wolno pragnąć. Sobie nie życzy bolszewików, ale „w waszej sytuacji to najlepsze wyjście”, patrzcie ją, znalazła się lepsza!...

„No i co Anisia?” spytał Jakub tonem siłącym się, by ukryć niepokój. Wówczas Poli przypomniała się jego z Anisią przyjaźń, a potem wybuchy dzikiego oburzenia na romans z Marcinem, doprawdy oburzenia zazdrosnego mężczyzny.

„Anisia?” roześmiała się. „Anisia powiedziała, że nie może poświęcić swojej wielkiej miłości dla ciebie, mój

Jakubie. Ale ma dla nas mieszkanie, już jutro będzie definitywna odpowiedź”.

Starsza pani i Jakub robili wszystko, żeby rozstanie wypadło *comme il faut*. Pola i Jada, przeciwnie, wszystko, żeby mosty były dokładnie zburzone.

„Rzeczy Anisi zostały w szafach” powiedziała Pola. „Ale są to rzeczy Anisi, i nikt oprócz niej nie ma do nich prawa”.

„Ona je nam oddała!” krzyknęła Jada.

„Nie tobie, Jado. Rozmawiałam z nią, i powiedziała, że oddała je mnie. Powiedziała także, że gdyby mogła przewidzieć, jakie jesteście, to by was tu na próg nie wpuściła. A nie myśl, że nie zauważyłam, żeś trzy dni temu wyciągnęłaś tę brązową suknię, i rękawiczki, i... co jeszcze, Jado? Przyznaj się! Przyznanie się zawsze zmniejsza winę. Coś jeszcze ukradła, Jado, sądząc, że ja te rzeczy zabiorę ze sobą?”

„Weź, weź je wszystkie!” Jada pobiegła do swego pokoju, wróciła z naręczem, i pod nogi Poli rzuciła sukienkę, rękawiczki i pelerynkę z lisa. „Zabieraj to, i wynoś się stąd! Ale nie bądź swego taka pewna! Czy Anisia miała posag?! Wszystko, co miała, miała od Jerzego!”

„Według prawa wszystkie osobiste rzeczy żony zostają przy żonie. Nie wydaje mi się także, żebyście były najbliższymi krewnymi Jerzego, ale ta sprawa mnie nic nie obchodzi. Te rzeczy” wskazała końcem pantofla „odwiesisz do szafy, Jado. Ja już po tobie więcej sprzątać nie będę”.

„Zabierz je, zabierz, ty wstrętna, ty... ty...”

„Jadwiniu, Jadwiniu, na litość boską!”

„Pola przestań!”

Pola wstała, ukłoniła się matce Jady, ale nie odeszła za Jakubem. Patrzyła na Jadę z uśmiechem politowania. Gdy ta przestała wrzeszczeć, powiedziała: „Nie zabieram tych ubrań, Jado, żeby ciebie ukarać. Jeśli się mimo wszystko na nie złazisz, będziesz wiedziała, dlaczego pozbawiłaś nas dachu nad głową. Jeśli ich nie dotkniesz, w co zresztą wątpię, będziesz wiedziała, że naraziłaś nas na śmiertelne niebezpieczeństwo zupełnie nadaremnie. Suknia z jerseyu, narzutka z lisa, rękawiczki... To mniej niż trzydzieści srebrników”.

„Ach, jaka to była straszna scena” gorszył się Jakub nerwowo ściągając lejce na wynajętej furmance. „Jak tyś mogła, jak tyś mogła!... Chyba przez całe życie tego nie

zapomnę, jak można schodzić w takie błoto, do takich nizin!” Boczył się na nią przez wiele dni, może tygodni. Potem zapomniał.



— Jeśli spotkasz Jadę w Londynie, to jej powiedz, że jej wszystko przebaczyłam. Powiedz jej, że żałowałam, że byłam dla niej tak okrutna.

— Jeśli spotkam Jadę w Londynie, to już ja jej powiem zupełnie co innego — odgraża się Anisia, wieszając płaszcz w szafie.

— Co ty jej powiesz od siebie, to już nie moja rzecz — mówi Pola ostro, o wiele za ostro. — Ode mnie masz jej powiedzieć, że przebaczyłam jej z całego serca, i żałowałam, że byłam dla niej zbyt okrutna.

Anisia podbiega do łóżka: — Pola kochana, co tobie? Pola, dlaczego na mnie się złościsz? Czy dlatego, że tak długo nie przychodziłam? Ty chyba wracasz do zdrowia, powiedz! Jak będziesz zupełnie zdrowa, to sobie pojedę. Ale pocałuj mnie teraz, no, pocałuj!

Pola czuje na policzku łzy siostry, ale jest mroczno, więc tylko pyta: — Gdzie byłaś?

Tego wieczora Pola jeszcze raz wyciągnęła swą „ostatnią wolę”. Wykreśliła dokładnie dwa ostatnie zdania z poleceniem, żeby Kowalska nie sprzedawała jej rzeczy, a rozdała ubogim, i komentarz, że pewno tego nie robi. Chciała jeszcze coś dopisać, co by złagodziło czarne krechy skreśleń, ale nie przychodziło jej nic do głowy. „Całuję Cię” wydawało jej się nie na miejscu, skoro list miał być otwarty po jej śmierci. Zakleiła więc kopertę, rysując na niej palcem znaczek krzyża.

Dzień ją wyczerpał, a zasnąć nie mogła. Czarny wiatr nagarniał niż bezkształtnej nocy. Falami osłabienia czuła jego napierający ciężar. Gdy dobiegły ją jęki z sąsiedniego łóżka, udawała, że nie słyszy. Niech pani Jak-jej-tam pociśnię dzwonek na nocną pielęgniarkę. Ale cierpienie staruszki nie dawało jej spokoju. Znała także jej strach przed pielęgniarkami, a zwłaszcza przed tą z dyżuru nocnego, która jej kiedyś chciała założyć cewnik, gdyż jej zdaniem, za często była fatygowana po basen. Skomlenie przycichło, ale nie ustawało. Pola wstała więc, i zataczając się doszła do drugiego łóżka. Musiała aż na nim przysiąść, co nie było ani łatwe, ani wygodne, łóżka szpitalne były tu tak wysokie.

„Aniele słodki, jasne zmiłowanie, pociecho najłaskawsza...”

Masowała nogę długo, czekając aż minie zawrót głowy. Później jakoś doszła do umywalki, i wymyła ręce. Na swoje łóżko wdrapać się nie miała już siły. Słabość, która ją ogarniała, wydała jej się dotkliwsza od wszelkich bóli. „Powinnam zadzwonić” pomyślała. Różowe światelko dzwonka umknęło spod jej ręki, zakołowało po pokoju, znikło nad nią w ciemności.

Anisia odlatywała do Londynu w dzień pogrzebu siostry. Dzień, słoneczny z rana, koło południa spochmurniał, kiedy skończyła się pakować, pociemniał, wydał wiatrem, wreszcie zmienił w prawdziwy huragan, połączony z potokami deszczu. „Mógłby mi chociaż zaproponować, żebym przeczekala tę pogodę” myślała Anisia, obserwując kątem oka, jak Jakub pochylony nad kierownicą stara się wypatrywać ledwo rozpoznawalną za strugami wody, drogę. „Ech, wdzięczność!”

Posuwając się dwadzieścia kilometrów na godzinę, z postojami na zatorach, wymijając ułamane gałęzie na drodze za miastem, byliby się spóźnili, gdyby samolot nie był także spóźniony. Czekali na niego jeszcze prawie godzinę, przeważnie milcząc. Dopiero, gdy przez megafony zawołano pasażerów linii Wiedeń-Londyn do wyjścia, i Anisia z pospiechem zbierała swoje torby, Jakub zatrzymał ją:

— Przyrzeknij mi, Anisia, że w jakiegokolwiek potrzebie zwrócisz się do mnie, tylko do mnie, o pomoc. Przyrzeknij, Anisia!

— Ach, jak ci wdzięczna jestem, Żaczek — wzruszyła się — nie wyobrażasz sobie nawet, jak mi te słowa były potrzebne! Dobry, kochany Żaczek! — Zarzuciła mu przed siebie rękę z torebką na szyję, pocałowała w policzek. Na dalsze wzruszenia nie było czasu. Pasażerowie przeskakiwali przez strugę deszczu do podstawionego autobusu lotniska, który podwoził pod samoloty.

Nie było nic widać. Jakub spróbował wyjść na balkon dla odprowadzających, ale cofnął się zaraz. Deszcz spływał nawałnicą, a widać nie było dosłownie nic.

Kiedy Anisia poczuła, że uderzenie nie jest zwykłym wstrząsem przy starcie, a samolot wali się w dół, w żółtym krążku świadomości, zanim rozszarpał go strach, mignęła ulga, że nic już nie trzeba będzie zapominać i poczynać.

„Co za zbieg okoliczności, co za przedziwny zbieg okoliczności” opowiadał Jakub wszystkim, którzy nadawali się do słuchania tego rodzaju wynurzeń. Zdumienie sprawiało mu ulgę. Niezwykłość wypadku jakby nobilitowała śmierć Poli, skłaniając raczej do rozmyślań nad niezbadanymi wyrokami Opatrzności, niżli do rozpamiętywania historii jej choroby.

O katastrofie dowiedział się nazajutrz z gazet. Nie było jeszcze wiadomo, z czyjej winy spóźniony samolot do Londynu znalazł się na tym samym torze powietrznym, co spóźniony samolot z Genewy. Zderzenie nastąpiło zaledwie na wysokości 50-ciu metrów.

Domniemane szczątki Anisi, zebrane w urnę, złożono obok Poli. U wezłowie grobu Jakub kazał zasadzić dwie brzozy. Ogrodnik opierał się, ale musiał ustąpić. Miały być posadzone obok siebie, bez żadnego odstępu. Problem stanowił nadpis. Nazwiska panieńskie Poli i Anisi były różne. Więc Jakub, po długich rozmyślaniach, zdecydował, że u góry, nad krzyżykami, jak tytuł obejmujący dwie szpalty, ma być wykute największymi literami słowo:

S I O S T R Y

SPIS TREŚCI

<i>Pokój jadalny</i>	9
<i>Aktor</i>	16
<i>Cyrk</i>	24
<i>Czarny kot</i>	37
<i>Krzyś</i>	43
<i>Miasto Rebeki</i>	57
<i>Zoo nad zatoką</i>	72
<i>Szkiełko</i>	93
<i>Via della Croce</i>	100
<i>Przeznaczenie</i>	111

WYKAZ WYDAWNICTW « BIBLIOTEKI KULTURY »

(z wyjątkiem pozycji wyczerpanych)

1. Witold GOMBROWICZ .. *Transatlantyk i Ślub*
4. James BURNHAM *Bierny opór czy wyzwolenie?*
8. Józef ŁOBODOWSKI .. *Złota hramota (Poezje)*
11. Marian PANKOWSKI .. *Smagła swoboda*
12. Teodor PARNICKI *Koniec „Zgody narodów”, 2 tomy*
15. Graham GREENE *Moc i chwała*
18. Jeanne HERSCH *Polityka i rzeczywistość*
20. Józef MACKIEWICZ .. *Kontra*
22. Andrzej BOBKOWSKI .. *Szkice piórkem (Francja 1940-1944), 2 tomy*
25. Daniel BELL *Praca i jej gorycze (Kult wydajności w Ameryce)*
26. Jan WINCZAKIEWICZ *Izrael w poezji polskiej (Antologia)*
30. Jan KOWALIK *Polska w bibliografii niemieckiej 1954-1956*
31. Stanisław REMBEK *W polu*
33. Simone WEIL *Wybór pism*
35. James BURNHAM *Rewolucja menadżerska*
36. Tadeusz KATELBACH .. *Rok złych wróźb (1943)*
37. Jurij ŁAWRYNENKO .. *Rozstriljane wiodrodzennja (Antologia)*
40. — *Program Związku Komunistów Jugosławii (Seria „Dokumenty”. Zesz. 5)*
41. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Kultura Masowa (Seria „Dokumenty”. Zesz. 6)*
43. Jan KOWALIK *„Kultura” 1947-1957. Bibliografia „Kultury”.*
45. Wacław LEDNICKI *Glossy Krasinśkiego do apologetyki rosyjskiej*
46. Abram TERC *Sąd idzie*
- ANONIM *Co to jest realizm socjalistyczny?*
47. Tibor DERY *Niki*
48. Wiktor SUKIENNICKI . *Kolumbowy błąd (Seria „Dokumenty”. Zesz. 7)*
50. Czesław MIŁOSZ *Rodzina Europa*

51. Gustaw HERLING
GRUDZIŃSKI *Skrzydła ołtarza*
52. Halszka GUILLEY-
CHMIELOWSKA *Spotkania na galerii*
53. Józef CZAPSKI *Oko*
54. Witold GOMBROWICZ . *Pornografia*
55. Leo LIPSKI *Piotruś*
56. Aldous HUXLEY *Nowy wspaniały świat poprawiony*
57. Kazimierz WIERZYŃSKI *Tkanka ziemi*
58. Stanisław KOT *Jerzy Niemirycz — inicjator Ugody Ha-
dziackiej*
59. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Węgry (Seria „Dokumenty”. Zesz. 8)*
60. Artur Marya SWINARSKI *Sasza i bogowie*
61. Andrzej CHCIUK *Rejs do Smithton — Stary ocean.*
62. Adam CIOŁKOSZ *Róża Luksemburg a rewolucja rosyjska*
Róża LUKSEMBURG .. *Rewolucja rosyjska (Seria „Dokumenty”.
Zesz. 9)*
63. Bogdan CZAYKOWSKI i
Bolesław SULIK *Polacy w W. Brytanii*
64. Danuta MOSTWIN *Ameryko! Ameryko!*
65. Paweł HOSTOWIEC *Eseje dla Kassandry*
66. Aleksander HERTZ *Żydzi w kulturze polskiej*
68. Abram TERC *Opowieści fantastyczne*
69. I. IWANOW *Czy istnieje życie na Marsie?*
71. I. IWANOW *Jest' li ziżń na Marsie?*
72. Paweł ZAREMBA *Historia Polski. Cz. I*
73. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 1-szy)*
77. Czesław MIŁOSZ *Człowiek wśród skorpionów*
78. Bernard SINGER *Od Witosza do Sławka*
79. Czesław MIŁOSZ *Król Popiel i inne wiersze*
80. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 2-gi)*
81. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik. Tom II (1957-1961)*
82. Milovan DŽILAS *Rozmowy ze Stalinem*
83. (Jerzy MOND) *6 lat temu... (Kulisy polskiego Październi-
ka) (Seria „Dokumenty”. Zesz. 11)*
- 84.— *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 3-ci)*
85. Józef WITTLIN *Orfeusz w piekle XX wieku*
86. Zygmunt HAUPT *Pierścień z papieru*
87. Marek HŁASKO *Opowiadania*
88. Maria CZAPSKA *Polacy w ZSSR (1939-1942) Antologia*
89. Witold JEDLIICKI *Klub Krzywego Koła (Seria „Dokumenty”.
Zesz. 12)*
90. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 4-ty)*

91. Abram TERC *Lubimow*
92. — *We własnych oczach. Antologia współczesnej literatury sowieckiej.*
93. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI *Drugie przyjście oraz inne opowiadania i szkice*
94. Jan KOWALIK *Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie 1939-1962.*
95. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 5-ty)*
96. Marek HŁASKO *Wszyscy byli odwrócen. — Brudne czyny*
97. Kazimierz WIERZYŃSKI *Kufer na plecach (Poezje)*
98. Bogdan CZAYKOWSKI *Spór z granicami (Poezje)*
99. Wincenty WITOS *Moje Wspomnienia. Tom I/III*
102. Stanisław MACKIEWICZ *Polityka Becka*
103. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 6-ty)*
104. Ignazio SILONE *Wybór towarzyszy (Seria „Archiwum Rewolucji”)*
105. Wiktor SUKIENNICKI . *Biała Księga (Seria „Dokumenty” Zesz. 13)*
108. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 7-y)*
109. Wacław IWANIUK *Wybór wierszy*
110. Michał K. PAWLIKOWSKI *Wojna i sezon*
111. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI *Inny świat*
112. Witold GOMBROWICZ *Kosmos*
113. Borys LEWICKYJ *Terror i rewolucja (Seria „Archiwum Rewolucji”)*
114. Stanisław VINCENZ *Po stronie pamięci.*
115. Danuta MOSTWIN *Olivia*
116. Czesław MIŁOSZ *Gucio zaczarowany (Poezje)*
117. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 8-my)*
118. Jerzy PIETRKIEWICZ .. *Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne*
119. January GRZĘDZIŃSKI *Maj 1926 (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 14)*
120. Mikołaj ARŻAK *Odkupienie i inne opowiadania*
121. Arthur KOESTLER *Fragmenty wspomnień (Seria „Archiwum Rewolucji”)*
122. Michel GARDER *Agonia reżymu w ZSSR (Seria „Archiwum Rewolucji”).*
123. Piotr GUZY *Krótki żywot bohatera pozytywnego*
124. — *Dialog polsko-niemiecki (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 15).*
125. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 9-ty).*



A C H E V E D'IMPRIMER
L E 25 M A R S 1966
S U R L E S P R E S S E S D E
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, R U E S T E P H E N S O N ,
P A R I S (XVIII^e)

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1966

Dar wydawnickwa

27. VII. 66r

Cena 13,50 F. (20/-; dol. 3,00)